

**\* A Distributed Proofreaders Canada eBook \***

This eBook is made available at no cost and with very few restrictions. These restrictions apply only if (1) you make a change in the eBook (other than alteration for different display devices), or (2) you are making commercial use of the eBook. If either of these conditions applies, please contact an FP administrator before proceeding.

This work is in the Canadian public domain, but may be under copyright in some countries. If you live outside Canada, check your country's copyright laws. IF THE BOOK IS UNDER COPYRIGHT IN YOUR COUNTRY, DO NOT DOWNLOAD OR REDISTRIBUTE THIS FILE.

*Title:* Misteryum : opowieść erotyczna

*Author:* Helena Garlikowska (1876-1934)

*Date of first publication:* 1909

*Date first posted:* November 22, 2013

*Date last updated:* November 22, 2013

Faded Page eBook #20131119

This eBook was produced by: David T. Jones, Michal Jablonski, Wojtek Murawski & the Online Distributed Proofreading Canada Team at <http://www.pgdpcanada.net>

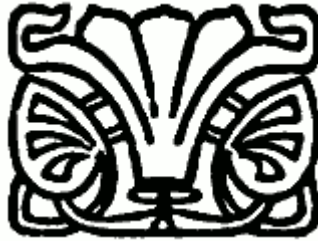
(This project created from scans generously provided by the Polona National Digital Library at <http://www.polona.pl>)

H. O. GARLIKOWSKA.

---

# MISTERYUM.

OPOWIEŚĆ EROTYCZNA.



WARSZAWA.

E. WENDE i S-ka. (T. HIŻ i A. TURKUŁ).

1909.

Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza,  
Nowogrodzka 17.

— Przyjechała! — powiedziano mu to zaraz na wstępie, gdy powrócił.

— Dr. Adam Rytam, — przedstawiał właściciel pensjonatu, przytrzymawszy go w przejściu przez werandę.

Uczuł w swej dłoni miękką małą rękę i dojrzał w przelocie drobną twarz w fali rozrzuconych ciemnych włosów, przyczem biel sukni zalśniła przed nim w gorącym słonecznym południu.

Szybko rzucił się w korytarz, jakby do ucieczki.

Ona, przyzwyczajona do natarczywych męskich spojrzeń, zainteresowała się zachowaniem Adama; przytem był taki śliczny!

Widząc jego spieszne odejście, zawołała ze śmiechem:

— Chyba jeszcze nie prawdziwy doktor!

Zawrócił, zatrzymał się we drzwiach.

— Nie prawdziwy? jakto, pani? — pytał.

Spojrzeni sobie po raz pierwszy w oczy.

Kobieta, patrząc nań z dziwnym zagadkowym uśmiechem na małych ustach, myślała:

— Jaki ładny.

— Najprawdziwszy lekarz, asystent miejskiego szpitala — objaśniał właściciel.

— Ach!... tak... wydał mi się pan tak bardzo młodym! — zauważyła z tym samym uśmiechem, nie spuszczać swych migotliwych źrenic z białej, delikatnie różowej twarzy Adama.

Zapagnęła go zatrzymać, nudziła się, nie miała koło siebie tych, którychby mogła lubić, lub kogoś, ktoby ją interesował i nagle ta smukła młodzieńcza postać zjawiła się przed nią na tle pospolitych, parafjańskich głów górskiego pensjonatu jak objawienie.

Zniewoliła go zatem bardziej może spojrzeniem, aniżeli słowem, bo mówiła doń coś bardzo zwyczajnego.

Usiadł nawprost i zaczęli rozmowę o... wychowaniu dzieci.

Patrzyła mu w twarz jakimś dziwnym spojrzeniem, a z ust jej nie schodził zagadkowy uśmiech.

Mówiła, myśląc o czem innym, a w tonie jej głosu objawiała się leciuchna pobłażliwość dla tego ładnego chłopca.

Dzień był bardzo gorący. Miała ochotę raczej iść do kąpieli, przytem wydawała się jej zabawną ta pierwsza rozmowa o... dzieciach.

Zmrużyła nieco oczy, wpatrzona w Adama i zastanawiała się, co on jej przypomina.

Nikt jej o nim nie opowiadał i właściwie nikogo jej nie przypominał, a jednak coś od niego szło ku niej... coś nowego...

Cała jego twarz była jakby owiana wiośniwym puchem kwiatnym i miała wygląd dziewiczy, a raczej pacholęcy.

I nie wiedzieć czemu przyszła jej na myśl tuberoza.

Patrzyła na jego jasne cienkie, jak jedwabista zwichrzona pęta, włosy, na duże głębokie, szklące oczy, a potem na — usta.

Na ustach zatrzymała się najdłużej: były pełne i bardzo różowe, występowały z białej twarzy, z pod małych, w górę podkreślonych popielatych wąsów, jak gorące zroszone pąki maków, wyzierające z płowego zboża ku słońcu.

— Czy pan lubi całować? — spytała.

Spojrzał z zadziwieniem, zamyślił się, a potem swym dźwięcznym, zupełnie wiolonczelowym głosem odparł szczerze, jakby z pewnym żalem:

— Nie mam kogo.

— Takie śliczne usta, myślała, i nie ma kogo całować.

— Szkoda — wyrzekła.

Ale potem zaraz się rozśmiała.

Adama ten śmiech nieco zmieszał, nawet uraził, nie widział przyczyny.

Wstał i zaraz odszedł.

Śledziła za nim wzrokiem.

Szczupła, wysoka jego postać miała w ruchach żywość i gibkość, wogóle było w nim coś, co kobietę ciągnęło.

Widziała różnych mężczyzn, przypominała sobie i tych, którzy się jej podobali, a nawet tych, których, zdawało się jej, że kochała i zawsze było w nich coś, co ją raziło, jakiś brak, który określić było trudno, a w tym właśnie była jakaś przedziwna harmonja.

I znów, nie wiedzieć czemu, przypominała się jej soczysta śnieżna tuberoza i dziwiła się, że nie czuje namiętnej woni.

Zastanawiała się nad szczególnym wrażeniem, które odniosła, i było jej miło.

Prawie że zapominała, że jest kobietą tak już bardzo świadomą, iż dusza jej już tak zużyta, wyziębła, smutna i uplamiona życiem.

Ta młodzieńcza postać Adama przyniosła z sobą jakby falę podmuchów wiosny.

— Jaki miły ten doktor, — usłyszała głos.

Podniosła głowę z zamyślenia i ujrzała twarz Marjana, swego męża.

Zrobiło się jej przykro, zapomniała bowiem, że ma męża, że ma rodzinę.

---

Z konieczności rzeczy przebywali z sobą całe dnie i prowadzili długie rozmowy, niewyczerpane tematy wysnuwały się i łączyły ich z sobą.

Był dla niej przyjacielskim i przestawał jak z ulubionym kolegą, nigdy nie odnosił się do niej, jak mężczyzna odnosi się do kobiety, której chce się podobać.

W krótkim czasie wytworzyła się między nimi przedziwna zażyłość, to też pierwszą jego myślą po powrocie z dwudniowej nieobecności była ona.

Sam nie zdawał sobie z tego sprawy, jednak żałował, iż, spóźniwszy się na pociąg, przyjechał w nocy, gdy już wszyscy spali.

Był ciekawy, czy też jutro zapyta go, czemu nie przyjechał w południe, jak to powiedział.

Szedł po cichu, na palcach przez korytarz, ostrożnie otworzył drzwi i wszedł do swego pokoju.

Było bardzo ciemno, więc przedewszystkiem zapalił świecę i oto ujrzał na swoim starym hotelowym biurku pomiędzy flaszkami z sublimatem i karbolem biały chryzantem.

Kwiat ten był dlań tak niespodziewanem zjawiskiem, że chwilę przyglądał mu się z dziwnem uczuciem przyjemnego zdziwienia.

Wyciągnął rękę i ujął go w palce.

Delikatne strzępiaste płatki poczęły drzeć, bezwiednie Adam przytknął je do twarzy i uczył jakiś zapach, który mu nie był obcy.

A zatem kwiat nie dostał się tu wypadkiem, ktoś umyślnie go tu zostawił.

Kto jednak mógł to zrobić? Kto o nim myślał?

Wszak żadna z panien nie odważyłaby się wejść do jego kawalerskiego pokoju, zresztą one ubierały się w barwne gwoździki lub różowe róże, przytem żadna z nich nie pachniała tak, jak ten biały chryzantem.

Pochylił się nad nim i wchłonął słodką rozmarzającą woń subtelnej perfumy, poczem położył go przy łóżku, nie przestając myśleć o nim, był jednak zmęczony i wkrótce usnął, wciąż czując zapach.

---

Zaspał, wstał późno, gdy zszedł na dół — jej nie było. Zobaczyli się dopiero w południe.

Podawała mu rękę z swym zwykłym uśmiechem, ale nie zapytała, czemu nie przyjechał rano.

Zajęta była rozmową z młodym pięknym Jumartem, który przyszedł ją odwiedzić.

Adam, nie wiedzieć czemu, patrzył z niechęcią na drobną postać Jumarta, o którym mówiono, że ma szalone szczęście do kobiet.

Lecz ona przecież była inna, tak... lecz o niej również mówiono, że ma szalone szczęście do mężczyzn.

W każdym razie — rozmyślał — cóż taką, jak ona, kobietę mogło interesować w tym pięknym przysłowiowym brunecie, w tym donżuanie, w którym było więcej pozy i zarozumiałości, aniżeli prawdziwego artyzmu.

Adam usiłował rozmawiać z pannami, które go obstąpiły, pytając, jak się bawił w mieście.

Umyślnie przytem starał się nie patrzeć na nią, po chwili jednak mimowoli wzrok jego skierował się w stronę rozmawiających.

Jumart zabierał się do odejścia, podała mu z wdziękiem rękę, którą tamten znacząco pocałował.

Właściwie cóż w tem było? i co to mogło obchodzić jego, Adama? Uczuł się jednak podrażnionym, choć nigdy byłby się do tego nie przyznał, nawet przed samym sobą.

Oczywiście — myślał — musiała być jakaś prawda w plotkach, jakie słyszał o niej i o tamtym, widział, jak go wyprowadziła na werandę

i tam Jumart powtórnie pocałował ją w rękę. Nareszcie odszedł. Adam odetchnął.

Powróciła w swej białej sukni uśmiechnięta, zatrzymała się teraz przed nim.

— I cóż? — spytała.

Adam podniósł wzrok ku niej, spojrzeli sobie głęboko w oczy i Adam, aby nie wykrzyknąć, przyciął usta.

Bo oto z ciemnych jej włosów wyzierały głowy białych chryzantemów, jak świetliste gwiazdy i patrzyły nań zalotnie, niosąc zapach, ten sam słodki, rozmarzający zapach... z którym usypiał dzisiejszej nocy.

Byłoby prawdą? mogło-ż być prawdą szalone przypuszczenie, które mu się aż dotąd, a nawet jeszcze teraz wydawało niedorzecznym.

Wpatrzył się badawczo swemi szczeremi czystymi oczyma w jej migotliwe płonące oczy, chcąc wedrzeć się w nie, aby wyczytać odpowiedź, lecz ujrzał tylko zwodniczą połyskliwość i po raz pierwszy uczuł w sobie niepokój, którego nigdy dotąd nie doświadczał wobec żadnej kobiety.

Spuścił oczy onieśmielony, po chwili podniósł je, sądząc, że może się czegoś dowie z wyrazu jej ust, lecz te miały swój zwykły zagadkowy uśmiech, który nic nie mówił, a mimo to zdawał się tak wiele obiecywać.

— I cóż kwiaty? — pytała.

Drgnął, ktoś jednak podszedł witać się i przerwał, gdy odszedł:

— Kwiaty — powtórzyła — nie zwiędły?

A gdy zdumiony, patrząc na nią, milczał.

— Kwiaty, które pan zawoził — objaśniła.

— A tak... nie, nie zwiędły — przyświadczył roztargniony.

— Wie pan, że dałam do nich szpilkę, czy się pan nie ukłuł? sama spięłam bibułkę.

— Dziękuję.

Patrzył na nią, myśląc, dlaczego to mówi, nie umiał odgadnąć. Mówiła to, jak się mówi, aby coś powiedzieć, jak gdyby zajęta czymś innym. Może tamtym pięknym brunetem?

Adamowi zdawało się, a właściwie nawet nie zdawało się, tylko oczekiwał czegoś innego od niej, z którą przez te parę tygodni tak się żył,



jak z serdecznym przyjacielem, przywykł, że ona, jak nikt inny, umiała przeglądać w jego duszy, a teraz stała się tak obojętną.

Przytem miał w sobie nieskrystalizowaną obawę, iż zapyta go, komu zawoził kwiaty, był więc zadowolony, że nie spytała, a jednocześnie drażniło go to i teraz, gdy z naturalną, grzeczną obojętnością, zamieniwszy z nim słów kilka, odeszła na swoje miejsce przy stole, patrzył na nią, chcąc dojść, co w niej było, nie umiał jednak dojść do żadnego wniosku.

Na mgnienie łagodną jego i powściągliwą duszą zatargła chęć podejścia do niej. Byłoby to ciekawe stanąć przed nią i powiedzieć:

— Kwiaty podobały się bardzo mojej narzeczonej.

Wtedy przecież podniosłaby ku niemu swój zagadkowy wzrok i nareszcie możeby co zeń wyczytała.

Wyznanie podobne byłoby wszak dla niej o tyle niespodziane, iż przynajmniej zadziwiłoby ją.

A jeśli, podniósłszy swe migotliwe oczy ze zwykłym uprzejmym uśmiechem, popatrzyłaby tylko tak nieskończenie obojętnie, jak przed chwilą? I gdyby w tem spojrzeniu nie było nic więcej, prócz milczącego pytania:

— Po co mi to mówi, jeśli mnie to wcale nie obchodzi?

Naturalnie, iż tak byłoby — irytował się na samego siebie za głupie pomysły. Bo cóż właściwie taką ją mógł obchodzić taki, jak tylu innych, on, Adam?

Usiadł, straciwszy humor. Spoglądał wciąż w jej stronę, lecz ani razu nie uchwycił jej spojrzenia w kierunku swojej osoby.

Dnia tego nie przemówiła doń ani słowa. Był ciągle przy niej, lecz nie zauważony, pomijany.

— Co pani jest, co się stało? — spytał nareszcie nieśmiało.

Spojrzała z roztargnieniem i natychmiast zwróciła się do jednej z pań, umyślnie nie zauważywszy pytania.

Poszedł do siebie na górę rozstrojony i zniechęcony. Wyjął z szuflady chryzantem, nie był już taki biały, listki czerniały i żółkły, tylko jeszcze zapach został.

Adam patrzył weń długo, myśląc o tej dziwnej kobiecie. Był zły na siebie, bo w gruncie rzeczy mogła być taką, jaką się jej być podobało, mimo wszelkie rozumowania było mu przykro.

Wstał rano i zeszedł na werandę, gdzie zwykle podawano śniadanie. Jej nie było; był pewien, że poszła na wycieczkę, którą wczoraj projektowano i umyślnie nie powiadomiła go, choć oddawna już to było uplanowane, że pójdą razem.

Tak, tak, czuł to z jej zachowania wczorajszego, coś się w niej odmieniło, lecz z jakiej przyczyny? wszak nie dał najmniejszego powodu.

Siedział z opuszczoną głową i, rozmyślając, gryzł papierosa.

Wszyscy już poschodzili się i rozmawiali głośno, wesoło.

— Tak, tak, niezawodnie jej nie będzie — myślał — wróci późno wieczorem.

Raptem wpadł mu w uszy jej dźwięczny śmiech, podniósł głowę: tylko co zeszała i witała się. Wstał i patrzył na nią z pod brwi, zdenerwowany, niepewny, czy się z nim przywita, wczoraj bowiem na dobranoc nie podała mu ręki.

Była znów w swej białej sukni, świeża i pachnąca, zwróciła się doń, wyciągnęła rękę i uściśniła mu dłoń po przyjacielsku.

— Co pan Ada (tak go nazywała czasami) jakiś smutny? — wyrzekła serdecznie, prawie pieszczotliwie i patrzyła przytem tak jakoś, że miał najzupełniejsze wrażenie, iż oczy te czytają wszystkie jego najskrytsze myśli.

Na delikatną jego twarz wykwitł rumieniec lekki, przezroczy, jak odrzask łuny, która, pomimo wiedzy i woli, rozpałała się w głębi jego zrównoważonej duszy.

Usiedli na wprost siebie nieco w oddaleniu od reszty osób.

— Jak to dobrze, że pani jest dziś inna — wyrzekł.

— Inna?...

— Wczoraj była pani...

— Ach, wczoraj — przerwała mu — dzisiaj jest dzisiaj, uważa pan — rozśmiała się i uczyniła jakiś ruch ręką — minęło — powiedziała żartobliwie.

— Wszystko mija — dodała poważniej.

Posmutniał.

— Wszystko mija... — powtórzył w zamyśleniu.

— I to jest właśnie dobrze, inaczej życie byłoby nie do wytrzymania — rzekła.

— Bywają jednak rzeczy, które pragnęłoby się zatrzymać — zauważył.

— Ale jest więcej takich, o których chciałoby się zapomnieć, więc dobrze, że przemijają... Wszak byłoby nudno wiecznie to samo, jak w różańcu.

— Ciekawym, w co pani wierzy?

Utkwiła w nim swe połyskliwe oczy i patrzyła w milczeniu z owym zagadkowym uśmiechem.

— Tak, wiem — powiedział — że pani w nic nie wierzy.

Ona, nie odrywając wzroku od jego marzących lazurów oczu, odrzekła:

— Wierzę w chwilę... i chciałabym, aby pan także wierzył w chwilę.

Wstała, — poszedł za nią.

Szli słoneczną drogą, pomiędzy drzewami, potem skręcili w bok i poszli pod górę. Powietrze przesycone było zapachem kwitnących świerków i owijało ich gorącym tchnieniem żywicy.

— Tak, wszystko mija, jak i nasza znajomość przypadkowa, sezonowa — rzekł z goryczą — niedługo rozjedziemy się i pani zapomni.

Zatrzymała się.

— Czyż znajomość nasza jest sezonowa? pewny pan tego?

— Naturalnie. Jesteśmy od siebie tak rozdzieleni przestrzenią i tylu różnymi przeciwnościami.

— I cóż stąd? będziemy się jednak widywali — dodała.

Szli wciąż pod górę, po wijącej się ścieżynie, obrosłej paprocią.

— Widzi pan białe gencjany! — zawołała — to rzadkość, proszę mi zerwać.

Przystanęli oboje. Kwiaty rosły na stromym stoku, chwilę więc zastanawiał się Adam, jak do nich dojść, tymczasem ona skoczyła po pochyłości i, uchwyciwszy się jedną ręką za drzewo, drugą już zrywała świeże dzwonki, śmiejąc się.

— Jakże można — zawołał z przestrachem — wszak na dnie przepaść, gdyby tak noga się osunęła.

— Więc co — zawołała lekceważąco — najwyżej śmierć.

Patrzył na jej drobną postać, w biel owiniętą i uczył w sobie wzmożony niepokój. W tej ciemnej zieleni wielkich amerykańskich świerków, pośród paproci i białych gencjan wyglądała, jak leśna syrena.

Podniosła ku niemu twarz uśmiechniętą i rzekła:

— Cóż, kiedy za mało, niżej jeszcze rosną, ale tam już po nie nie pójde, woda się sączy.

Zręcznie i lekko, chwytając za gałęzie drzew, wspinała się ku górze, podał jej ręce i wciągnął na ścieżkę.

Śmiała się, mając go zapewne za niedołęgę.

I teraz on skakał z kamienia na kamień, aż dotarł do białej kępy kwiatów.

— Ach i po co — zawołała — wszak już mam.

— Ale te odemnie — zauważył wesoło, wspinając się zwinnie ku górze po obmurszałych oślizgłych kamieniach.

— Tylko uważnie — prosiła.

Usiadła wśród zieleni na dużym złomie, położył jej kwiaty na kolana.

Chwilę przesuwała je pomiędzy palcami, bawiąc się, jak perłami.

Adam patrzył na nią z tym szczególniejszym niepokojem, który coraz częściej doń przychodził w jej obecności.

Milczeli oboje, po chwili spytał przyciszonym głosem:

— O czym pani myśli?

Jakby nie słysząc pytania, przesuwała wciąż kwiaty pomiędzy swymi miękkimi palcami.

Naraz podniosła głowę ku niemu, spojrzała prosto w oczy, ale tak, iż Adam uczył, że wzrok ten sięga mu do dna duszy.

— Myślałam — wyrzekła — o tych kwiatkach, które pan zawoził.

Adamowi zrobiło się nieprzyjemnie.

— I — mówiła, nie spuszczając zeń oczu — cieszy mnie, że te są inne... zupełnie inne.

— Z nad przepaści — dorzucił, aby coś powiedzieć, bo uczył się mieszanym, nie wiedzieć, z jakiego powodu.

— Symboliczne — zaśmiała się swywołnie, on rozśmiał się także z jakąś ulgą.

— Teraz proszę być mojem lustrem, wszak w oczach można się przejrzeć, zwłaszcza w takich, jak pańskie... niewinnych! Proszę się zbliżyć i uklęknąć — komenderowała kapryśnie.

Adam westchnął komicznie, ale uczynił zadość i przykląkł, ona, zaś, patrząc mu w oczy filuternie, stroiła swą głowę, jak w koronę, w białe gencjanny, potem jedną zasadziła jemu do kłapy.

— O tak, teraz już jest pan moim rycerzem.

Podnieśli się oboje, rozśmiani i, jak dzieci, weseli, podążyli na nowo pod górę.

— Ale gdybym tak wpadła w przepaść, to pan rozpaczalby, co? Jakaż to byłaby romantyczna historia — dodała.

— Wszystkie gazety opisywałyby.

— Dosyc — przerwała.

Głos jej stał się ostry i twardy.

Adam zdziwił się, wszakże żartował i nie chciał zrobić jej przykrości.

— Czy moja korona prosto? — spytała nagle zupełnie innym tonem — myślę, iż pańskie niewinne oczy nie pokazują krzywo.

— Pani mnie ma za bardziej niewinnego, niż jestem.

— Czyżby?... — przedrzeźniała z lekką, leciuteńką żartobliwością. — Zresztą ja mam pana nie tyle za niewinnego, co za wstrzemięźliwego — dodała poważniej.

Zastanowiło go to. Kobieta ta stawiała się dlań coraz dziwniejszą, znała go zaledwie od kilku tygodni, a zdawało się, że nic nie jest jej tajemnem.

— Czy pan zaręczony? — spytała nagle, przystając i patrząc weń pilnie.

Przyciął usta.

— Ma pan narzeczoną? — powtórzyła prawie szorstko.

— Nie — zaprzeczył z wahaniem. — Nie mam narzeczonej — wyrzekł powoli z pewnem załamaniem w swym metalicznym głosie, nie patrząc na nią, lecz gdzieś w zwyż.

Oboje umilkli. Kobieta jeszcze chwilę wpatrywała się w jego śliczną, białą twarz, potem poszła przodem, Adam za nią z opuszczoną w dół głową.

Opadła ich pierwsza przykra cisza.

Kobieta czuła kłamstwo, a nie mogła je uchwycić, ani pojąć. Coś, jakby się między nimi zepsuło, szczerłość stała się nie jednolitą, coś się wylęgło utajonego i już nie było między nimi całej prawdy.

— Chciałbym bardzo wyjechać gdzie daleko na studia, do Paryża, — odezwał się pierwszy — możebym tam spotkał panią — zauważył nieśmiało.

— Zapewne, że tam kiedyś pojedę i mógłby mnie pan spotkać, ale...

— Ale — podchwycił — proszę, niech pani dokończy.

— Otóż mnie się zdaje, że pan nie pojedzie do Paryża i karierę swą skończy prędko, jako lekarz prowincjonalny.

— Tak pani myśli — wyrzekł urażony.

— Tak. Naturalnie ożeni się pan i zostanie dzieciarobem i robigroszem. Proszę nie zaprzeczać, czuję w panu ojca rodziny. Tacy idealisci i wstrzemięźliwi zazwyczaj tak kończą.

Spuścił głowę, było mu bardzo przykro, lecz nie zaprzeczał.

— Może pani ma rację — przyświadczył zgnębionym głosem — proszę mi jednak powiedzieć, czy nawet takie kobiety, jak pani, lubią lampartów i błagierów?

Pytanie było zadane tak znacząco, a przytem spojrzenie jego lazurowych oczu było tak naiwnie czyste, że kobieta mimowoli rozśmiała się.

Czyżby te oczy kryształowe zupełnie dziecięce oczy mogły kłamać? — zadała sobie pytanie. Tak, ale oczy owe wtedy na nią nie patrzyły. A usta? Wzrok jej padł na te różowe, świeże, prześliczne usta... I uchwycił ją wielki żal, nawet pewna wątpliwość. Jakto, splamiłyby się kłamstwem? A jednak była prawie pewna, że kłamały.

Weszli już na górę. Nogi ich tonęły w miękiej puszystej murawie, wyłaniał się ku nim wierzchołek góry następnej i znaleźli się, jak w nieskończonym wieńcu gór.

Podeszła doń i wsunęła mu rękę pod ramię. Po raz pierwszy uczył ją tak blisko siebie, na moment uczyniło mu się duszno, po prostu zbrakło tchu.

— Panie Ada... — szepnęła miękko, pieszczotliwie — niech pan się nie żeni, szkoda pana, zmarnuje się pan, sfilistrzeje, jak tyłu innych... Zresztą to takie wielkie głupstwo, taka nedorzecznosc... ma pan czas, mój Boże, dwadzieścia pięć lat!

Opuścił głowę bardzo nisko i, nie odpowiadając, szedł zgnębiony i smutny.

Coś się z nim działo, czego nie pojmował, coś w nim burzyło się i powstawało, a czemu on starał się zaprzeczyć i przeciwdziałać.

Wysunęła rękę.

— Siądźmy — zawołała.

Posłusznie siadł na murawie. Z całą biernością poddawał się jej i nie oponował.

— Ale wie pan, że tu, na tej górze, podobno są węże. — Mówiąc to, uniosła swą białą suknię i owinęła ją ciasno naokoło nóg.

— Opowiadała mi panna Helena, że widziała węża, gonił ją... Czemu pan nic nie mówi? Prawda, cóż nas obchodzić może wąż? Pan wprawdzie Adam, ale ja nie jestem Ewą i... nie będę — mówiła, śmiejąc się.

Ocknął się, popatrzył na nią mglisto.

— Nie będzie pani Ewą. Czemu? — spytał bezdźwięcznie. — Pani jest jakby Ewą — dodał i zmieszał się.

— O, nie... Wprawdzie czuję gdzieś w powietrzu Ewę koło pana, lecz to nie ja nią będę. Ewa, wszak to żona Adama, a ja... — ściągnęła brwi niechętnie, małe jej usta drgnęły. — Ja już jestem żona nie Adama — uśmiechnęła się z przymusem.

I to bardzo dobrze — dodała.

— Tak, to bardzo dobrze — przyświadczył bezdźwięcznie.

— O... — zawołała, przedrzeźniając.

— Mąż pani taki miły, tak bardzo przystojny.

— Nie potrzebuje mi pan wyliczać zalet mego męża — wyrzekła cierpko — znam je lepiej, a nawet dziwi mnie, że pan tak bardzo zaprzyjaźnia się z nim — wyrzuciła ostro.

Wpatrzył się w nią ze zdumieniem.

— A dlaczego nie miałbym być w przyjaźni z mężem pani? — zauważył ze szczerem zdziwieniem. — Pan Marjan jest dla mnie naprawdę sympatyczny.

— Ach, jeśli tak, lecz... — zatrzymała się, a potem wyrzekła prędko — może wrócilibyśmy na dół?

— Prawda, co powiedzą ludzie na naszą samotną tak długą przechadzkę.

— Czy panu idzie o to?  
— Mnie? żartuję, ale może mąż pani...  
— Ach, pan się obawia.  
— Nie chciałbym tylko, aby pani miała przykrość.  
— Zatem mnie nie idzie, ani o ludzi, ani o... męża. Idzie mi tylko o pana.

Powiedziawszy to, zaczęła iść w kierunku powrotu. Na chwilę jeszcze zatrzymali się i patrzyli na dolinę, która jak biała smuga tak się wiała u stóp góry.

Stanąwszy przy nim, wskazała na dół, mówiąc:

— Niech pan patrzy, jak ci ludzie tam wyglądają, jak muchy, może nas widzą, lecz my tak wysoko nad nimi i sami, jak w przedsionku do raj... Nie czuje pan tego uroku? Lecz pan zapewne myśli o Ewie... O czym-że bowiem mógłby myśleć Adam? — roześmiała się głośno, lekceważąco.

— Zaczyna pani kpić ze mnie, lecz to trudno, nie umiem być takim, jak ten piękny brunet, który przynosi pani róże... nie potrafię, a kobiety tylko takich lubią.

— Kobiety może, ale nie ja.

— Wiem, że uważa mnie pani za kretyna, ale trudno, bawidamkiem nie potrafię być — wyrzekł rozdrażniony.

— Co się panu stało? panie Ada.

Ta pieszczotliwa nazwa, której używała tylko, gdy byli sami, rozbroiła go, rozchmurzył się. Przytem, gdy tak doń mówiła, głos jej podówczas stawał się nad wyraz miękki i taki, że zupełnie obejmował Adama, jak wiew miły i gorący.

— Chciałbym wiedzieć, jakie jest prawdziwe imię pani?

— Prawdziwe?... A jakież imię pan uważa za prawdziwe? Każde imię jest kwestją przypadku, lub upodobania rodziców, mnie się zatem zdaje, że właśnie moje imię jest prawdziwe, ponieważ pochodzi z mego własnego wyboru.

— Mąż nazywa panią Lilika, takiego imienia niema, gdy go pytałem, odpowiedział, że nie jest ono prawdziwym imieniem pani.

— Czemu pan pytał jego nie mnie?

— Ale dziś pani mi je powie, proszę bardzo.



Przystanął i patrzył na jej ukoronowaną głowę w białe dzwonki gencjan.

Był nieco wyżej, a ona stała przed nim, jakby na wzniesieniu, miał więc ją całą przed sobą. Wpatrywał się w jej zwodnicze migotliwe oczy, które poglądały ku niemu z opalanej, jakby o złotawych tonach, twarzy. Widział jej uśmiechnięte ponętnie obiecujące usta i zdawało mu się, że idzie ku niemu od nich jakaś gorącość niewytłomaczona. Bładoróżowa jego twarz rozplonęła, a czyste duże oczy pociemniały i lśniły nieznanym im dotąd blaskiem.

— Powiedziałabym już dawno, gdybym była wiedziała, że tak panu idzie o to.

Wzrok jego pociemniałych rozgorzałych oczu zawisł na jej ustach i czekał na słowo, jak gdyby na pocałunek.

— Imię moje Lilith — wyrzekła nabrzmiałym, gorącym głosem.

On nie przestawał w nią patrzeć, jak gdyby nie rozumiał.

— Lilith — powtórzyła i rozśmiała się. — Pan nie wierzy, jest to moje prawdziwe, najprawdziwsze imię, a może pan nie słyszy?

Złożywszy ręce w trąbkę, przyłożyła je do ust i wykrzyknęła przeciągle z całych sił:

— Lilith!

Górskie echo okrzyk ten powtórzyło kilkakrotnie i o uszy Adama obito się złowrogo, a on patrzył w jakimś zdumieniu na uśmiechniętą jej twarz.

— Nie mogę być Ewą, jestem więc Lilith — wyrzekła i zaraz dodała na pół serjo: proszę się zatem strzedz, a może pan nie zna tej legendy?

Adam istotnie o tej legendzie zapomniał.

— Już bardzo późno, wracajmy.

Jak syrena, skoczyła naprzód, wyprzedziła go i szybko zbiegała w dół.

Potem ujęli się za ręce i razem biegli. Naraz zatrzymał ją: była wyrwa, mogli połączyć nogi, na szczęście zauważył w porę.

Zszedł ostrożnie, a raczej zsunął się, widać teraz było tylko jego jasną odkrytą głowę i ramiona wyciągnięte do Lilith.

— Zniosę panią, tylko proszę ostrożnie.

Zarzuciła mu więc ręce na szyję (inaczej nie było można), on ujął ja w pól i unióśł.

Na moment zwiśla mu w ramionach, czuł ją przy piersiach, które mu rozświetliły nieujawnionym ogniem, przyczem w nozdrza wpadł zapach słodki, rozmarzający, jakby lubieżny zapach.

Trwało to jedno mgnienie, zanim bowiem zdążył ją postawić, skoczyła na ziemię.

— Jakże można — zawołał zdyszczanym głosem.

— Co takiego?

— Ach, nic, trzeba uważać.

Wkrótce znaleźli się w dolinie, szli już zwyczajnie obok siebie, rozmawiając. Tu spotkali jedną staruszkę, znajomą z widzenia, zatrzymała ich.

— Jacy oboje ładni, pewnie młode małżeństwo? — pytała z dobrym uśmiechem, przyglądając się im z zachwytem.

— Tak — przyświadczyła Lilith — w pierwszym miesiącu.

— Ach, jak mi się bardzo podobacie, wyglądasz, jak z romansu.

Mówiąc to, dała im śliczną, na długiej łodydze świeżo rozkwitłą czerwoną różę, którą trzymała w ręku.

Lilith podziękowała miłej staruszce, Adam dziękował także.

— I oto złączono nas, — zauważyła Lilith i podała Adamowi czerwoną różę do powąchania, nie wypuszczając jej z palców.

Adam przytknął usta do puszystych szkarłatnych płatków pachnącej róży, wchłonął w siebie jej miłosną woń i żałował, że owa staruszka nie miała dwóch takich róż i że tę cudną szkarłatną różę ma tylko Lilith!

---

Poszła na górę, aby umyć ręce, Adam został jeszcze na werandzie, gdy za chwilę poszedł na górę i przechodził przez korytarz, usłyszał głos Lilith:

— Doktorze, proszę do mnie.

Otworzyła jednocześnie drzwi, zapraszając go, ździwił się, czyniła to bowiem po raz pierwszy.

Wszedł, patrząc na nią pytająco.

— Cierń z róży wszedł mi w palec — wyrzekła — i na żaden sposób nie mogę wyjąć.

Ujął ją więc za rękę swemi obydwoma dłońmi i uczuł dziwny, nieoczekiwany dreszcz, który wstrząsnął całą jego istotą.

Nie rozumiał siebie, wszak tylokroć w szpitalu, przy badaniu pacjentek, zdarzało się, iż dotykał nie tylko ich rąk, ale obnażonych pleców i piersi, były niekiedy między niemi młode, oraz bardzo ładne, a czynił to zawsze z obojętną troskliwością lekarza. Teraz w palcach swych, któremi ujął rękę tej kobiety, czuł niewytlómaczony ogień.

Przez sekundę patrzyli sobie w oczy wyczekująco.

— Czy da się wyjąć? — spytała.

— Spróbujemy — odparł — mam jednak nadzieję, że bez amputacji się obejdzie.

Rozśmieli się oboje.

Adam opanował się już, z pozorną obojętnością wyjął małe stalowe szczypczyki z pudełeczka, które miał przy sobie, i cierń wyciągnął.

— Pierwsza operacja udała się — zauważyła ze śmiechem.

Zaraz wyszli z pokoju, na korytarzu zatrzymała się, miała iść na dół, a on do siebie.

— Zaraz pan zejdzie? — spytała i najniespodziewaniej podniosła swą rękę do jego czerwieniących się, prześlicznie wykrojonych ust.

— Proszę podziękować — szepnęła kapryśnie.

— Za co? — spytał, marszcząc brwi.

— A za coś... — Palce jej mimowoli dotknęły się jego małych, w górę podkreślonych wąsów.

— Nie — wyrzekł twardo, zcinając usta z jakimś uporem nagłym.

— Nie? — spytała, przechylając głowę kokieteryjnie i patrząc mu w oczy.

— Nie — powtórzył z zaciętością.

Był zły, że myślała, iż i on, jak inni mężczyźni, straci dla niej głowę, stanie się jej wielbicielem, z którym będzie postępowała, jak z myszą.

Zwarjowała! Że z nią chodził, że rozmawiał przeważnie z nią, wprawdzie było w niej coś, co go zaciekawiało, to nie dowód jednak, aby miał ją za to całować po rękach, skoro nie całował żadnych innych kobiet.

Nie chciał przyznać nawet przed samym sobą, że kobieta ta właśnie czyni na nim wrażenie zupełnie odmienne, jak wszystkie inne kobiety,

przeciwnie, starał się wmówić w siebie, że jest dlań tem samem, co każda inna.

— Więc nie? — wyrzekła, rozśmiała się i zbiegła szybko ze schodów.

Poszedł do swego pokoju, umył ręce i zmienił mankiety, potem podszedł do biurka i uczuł w sobie nagły wzmożony dreszcz, zupełnie podobny do tego, jaki nim wstrząsnął podówczas, gdy dotykał ręki Lilith.

Oto na książce, którą zostawił otwartą, leżała owa szkarłatna róża. Jej wspaniała, świeża, wonna, gorąca, ciemno czerwona głowa wychylała się z białych kart książki, jak wabne, kuszące usta tej szczególniejszej kobiety, której rękę przed chwilą miał przy swych ustach i odrzucił. Przecież każdy inny mężczyzna na jego miejscu, nawet on sam, uczynił to wbrew swej chęci. Teraz zrozumiał, co miały znaczyć jej słowa: „Podziękować“. Było teraz oczywistem, że to ona przychodziła tu, do jego pokoju...

Uczuł ponowny gorący dreszcz w sobie i zdawało mu się, że czuje słodki, rozmażający zapach Lilith w około siebie.

Nieśmiało, prawie bojaźliwie wyciągnął rękę i dotknął się aksamitnych płatków róży, potem ujął ją w palce i przyłożył do swych świeżych, ślicznych ust. Purpurowa barwa kwiecica na tle jego delikatnej, białej, zupełnie wiośnianej twarzy, odcinała się jaskrawo i pysznie.

Co to miało znaczyć i czemu to czyniła ta niewytłómaczona kobieta? — przemyślał.

Gdy zszedł na dół, spotkał się z nią w przejściu do jadalni, chwilę patrzył jej badawczo, natarczywie w oczy, ona z swym zwykłym uśmiechem patrzyła nań również bez najmniejszego zmieszania lub chęci okazania czegoś... A jednak rozumieli w tej chwili oboje, czemu ich oczy tak śledczo splotły się z sobą.



Odtąd co dnia znajdował Adam jakiś kwiat w swym pokoju, nigdy jednak nie wspominał o tem Lilith, starał się tylko wybadać coś z jej twarzy i zawsze bez skutku.

Oczy jej mieniące i połyskliwe, podobne barwą ametystom, wyrażały często coś, czego nie śmiał nawet przypuszczać, a usta, zwykle uśmiechnione, obiecywały tak wiele i tak nic zarazem, że przestał badać.

Jego banalny numer hotelowy, w którym starał się jak najmniej przebywać, odmienił się, zawierał w sobie teraz coś tajemniczego. Wraz z kwiatami weszła tu niepokojąca woń Lilith. Ciche drażniące misteryum oplotło go i przenikało pomimowiednie do duszy Adama.

Ilekoć teraz wracał do siebie miał zawsze pewne niepokojące uczucie w sercu i lekkie, a dojmujące kołatanie w niem, szczególnie, gdy przychodził późno.

Lękał się, że zastanie Lilith i śledził, czy nie wynurzy się ku niemu z ciemności jej biała suknia.

Formalnie bał się, aby swoim wejściem jej nie spłoszyć i choć nie zastał nigdy, mimo to czuł jej obecność, czemprędzej zatem zapalał świecę, aby rozproszyć te złudzenia.

Złudzenia? wszak nie były to złudzenia, porzucone kwiaty mówiły wyraźnie, iż tu bywała, mogło się więc tak wydarzyć, że zastałby ją, kwiaty bowiem znajdował w rozmaitych porach dnia.

Odtąd pokój ten stał się tylko jakby przez pół jego pokojem, a przez pół pokojem Lilith, mieli coś wspólnego.

Przez tę pozorną błahostkę ich przyjacielski stosunek nabierał odmiennego uroku, coś było pomiędzy nimi takiego, o czym wiedzieli tylko oni sami, a czego nie wypowiadali nawet między sobą.

Dziś spotkał go zawód — nie przysła, to jest nie było kwiatu. Sprawilo mu to małą przykrość, ach, naturalnie, bardzo małą, zresztą nawet nie przykrość. Tak przekonywał siebie, kładąc się spać.

Postawił świecę na nocnej szafce i roztworzył książkę, aby czytać.

Jego jasna prześliczna głowa występowała z bieli poszewek, jak coś wymarzonego, duże, czyste, głębokie, lazuruowe oczy patrzyły zadumane, a soczyste, jak dojrzewająca wiśnia, usta lekko rozwarły się.

Rozmyślał o Lilith, o jej dziwnym uśmiechu i dziwnych słowach, pomimo, iż stwierdzał przed sobą, z uporem zaślepińca, że nic go to nie obchodzi, musiał przyznać, że była pierwszą, której nie rozumiał, a nadewszystko bał się rozumieć.

Ach, na samo to przypuszczenie na delikatną jego twarz wystąpił rumieniec.

Wszystko to tylko tak wyglądało, w gruncie rzeczy musiało być niczem... i cóż-bo właściwie było?... a gdyby nawet, to rozjadą się i zapomną o sobie wkrótce, zwłaszcza ona, a i on także...

Prze朱元ona i nad wyraz nieśmiała jego natura nie dopuszczała nawet mniemania, iż osoba jego mogła na takiej kobiecie, jak Lilith, uczynić jakieś wyjątkowe wrażenie. Nie starał się o to, nie potrafił i nie pragnął tego, zresztą nigdy nie ubiegał się o względy u kobiet, nie pojmował smaku ubocznych romansów i strzegł przed tem osoby swojej, aż do śmieszności. Pojmowanie życia i zasady, jakie wyrobił w sobie, broniły go od tego, a głównie może uśpiona, zanikła, prawie nieistniejąca w nim zmysłowość dopomagała mu do zupełnej wstrzeźliwości. Z tego powodu narażał się na dotkliwe żarty kolegów, sprawiało mu to jednak przyjemność, że potrafił opanować w sobie zwierzę.

Praca i nauka wypełniała jego umysł, dusza zaś miała swoje górne marzenia szczytnej wielkiej miłości.

Wszystko to chaotycznie, prawie bez związku przepływało mu teraz przez mózg.

Drobna twarz Lilith wciąż powracała, odrzucił więc książkę, zgasił świecę, przymknął oczy i naraz doznał wrażenia, jak gdyby ona stanęła przy łóżku i patrzyła nań z swym zagadkowym, pociągającym uśmiechem, po chwili zdało mu się, iż uśmiechnione usta mówią:

— Dałam ci szkarłatną różę, abyś ją całował, abyś ją pieścił... bo to są moje usta.

Ciało jego podrzuciło się gwałtownie, aż zatrzeszczał stary, bardzo niewygodny wyleżany materac.

Adam rozwarł nagle oczy, zerwał się, zapalił świecę, spojrzął na zegarek — była druga po północy.

Odetchnął, przekonawszy się, że od dawna usnął i że ta szczególniejsza kobieta nie daje mu spokoju nawet we śnie. Uczuł gniew i postanowił raz na zawsze pozbyć się jej z pamięci.

---

Spostrzegli nagle, że zblądzili, wysunęli się naprzód bezwiednie, z początku oglądali się i przystawali, oczekując na resztę towarzystwa, z

którem był i Marjan, mąż Lilith. Rozmowa jednak tak ich zajęła, że dopiero teraz zauważyli, iż zostali sami jedni i w dodatku nie wiadomo, w jakiej stronie, napróżno szukali wskaźników (to jest znaków, malowanych na drzewach), znaleźli się w niezgłębnym lesie, obrastającym górę z urywającą się raptem ścieżyną.

— I co teraz robić? — pytała, nie przestając się śmiać Lilith.

— Ale co powie na to pan Marjan? — wyrzekł Adam.

— Ach, co powie pan Marjan — powtórzyła, następnie zbliżyła się doń tak, iż go dotykała i patrząc mu w twarz, powiedziała:

— Czy się pan lęka?

— Lęka? nie, bo i cóż w tem złego, ale naprawdę nie mam pojęcia, w jaką stronę mamy pójść, czy z powrotem?

— Nie, idźmy naprzód, wierzchołek musi być tam, niema ścieżki, więc pnijmy się.

Próbowali jeszcze nawoływać, lecz odpowiadało tylko echo.

Góra była stroma, kamienista i porośnięta gęstymi krzewami małych świerków i karliną, poczęli się przez nie przedzierać, Adam naprzód torował drogę.

Lilith, swoim zwyczajem, ubrana biało, ująwszy suknię w obie ręce, wspinała się energicznie po oślizgłych, obrosłych murawą, kamieniach. Podróż ta jednak była uciążliwa, tem uciążliwsza, iż był wielki upał. Nagrzane świerki odurzały wonią żywicy i duszną, bez przewiewu atmosferą, musieli wciąż odpoczywać, nie tracili jednak humoru, śmieli się swywoalnie i dowcipkowali.

Adam chwilami ujmował ręce Lilith i wciągał ją za sobą, widział jej zmęczenie i gdyby mógł, byłby ją wziął na ręce i uniósł przez te ostrokrzewy.

Wdzierał się szybko i nad wyraz zręcznie, poczem zatrzymywał i czekał na nią, mimowoli wtedy obserwował, więc widział wyzierające koronki z pod ugiętej sukni, oraz czarne pończoszki, ona zaś patrzyła na jego szczupłą smukłą postać, z taką łatwością wspinającą się wzwyż i zazdrościła mu tej lekkości.

Oparła się o drzewo i zawołała:

— Chyba już dalej nie pójde.

— Cóż znowu, musimy dojść do jakiejś drogi, powrót byłby gorszy, nawet niemożliwy, zresztą już drzewa rzedną, prześwituje.

— Byłoby zabawnem, gdyby ci wszyscy, których wyprzedziliśmy, przyszli pierwsi od nas — rzekła — wyobrażam sobie, co z tego będzie gadania.

— Będę kiedyś moim dzieciom opowiadał o przygodach, jakie miałem z tą sławną...

— Nigdy nie będzie pan opowiadał o mnie swoim dzieciom — zawołała twardo, gniewnie, a mała jej uśmiechnięta twarz schmurniała.

Skoczyła zwinnie, jak młoda pantera, uchwyciła się go, aby nie stracić równowagi i powtórzyła dziwnym głosem:

— Nigdy! słyszy pan.

— A to czemu? — wyrzekł zdumiony i ściał usta, bo uczuł naraz w sobie jakiś nieświadomy niepokój.

— Dlaczego nie miałbym mówić właśnie o pani — pytał zcichłym głosem, który z żartobliwego stał się zalęknionym.

Lecz Lilith już, jak zwykle, rozśmiała się po swojemu.

— A bo tak! — odrzekła.

Wdzierali się dalej, może godzinę jeszcze.

Na wierzchołku istotnie znaleźli już całe towarzystwo, które nie mogło zrozumieć ich opóźnienia, dziwili się również ich zmęczeniu, ponieważ droga na tę górę była tak wygodną, jak na żadną inną.

Adam i Lilith wysłuchać musieli wielu żarcików złośliwych, których im nie szczędzono.

— Oni nie wierzą, że zbłądziliśmy niechcący — wyrzekła.

Adam wpatrzył się w nią, po raz pierwszy uderzony tą obcą myślą, że można to było uczynić umyślnie.

— Naiwność jego niema granic — myślała Lilith, wodząc oczyma po jego delikatnej, teraz zaróżowionej twarzy.

Usiadł obok niej jeden z mężczyzn Netowicz, ale nie odpowiadała mu, rozmyślała nad Adamem.

Naiwność jego nie wy pływała bynajmniej z ograniczoności umysłowej, a wszak i nie z lat, w wieku jego bowiem mężczyźni bywają bezczelni, ale nigdy naiwni.



Przez umysł Lilith przeszedł cały korowód mężczyzn starszych i młodszych, cała falanga samców, którym zawsze chodzi o zdobycie kobiety, niektórzy „sportowcy“ wprost zdumiewali sumą energii, jaką wyładowywali w tym kierunku.

I na tem tle taki chłopak!

Przypominała sobie wszystkie rozmowy, jakie prowadzili, poruszali nieraz tyle zawiłych kwestji i zagadnień, wtedy występowała żywa, młoda, głęboka inteligencja Adama, oparta na wiedzy i rozumowaniu prawdziwie męskiej logiki. I jednocześnie ten sam Adam był tak zdumiewająco naiwnym, miał w sobie niemal dziecięcą prostotę, jakgdyby nie otarł się jeszcze nigdy swem białem ciałem o żaden brud życiowy, jakgdyby nie miał w sobie zmysłów i nie wiedział o przywileju mężczyzn, którym wszystko wolno, którym świat i prawo z pobłażliwością tak wiele wybacza.

Był jak jakiś przedziwny wynaturzony kwiat, który na tej seksualnej wyspie naturalnych popędów i różnorodnych plugawych zбочeń wybijał obdarzony śnieżną barwą i cudną formą, ale bez woni.

Lilith zmrużyła oczy, słońce zachodziło jaskrawo, wierzchołki gór tonęły w tem roztopionem złocie, jak w purpurowej mgłę, niektóre były już w części czarne i odcinały się jak tajemnicze przeraźliwe potwory.

— Pani dawno zna doktora? — spytał Netowicz, chcąc koniecznie wciągnąć ją do rozmowy.

Zanim odpowiedziała, popatrzyła na Adama i spotkała się z jego szczeremi, czystymi oczami, które raptem pod jej wejrzeniem zciemniały i coś w nich poczęło drzeć nowego, nieznanego im samym i lśniło, jak światełko, jak pierwszy płomyk przyszłego pożaru, który wybiega niespodzianie z jakiejś szczeliny, potem idzie... oplata wszystko... i powstaje wielki, olbrzymi, niszczący żywioł ognia.

Lilith wchłonęła w siebie to lśnienie lazurowych źrenic i patrzyła w nie wciąż, a one ciemniały coraz mocniej, zupełnie jak kwiat, który poczyna w ciepłe wonieć.

Adam, jakby przyzwany, zbliżył się, zatrzymał obok, spojrział pytająco i zaraz nakrył swe duże, zciemniałe oczy powiekami.

W zachodzącem słońcu, z odkrytą jasną głową wyglądał, jak cudny złotowłosy paż z bajki, przedwcześnie wybijały pół-młodzieniec, pół-dziecię, dla którego uciechy życia jeszcze tajemnicą, ale w którego duszy

zaczyna się coś przejawiać, coś budzić... a on stoi u progu zakłętego pałacu pełen trwogi i niepokojącej ciekawości.

Patrzyli na siebie, nie uważając, że inni patrzą na nich; złośliwe spojrzenia krzyżowały się, podkreślane dwuznacznymi uśmiechami.

Netowicz, oczekujący napróżno odpowiedzi, lekkim krząkaniem przypomniał o swojej obecności, następnie, wyciągając papierośnicę z kieszeni, zauważył z dyskretnym podkreśleniem:

— Państwo sympatyzują z sobą.

Głos ten, o pospolitem brzmieniu, obudził Lilith. Spojrzała na mówiącego wyniośle, dojmująco.

Jaki nadzwyczajny stanowił kontrast z Adamem! Jego chudy, a mimo to z wystającym brzuchem, korpus wisiał na cienkich nogach, wąsy, silnie zbindowane, dochodziły niemal do szerokiego, nieforemnego nosa, po którym spływał pot do grubych, bladych, sinych warg, oczy, bezbarwne i apatyczne, spoglądały na młodziutkiego lekarza z niechętną zawiścią.

— A pan — wyrzekła z niespodziewaną uprzejmością — czyż nie sympatyzuje ze mną lub z doktorem?

Netowicz nieco się zmięszał.

— Z panią... kto ośmieliłby się twierdzić! za panią my wszyscy... każdy sympatyzuje... panią uwielbiają nawet zwierzęta.

Lilith rozśmiała się bez ceremonji.

Netowicz, podrażniony, przestąpił z nogi na nogę i otrząsnął popiół z cygara, sypiący mu się na wystający brzusek, i dorzucił:

— A cóż dopiero ludzie, chciałem dodać.

Zaczęto się przygotowywać do powrotu.

— Chodźmy tak prosto — zaproponowała Lilith, wskazując przed siebie ręką po górach.

— Jakto, tak na złamanie karku? — zapytał z przestraczem Netowicz.

— A tak, ten, kto ze mną, to i na złamanie karku — i zaraz dodała poważniej — tędy o połowę krótsza droga i można przejść doskonale. Doktorze za mną — zawołała i rozpostarłszy ręce, poczęła zeskakiwać z kamienia na kamień na sposób góralski.

Adam pobiegł za nią, Marjan chciał zaprotestować, było jednak zapóźno, udawał więc, że patrzy na ulatującą żonę obojętnie.

— Ma fantazje — wyrzekł, starając się nadać swemu głosowi wyraz spokoju.

— Aby się tylko nie wydarzyło co złego — zauważyła jedna z pań.

— Umie chodzić po górach, nic się jej nie stanie — powiedział.

— Zresztą jest z doktorem — podrzucił niby dobrodusznie Netowicz i bokiem zerknął na Marjana.

— Ale doktor niewiele rozważniejszy — zawyrokowała ta sama pani.

Całe towarzystwo skupiło się na wierzchołku, obserwując zbiegających.

Drobna postać Lilith w białej sukni pośród zielonych łagodnych stoków górskich migotała, jak duży „latawiec“ dziecięcy, rozbijały na wietrze.

Ciemna, smukła sylwetka Adama czyniła wrażenie chłopca, chcącego dorównać w biegu owemu trzepoczącemu się w powietrzu „latawcowi“.

I oto teraz zrównali się, można jeszcze było dostrzedz, jak ujęli się za rękę i już biegli razem w równych, miarowych podskokach.

Netowicz przypomniał o odwrocie i towarzystwo skierowało się zwolna a poważnie do szerokiej, kamienistej wprawdzie, ale zato dobrze utrzymanej i o łagodnym spadku drogi. Gąszcz lasu, przez który owa droga prowadziła, odgradził ich od Adama i Lilith.

Stoki gór, po których szli we dwoje, były południowe, zatem, gdzie można, kawałkami uprawione.

Zastąpiła im więc najpierw drogę koniczyna i owies, wynaleźli jednak ścieżynę i szli po niej pomiędzy tą kwietną łąką, wdychając rozkoszną woń upajających ziół, które pachniały w tym zachodzie słońca, jakby dla nich.

— A jeśli znowu zbłądzimy? — spytał Adam.

Zatrzymała się i obróciła ku niemu.

— Złotowłosa pazu, zamknij oczy i idź... — chciała mu szepnąć, lecz tylko rozśmiała się swywolnie.

— Niech się pan nie lęka — wyrzekła — wyprowadzę pana z tych zawiłych drózek na... bity gościniec.

W lazurowych źrenicach Adama zadrgało napięcie, chęć wniknięcia w znaczenie tych słów. Patrzył badawczo, ze skupieniem, w połyskliwe, zwodnicze oczy Lilith i, jak zawsze, dojrzał tylko żartobliwość, czyli nic nie dojrzał.

— Nie lękam się, ale cóż uczynilibyśmy w tem pustkowiu, gdyby się ściemniło? — powiedział.

— A gdybyśmy coś uczynili... panie Ada?... — wyrzekła raptem wyzywająco, patrząc mu wprost w jasne oczy.

Na białą twarz Adama padł płomień od tych nadmiernie śmiałych słów. Stał niemy, zaskoczony nagle, nie wiedział zupełnie, jak przyjąć, był jak ogłuszony.

Lilith zmrużyła oczy i z tym samym nieodgadnionym swym uśmiechem powiedziała wolniej:

— Gdybyśmy naprzykład... — tu głos jej przybrał brzmienie zwyczajne — poszukali w koniczynie pięciolistka.

— Ach tak — rzekł mimowoli i, odetchnąwszy głęboko, dodał: — możemy to zrobić.

— I... zrobimy — podchwyciła znów znacząco i tajemniczo — ale nie dzisiaj...

Miał ochotę powiedzieć jej, aby przestała zeń drwić, bał się jednak wydać przed nią parafjaninem, starał się więc wpaść w ten sam ton, nie potrafił jednak, ponieważ zasadniczego tonu nie umiał dociec.

Kawałki uprawne skończyły się, nastały znów wyrwy, a między niemi małe strumyki, które trzeba było przeskakiwać, nakoniec zastąpiły drogę krzewy jerynowe, przez które trzeba się było przedzierać. Adam laską je roztrącał, Lilith zaś wybierała kamienie i przeskakiwała.

Nareszcie wydostali się do doliny, pomiędzy góralskie zagrody, gdy je minęli, droga wiodła tuż nad potokiem, który, ujęty w trzciny i wodorosty, szemrał, jak szklane paciorki, nanizywane na woskowaną nić.

— Czy na świecie jest tylko jedna miłość? — spytał niespodzianie Adam.

Spojrzała nań z zadziwieniem.

Zmieszany nieco, tłumaczył:

— To jest, czy tylko raz się kocha naprawdę?

Lilith, po chwili zamyślenia, wyrzekła:

— Każda miłość... jest nową... i wydaje się tą właśnie, a jest inna... może to jest i raz — lecz kiedy? która jest mianowicie tą pierwszą?... może właśnie ostatnia?...

— Ja też myślę, że można kochać nie tylko raz.

Szli obok, patrzyła mu więc w twarz, było mu tak ślicznie z tą naiwnością, z temi niemal dziecięcymi pytaniami, że ją rozbrajał.

— A czy pan kocha? — spytała.

— Ja... ja — powtórzył.

Lilith zatrzymała się, udając, że chce zerwać gałąź. Cała przepojona gwałtownym niepokojem, wyczekiwała na tę odpowiedź, która miała jej przynieść nareszcie prawdę, rozwiązać zagadkę zachowywania się względem niej Adama.

— Nie można chyba liczyć — wyrzekł po namyśle — czasów studenckich, a nawet jeszcze wcześniejszych, gimnazjalnych, wzdychania do pensjonarek. Była jedna, którą nawet całowałem, dziś ją spotykam i dziwię się temu, taka prosta natura... nie wiem, jak mogłem...

— A po za tem... teraz... czy jest ktoś?... — przerwała Lilith.

— Po za tem... — powtórzył.

Twarcz jego przybrała wyraz marzycielski, podniósł swe duże oczy w górę, gdzie właśnie zamigotała na obłokach pierwsza gwiazda.

— Nie na ziemi... chyba gdzieś tam... w nieskończoności... — odparł zcichłym głosem.

— Ach, tak — zawołała Lilith i radość przepelniła jej duszę, radość, równająca się szczęściu.

— Czyżby to było prawdą? — wyrzekła.

On roześmiał się i coś począł mówić żartobliwie.

Lilith spochmurniała, wątpliwość ponowna wkradła się do niej, teraz znowu odpowiedź Adama wydała się jej nieszczerą, nie umiała tego skryzlować, ale czuła kłamstwo. Uczucie to psuło wrażenie, jakie na niej sprawiał i po prostu zaćmiewało jego zwykłą prostotę. Starła się jednak o tem zapomnieć, wzbudzając w sobie przeświadczenie, że teraz miała prawo do zdobywania go, że on sam jej dał to prawo.

Przeszli przez ostatnią kładkę, przerzuconą przez zwężający się potok, i wkrótce znaleźli się wprost hotelu.

— Oto i doprowadziłam pana — rzekła.

Adam spojrział na nią z zdwojoną uwagą, bo mu się wydało, że słowa te wymówiła w ten sposób, jakby chcąc im nadać inne, głębsze znaczenie, i znów ujrzał tylko półśmiech, który obiecywał, a nie dawał żadnego wyjaśnienia.

---

Był zły na siebie, a jeszcze bardziej na nią o takie głupstwo i powiedziała mu tyle przykrych rzeczy! Nietylko że go zironizowała, ale po prostu wyśmiała, zlekceważyła!

Poszło o poetę, o którym nie słyszał, czuł, iż to wybaczyłaby mu, zrazu bowiem dyskretnie bardzo wyraziła swoje zdziwienie, rozdrażniła go jednak spojrzeniem, więc powiedział ni w pięć, ni w dziewięć z wzgardliwością:

— W a r s z a w s k i poeta!... dużo jest takich miejscowych sław.

To głupie zdanie zwróciło się całkowicie przeciw niemu, wykazując wielką nieświadomość w dziedzinie sztuki.

Pojął to zapóźno. Poeta ów bowiem był prawdziwym poetą, znanym szeroko, choć nie uznanym przez tłum, powiedzeniem zatem swoim Adam sam zaliczył się do tego tłumu, który wie tylko to, co mu gazeciarska reklama wiedzieć pozwala.

Nigdy nie zapomni wyděcia jej ust, z których wybiegło narazie tylko jedno przeciągłe:

— A!... a!...

Poczem spojrzała nań zupełnie, jak na kretyna, i powiedziała z wielką grzecznością, prawie słodyczą w głosie:

— Pan jest zdania, iż trzeba znać tylko artystów ze swego miasta.

Ta impertynencka słodycz jej głosu wyprowadziła go całkowicie z równowagi i wtedy, sam już nie wiedząc, co plecie, wyrzekł ze złością:

— Cóż to za poeta, o którym nie słyszało się?

Rozśmiała się głośno, po prostu parsknęła śmiechem, wtedy właśnie złączyli się z resztą towarzystwa, spytała ich więc o owego poetę, byli zdziwieni, że nie słyszał o nim, a jedna młoda panna zauważyła, iż o poecie tym uczyła się w literaturze i że wyszły już o nim specjalne studia krytyczne.

Lilith zatem nie dość, że zrobiła Adamowi z tego powodu przykrość, to jeszcze i ośmieszyła go przed wszystkimi, on jednak zamiast błęd uznać, z uporem przystawał dalej przy swoim, zaprzeczając talentu temu, którego nie znał.

— Tak, łaskawy panie — powiedziała mu w końcu Lilith — musi się pan na to zgodzić, iż po za zapisywaniem recept i przyrządzaniem lewatyw... jest jeszcze coś innego na świecie, godnego uwagi.

Tak bez najmniejszego zakłopotania, całkiem naturalnie wyrzekła „lewatyw“, a nawet z tym samym wdziękiem, zupełnie, jakby mówiła o kwiatach.

Dziwnym zbiegiem przypadku przed chwilą właśnie wrócił od chorego na cholerynę.

Przed tą kobietą nic, ale to dosłownie nic nie można było ukryć.

Nie pamiętał, aby jakaś rozmowa była dlań tak dotkliwą, jak ta właśnie.

Najniespodziewaniej spotkali pięknego Jumarta. Adam najpierw go dojrzał.

— Ten pan naturalnie wie o każdym poecie — zauważył z niestosowną ironją, jaka zaraz jemu samemu wydała się bezsensowną.

Zrobiło się mu przykro do tego stopnia, że gotów był uciec od całego towarzystwa, a zwłaszcza od Lilith, bo jeśli w dalszym ciągu zechce ośmieszać go przed tym donżuanem, tego nie zniósłby.

Patrzył, jak powitali się serdecznie, a Jumart pocałował ją w rękę, czego on, Adam, nie uczynił jeszcze ani razu. Potem Jumart wyjął z kłapy surduta biały, duży, jak róża, gwoździak, podał jej z przymileniem i wyrzekł niby z umyślną żartobliwością:

— Gdybym wiedział, że tędy przechodzić będzie pani, usypałbym całą dolinę różami.

— A ciernie... czy zapomniał pan o nich? — spytała z uśmiechem.

— Ciernie zostałyby dla mnie — wyrzekł poważniej i swemi czarnymi, magnetyzującymi oczami spojrział na nią wymownie.

Adam szedł z opuszczoną głową, śledząc ich z pod oka, czuł wielką ochotę powiedzenia czegoś niegrzecznego temu eleganckiemu panu, po prostu wzbierała w nim potrzeba tego, aby się uchronić, ukłoniwszy się wszystkim, zawrócił do hotelu, nie spojrział na Lilith, mimo to na twarzy swej odczuwał jej ironiczny uśmieszek.

Ona bezwarunkowo wiedziała, dlaczego nie poszedł z nimi, nieznośna, wszystko odgadująca kobieta!

Zdawało mu się, że zbrzydła mu nagle, że stracił ku niej sympatię, że odtąd postara się od niej usunąć, zacznie stronić.

Tyle panien, będą zadowolone, że się zwróci do nich.

Raptem wszystkie te myśli wydały mu się zupełnie głupie, nie na miejscu, wszak to wyraźne, że ona nie dba o niego, a on nie ma przyczyny, aby dbać o nią.

Zwiesił głowę i westchnął, dusza jego popadła w pierwszą życiową rozterkę, niezgody z samym sobą. Jego białe, wysokie czoło zmarszczyło się, a duże oczy tak przeczyste, jak górskie wody, w których odbijają się błękity, zmałyły się, jakby rzucił kto w nie nagle kamień.

Przed samą kolacją zbliżyła się do niego, prosząc, aby poszedł z nią do ogrodu po kwiaty.

— Do czego? — spytał mimowoli.

— Do włosów, o tak, przypiąć, pan zresztą wie, jak noszę, idę przecież na raut wieczorem.

— Tak? nic nie wiedziałem, z mężem naturalnie?

— Nie, głowa go boli, kładzie się spać.

— Więc z kim? — spytał, będąc pewnym, że umówiła się z tym antypatycznym donżuanem, Jumartem. — Z kim? — powtórzył.

— Z panem — odrzekła prosto.

Właśnie znaleźli się przy furtce ogródka, która zazwyczaj zacinała się, Adam pchnął ją, potem szarpnął i nagle, usłyszawszy tę odpowiedź, zatrzymał się, patrząc na Lilith ze zdziwieniem.

— Jakto ze mną? — wyrzekł w końcu, a przypomniawszy sobie całe poobiednie zajście, dodał podrażniony:

— A skądże wiadomo, że mam ochotę pójść z panią?

— Może pan pójść bez ochoty — odparła z uśmiechem — lecz pójdzie pan, musi pan zresztą pójść, skoro Marjan niezdrów, z kim-żebym bowiem poszła? — wyrzekła najnaturalniej w świecie.

Przyciął usta i patrzył na nią z niezadowoleniem.

— Przecież wszędzie chodzimy razem, we dwoje, więc czemu dziś nie miałby pan pójść? — dodała.

Oczywiście przyczyna była jasna i prosta, Adam nie umiał oponować.

Weszli do ogrodu, był to wiejski ogród, krzewy kwiatów rosły bezładnie, bynajmniej nie na kłębach, ale całymi kępami, a także pomieszane z warzywami.



Rano był deszcz, a teraz już ziola objęła rosa, więc Lilith ujęła wysoko suknię w górę i poszła miedzą pomiędzy zagonami, aż doszli do lasu chryzantemowych aster, gdy miała już cały pęk w rękę, powiedziała, że musi jeszcze wyszukać jeden mały, maleńki aster, ucieszyła się, gdy znalazła nareszcie.

— W jakim celu? — spytał.

— To pan zobaczy.

Niezawodnie dla Jumarta — pomyślał — umówili się zobaczyć na tym raucie i dlatego ona idzie, a ja służę jako środek do celu, jako parawan, idę, jak baran, lecz cóż mnie to ostatecznie obchodzi? niech się bawią.

W gruncie rzeczy był zły, lecz postanowił pójść, aby wykazać, jak mu jest to obojętne.

— I piękny Jumart będzie zapewne na raucie? — zauważył.

— Prawdopodobnie — odparła obojętnie, poczem spojrzała nań, uśmiechnęła się leciuchno i dodała z ożywieniem:

— Naturalnie, obiecałam mu nawet, że przyjdę.

— Ze mną?

— Ach, o to mnie nie pytał.

Gdy wrócili, na werandzie jedna z pań oddała Lilith cały pęk ciętych różowych róż, mówiąc, że zostawił to ten piękny brunet, z prośbą o doręczenie jej.

Lilith ujęła kwiaty i chwilę przyglądała się im.

— Bardzo ładne — odezwała się ta sama pani — muszą być sprowadzane, bo tu w górach tyle i takich nie znalazło by się.

Adam nie pojmował, jak mogły się takie różowe podobać.

— Wyglądają, jak z bibułki — powiedział z przekąsem.

Pani popatrzyła nań dobrotliwie, a znacząco uśmiechnęła się, Lilith zaś wyrzekła:

— Pachną jednak ładnie, wprawdzie nie tak, jak ta czerwona, n a s z a róża.

Adamowi poczęło bić serce, najwyraźniej uczuł przyspieszone, bezmierne kołatanie, a słowa „nasza róża“ rozplynęło w nim takim urokiem, że prawie wyrugowało całkowitą urazę.

— Idę się ubierać, a i pan także — zawyrokowała, poczem stanęła przed nim i, patrząc mu w twarz, wyrzekła:

— Widzi pan... nie każda róża może być czerwona... i tak pachnieć miłośnicie.

Patrzyła nań dziwnie, długo, a potem gorącym szeptem spytała:

— Czy pan rozumie mnie? — I natychmiast odeszła.

Adam patrzył za nią i zastanawiał się nad jej słowami, zazwyczaj zagadkowymi, a raczej nad zagadkowym sensem słów...

Usiłował już tyle razy zrozumieć i wtedy właśnie, gdy sądził, że już pojął, tracił cały wątek domniemań.

Tak właśnie było i teraz.

Gdy zeszła Lilith do jadalni, wszyscy już siedzieli przy stole. Miejsce, jakie zajmował Adam, było dość oddalone i w dodatku z boku, chcąc ją zatem zobaczyć, musiał odwracać głowę, gdy tymczasem ona mogła obserwować go, ile się jej podobało.

Teraz zresztą, gdy weszła, cała biała i w kwiatach, wszyscy zwrócili się ku niej i on wraz z innymi.

Posypały się komplementy czcze, zwykłe, rażąco tuzinkowe, odczuwała to dokładnie — odpowiadała, śmiejąc się wesoło.

Adam zaś zadawał sobie nedorzeczne pytanie, mianowicie: ile też ona ma białych sukien? — o mało co nie zapytał o to głośno.

Przyglądał się jej długo, nawet nazbyt długo i uważnie.

Siedziała pomiędzy dwoma kandelabrami, w tej jasności oczy jej wydawały się jeszcze bardziej połyskliwe, jakby przepełnione tą dziwną, niezbadaną siłą wabności i pokuszeń.

Ta połyskliwość spojrzenia drażniła Adama, nie mógł bowiem odgadnąć, co jest po za tem, a właściwie, czy nie jest to wszystko przywidzeniem, co niekiedy wydawało mu się prawdą.

Białe chryzantemy, które zrywali, bielily się w ciemni włosów, a u piersi, z pomiędzy gipiurowych wstawek stanika, wychylała się różowa róża, jakgdyby szczyjąc się z miejsca, na którym ją umieszczono.

Prześliczne oczy Adama padły zawistnie na głowę tej róży. Doświadczył wrażenia, jakby u tych piersi były usta tamtego. Zciągnął brwi i żałował, że nie może tej banalnie różowej róży, o mdłym zapachu malinowych karmelków, oderwać i wyrzucić precz... na drogę.

Dojrzał również, że maleńki aster, którego tak wyszukiwała w ogrodzie, leży teraz obok jej talerza. Nie wytrwał i odezwał się głośno, usiłując przybrać swobodny, żartobliwy ton:

— A to dla niego.

Lilith, zajęta właśnie rozmową z sąsiadem, podniosła ku niemu swe uśmiechnione, nieco nawet rozbawione, zmienne, bardzo błyszczące oczy i niezwykle poważnie odpowiedziała:

— Zgadł pan, dla niego.

Spojrzenia ich w blasku jarzących się sześcioramiennej świeczników sploty się z sobą, jak do walki.

— Tak, dla niego — powtórzyła już teraz lekko i rozśmiałszy się po swojemu, zwróciła w inną stronę.

Adam sposepniał, właściwie było mu wszystko jedno, tak tłumaczył samemu sobie, jedynie szło mu o to, że taki „pozer“, taki pseudo-inteligent, taki zawodowy „spódniczarz“ dla niej był czymś.

Po kolacji znaleźli się oboje w pustym, słabo oświetlonym korytarzu.

— Panie Ada — wyrzekła przycichłym, pieścizotliwym głosem Lilith, i wyciągnąwszy ku niemu rękę z owym maleńkim astrem.

— To dla pana — rzekła.

Zdumienie nagłe, radosne wtargnęło do duszy Adama. Bezświadomie, odruchowo, instynktownie wyciągniętą ku sobie z kwiatem rękę ujął i po raz pierwszy przyłożył do niej swe cudne, gorące, młode usta.

Lilith rozumiała swoje pierwsze zwycięstwo, patrzyła więc nań zdobywcza i pragnąca, nie usuwając ręki, którą on wciąż trzymał przy ustach. Nagle Marjan stanął na progu i spojrzął na nich podejrzliwie, oswobodziwszy więc rękę, zwróciła się do męża i zaraz odeszła.

Adam został z kwiatem, przytulił go do twarzy i napawał się słodką, rozmarzającą wonią, tą samą, jaką czuł przed chwilą, gdy miał usta na rękę Lilith, właśnie przechodziła ta sama pani, która wręczyła jej róże od Jumarta, Adam zwrócił się do niej i z dziecięcą nieopatrzną radością zawołał:

— Proszę pani, jak ten kwiat pachnie!

Zatrzymała się.

— Astry nigdy nie pachną — wyrzekła — musi być uperfumowany — poczem popatrzwszy na ucieszoną jego twarz z podejściem doświadczonej kobiety, powiedziała:

— Czuję aż tutaj — tak pachnie zawsze pani Lilith.

---

Sala, w której się ów raut, przeplatany tańcami, odbywał, okazała się bardzo prymitywną. Była to weranda, oświetlona papierowymi lampjonami, przepelniona towarzystwem dziś wyjątkowo nudnem.

W gronie panien naturalnie królował Jumart, nie tańczył wprawdzie, ale żonglerował swymi raketowymi dowcipami, jakie podkreślał isticie kobieco-zalotnymi uśmiechami oraz spojrzeniem swych wielkich czarnych oczu.

Adam i Lilith weszli do małego pokoju, poprzedzającego „salę“, w którym był bufet, i przyglądali się chwilę obecnym.

Adam stracił nagle humor, nie chciał wejść do tej „menażerji“, jak się wyraził w podrażnieniu.

— W takim razie i ja nie pójdę — zawyrokowała.

W pokoju było duszno i ciasno, wyszli więc i usiedli na ławce, jaka znajdowała się przy odsłoniętej z tej strony werandzie. Miejsce do obserwacji było doskonałe.

W tej drewnianej, źle oświetlonej, udekorowanej gałęziami zielonych świerków improwizowanej sali, popoceni tancerze, bez fraków, z tancerkami, postrojonemi, jak na prawdziwy bal, wyglądali na marjonetki.

Po chwili zauważono ich, zaczęło się gwałtowne wciąganie do wnętrza, zaoponowali jednak stanowczo, tłómacząc się gorącem.

— Nic nie wiedziałem, że pani jest — zawołał z ożywieniem Jumart, podchodząc.

Spojrzał uważnie w białą, wyłaniającą się w mroku twarz Adama, przygryzł nieco swe ciemne wargi i siadł przy Lilith, całkowicie rozmowę zwracając do niej, coś nawet jej szepnął, na co rozśmiała się w głos, orkiestra właśnie zagrała fortissimo i Adam nie dosłyszał.

— Więc to będzie? — pytał znacząco Jumart, przechylając się poufale do Lilith, a jego czarne oczy połyskiwały zwycięsko.

— Ach, czy będzie?... — powtórzyła Lilith.

— Ale, czy pani chciałaby?... — pytał, a głos jego przybrał drażniący, namiętny ton wyczekiwania.

Lilith chwilę patrzyła w tę bladą twarz typowo pięknego bruneta, a z ust jej nie schodził ów zagadkowy uśmiech, poczem wzrok przeniosła na odkrytą jasną głowę Adama.

Jego olśniewająco biała twarz o przedziwnie gładkiej skórze, nad wyraz delikatna, oświetlona czerwonym refleksiem światła z lampjonów, wydawała się, jak natchniona i z tego rubinowego mroku wyzierała, jak tajemniczy, przeczysty kwiat.

Oczy ich spotkały się i splotły z sobą gorączkowo, spojrzenie tych lazurowych, głębokich źrenic wtargnęło do duszy Lilith, wstrząsając nią, doznała wprost nieoczekiwanego wrażenia. Uśmiech przeobrażał się, przechyliła głowę i, patrząc w Adama, wyrzekła pragnącym głosem:

— Chcę, aby się stało.

I oczy jej zmrużyły się, a potem przymknęły...

Zapanowało milczenie, Adam wstał.

— Zostawiam państwa — wyrzekł — pójdę do domu.

— Jeszcze chwilę — prosiła.

— Nie jestem już potrzebny — powiedział z rozdrażnieniem — ma pani towarzystwo, pan odprowadzi.

— Ach naturalnie — podjął Jumart.

— Przyszliśmy razem, więc i wrócimy razem — zawyrokowała, podniosła się i wyciągnęła rękę do Jumarta na pożegnanie.

— I dlaczego? wszak mogłaby pani zostać, niech pani zostanie — prosił Jumart, lecz nie zgodziła się.

Gdy się już nieco oddalili, odpięła różę od piersi i oddała Adamowi.

Szli w milczeniu.

Wieczór był bardzo ciemny, na moście zatrzymali się, rzeka rozbijała się o kamieniste dno i pluskała jednotonnie, w szmerze tym jednak była jakaś melodia, jakby rozgłosy niewidzialnych, wciąż wibrujących tworów, które uskarżały się łagodnie, lecz beznadziejnie.

Adam ustami wyszarpywał płatki róży, które leki wiatr porywał, niósł w ciemną dal... i rzucał na zimne wody... I tak te różane, wonne łodzie

pływały kędyś... niosąc może na sobie jakie ocalone drobnoustroje w miłosnych opłotach.

— Niedługo już wyjadę — wyrzekła przyciszonym głosem Lilith.

— Wiem — odparł, zadarł ostro zębami płatek róży i dmuchnął nim gwałtownie w powietrze.

— Czy pan nie będzie żałował? czy mu nie będzie za mną smutno?

— A pani?... — zapytał — i cóż — odpowiedział natychmiast sam sobie ironicznie — sezonowa znajomość kończy się zawsze wraz z latem i rozjechaniem w różne strony.

— Ale, czy pan pewien, że się skończy — spytała.

Podeszła ku niemu bliźniętko, dotykała się go.

— Panie Ada — szepnęła — czy pan i c nie rozumie?

Słowo to padło w duszę Adama, jak nagła, nieoczekiwana, a paląca skierka, drgnął, wpatrzył się w nią pilnie, badawczo, lecz było zbyt ciemno, by mógł coś widzieć dokładnie.

— A jeśli tylko u d a j ę , że nie rozumiem? — wyrzekł raptem prawie bezświadomie.

— Udaję?... — zdziwiła się — więc po co udawać — dodała z niechęcią — naturalnie — zaprzeczyła — jestem pewna, nie rozumie pan wcale.

Umilkli oboje, a potem Lilith powiedziała z goryczą:

— Zupełnie jak z tą różą popsuje pan, zanim się rozwinie, czy nie szkoda?...

W ciszę tego ciemnego letniego wieczora wdarła się teraz ponownie muzyka orkiestry: walc oblatywał w koło zaroszone trawy i przybiegał ku tym dwojgu, którym oś zbędnych przesądów nakładała na dusze pęta. Nieujęte w formę porywy wyrwały się, a tłoczone przemocną tradycją, nieciły wzajem przykry żal i zadając kłam życiu, fałszowały go barbarzyńsko.

Jakiś raptowny okrzyk wyrwał się z piersi przechylonej przez balustradę mostu Lilith, okrzyk gniewny, prawie nienawistny. Zwróciła się do Adama, uchwyciła go za rękę i z całą swą gwałtownością złożoną w pięść ręką uderzyła go w dłoń.

— Chciałabym uczynić panu coś złego, coś bardzo złego... — zawołała.

— Złego?... — jak zbudzony ze snu spytał prawie z przestrawieniem — i czemu?...

— Aby mnie pan pamiętał, pamiętał na zawsze.

— To czemuż nie upamiętnić się czym dobrym?

— Ach, dobrym — zawołała lekceważąco — dobre zapomina się prędko, jedynie zło zostaje na zawsze. — Głos jej stwardniał i stał się okrutny.

— Może pan być pewien, że coś takiego zrobię — dodała, poczem rozśmiała się głośno, złowrogo.

Adam uczuł niewymowną przykrość i rodzaj bojaźni przed tem czemś nieujętem, a groźnem, co nagle wypłynęło ku niemu od tej szczególnej kobiety.

---

W całym ogromnym pokoju było ciemno.

Adam ode drzwi prowadził ją za rękę do stołu, na którym żarzyła się jakaś maleńka lampa o czerwonym płomyku. W świetle tem twarze kilku osób, otaczających stół, wyglądały tajemniczo.

Lilith szła wolno na palcach, po cichu.

Nikt z obecnych nie rozmawiał, wszyscy zatopieni byli w coś pilnie.

Ręka jej, zanurzona w dłoni Adama, płonęła, jakgdyby pragnąc uścisku, on jednak trzymał ją delikatnie i pośród ciemności wiódł ostrożnie, aż do kanapy obok stołu, na której oboje usiedli.

— To bardzo ciekawe — wyrzekła.

— Nigdy pani tego nie widziała?

Właśnie Netowicz, mistrz tej ceremonji, z zakasanyimi rękawami nachylił się nad wanienką, napełnioną wodą, i począł z niej wyjmować rulony papieru.

Tuż za nim stojąca pani zawołała z przejęciem:

— O, już wychodzi, wychodzi...

Zrobił się ruch, wszyscy z pośpiechem pochylili głowy, starając się dojrzeć jednocześnie.

— Nie miałam pojęcia, że to się tak odbywa — powiedziała Lilith i, aby lepiej widzieć, uniosła się nieco i całym ciężarem oparła o Adama, który, siedząc przy poręczy kanapy, nie miał możliwości odsunąć się.

Na cienkim, mokrym papierze występowały już dokładne kontury sfotografowanych osób.

Całe towarzystwo zdjęte było w ruchu, Adam stał przy Lilith, jej rozwinięta biała parasolka rzucała na jego uśmiechnioną twarz nikły cień swej rozświetnionej jasności, jego oczy, zmrużone w blasku, jakby badały i jednocześnie o coś prosiły, choć same o tem nie wiedziały.

Reszta osób szła obojętna, znudzona i niezadowolona ze słońca.

— Jak my dobrze „wyszliśmy“ — zawołała Lilith.

Mistrz ceremonji podniósł ku nim swą apatyczną twarz przeżytego młodego starca i głosem przewlekłym, chropawym, zupełnie jakby zakatarzonym, wyrzekł:

— Tak, państwo wyszli najlepiej.

Jego wyblakłe, zmęczone z wycieńczenia syfilitycznego oczy zsunęły się po twarzy Adama, nieco dłużej zatrzymując na głowie Lilith, a potem powróciły obojętne, opierając się na mokrym rulonie papieru.

Lilith usiadła tak blisko Adama, że stykali się z sobą, przyczem z roztargnienia swą gorącą rękę położyła mu na nodze, poruszył się niespokojnie, potem skorzystał z pierwszej sposobności i przesiadł się na krzesło.

Siedzieli teraz na wprost siebie, przedzieleni nikłem, czerwonym światełkiem tajemniczej lampki.

Lilith zrobiło się nad wyraz przykro po tej jego ucieczce, może myślał o niej, jak o trywjalnej kokietce, która tak grubymi środkami stara się go przyciągnąć, to, co ona czyniła odruchowo, może on brał za metodę!?

Netowicz, nie odrywając się od zajęć, ślamazarnym głosem rozповідаł o swoich zdjęciach z Rapperswilu.

— Jaka śliczna wyspa, a ten zamek, możnaby się odgrodzić od świata i żyć... — dorzuciła Lilith — gdybym go mogła kupić, to... — urwała.

Podrażniona własnymi przedchwilowemi przypuszczeniami, zwróciła się do Adama, przechyliła przez dzielący ich stół i patrząc mu w twarz całą w czerwieni rubinowego światła, wyrzekła impertynencko:

— Gdybym miała dużo pieniędzy, to zabrałabym pana.



Adam drgnął, wpatrzył się w nią spojrzeniem dziecka, niesprawiedliwie urażonego.

— No... — ciągnęła, uśmiechając się lekceważąco, wprost arogancko — nie na zawsze, o nie... ale tak na pewien czas.

Twarz Adama przybrała wyraz nagłego gniewu, oczy zwięzły się, następnie rozwarły i patrzyły zwiększone nadmiernie, podrażnione do głębi i pełne złych, obcych im promieni na uśmiechnione, lekceważące usta Lilith.

Wstał, jakby z zamiarem rzucenia się ku niej z obelgą, ale, opanowawszy się, siadł i patrzył w obrażającym zdumieniu.

Apatyczna twarz Netowicza zwróciła się ku nim, a zniszczone oczy ożywiły się chwilowo, udawał jednak, że nie zwraca uwagi, reszta osób również śledziła ich pilnie.

Adam zaciął usta, potem dolna ich warga wyciągnęła się nad miarę z pod białych zębów.

— A ja nie pojechałbym — odezwał się wolno, z namysłem.

— Tak... a to czemu? — pytała, nie zmieniając tonu — czy nigdy?...

— Pojechałbym, ale za s w o j e pieniądze i nie z p a n i ą — dodał jeszcze wolniej z naciskiem.

— A z kim? — spytała, nie tracąc równowagi.

— Już ja wiedziałbym z kim — odciął szorstko, wprost obraźliwie.

Na blade, wydęte wargi Netowicza wybiegł złośliwie uradowany uśmiech, pomiędzy zaś resztą osób przebiegł dyskretny szmer.

Lilith, nie zmieniając pozycji i nie spuszczając z Adama swych zdobywczych, połyskliwych oczu, wypowiedziała niedbale:

— Ma pan słuszność, ja bowiem mogłabym rozmyślić się w drodze.

I oczy ich po raz pierwszy starły się z sobą, jak dwa cięcia, i żadne nie ustąpiło.

Lilith następnie bez żadnej urazy odwróciła się odeń i rozpoczęła z zdwojoną uprzejmością rozmowę z Netowiczem, wychwalając jego amatorskie zdjęcia. Ożywił się i rozповідаł coraz obszerniej o swojej umiejętności i zamiłowaniu.

Adam milczał, po raz pierwszy w życiu czuł się tak bardzo dotkniętym. Miał jasny dowód, że zeń drwiła, jak z pierwszego durnia, odniósł wrażenie policzka i to ze strony niemożonego przeciwnika.

Przypomniął sobie dzień wczorajszy, wieczór nad mostem, oto był jak na tronie, zdawało się, że naprawdę jest czemś dla niej, po nad innymi i nagle teraz kopnęła go, jak się kopie głupiego psa, który nie zna tresury.

---

Był ciemny, chłodny wieczór bez księżyca, gwiazdy iskrzyły się, jak w mroźną noc, wracali ze spaceru, latarka, jaką niósł Netowicz na przedzie, słabo oświetlała kamienistą dolinę.

Lilith, rozdokazywana, bezustannie zaczęła Adama, oboje już zapomnieli o urazie i byli wyjątkowo rozbawieni, śmieli się głośno, nierozważnie, właściwie bez przyczyny.

Gdy towarzystwo zatrzymało się przed hotelem, szepnęła:

— Chodźmy oboje dalej, chce pan?

Adam bez namysłu zgodził się, od pewnego czasu, bez zdawania sobie sprawy, pozwalał powodować sobą i ulegał zawsze jej kaprysom.

— My jeszcze się przejdziemy — zawołała głośno i poszła przodem prędko, obawiając się, że ktoś zechce im towarzyszyć.

— Jest bardzo ciemno — wyrzekła i ujęła go pod rękę.

Adam, uczuwszy Lilith tak blisko siebie, odetchnął ciężko i bezsilnie, nie miał bowiem sposobu pozbycia się tej ciepłej ręki, a także i nie odważyłby się. Owo spojenie z tą dziwną kobietą podczas tej ciemnej, tajemniczej nocy, wśród pustej, milczącej, jakby wymarłej, doliny czyniło na nim wrażenie szczególne, opętujące, jednocześnie pozbawiało go wiecznej analizy własnych postępów, rozważania ich i oskarżania siebie przed sobą. W tej chwili Lilith nim władła całkowicie, odczuwał to jeszcze, choć coraz słabiej i mimowiednie poddawał się temu nieznanemu uczuciu zmysłów, sprawiało mu to jakąś bolesną rozkosz. Być może ból ten właśnie wpływał z jego własnego niezdecydowania, z braku odwagi czynu, oraz z niedokładnego zdawania sobie sprawy, że to, co w nim rozbudziła Lilith, wybiegało po nad wszelkie rozumowania i że walka z tem była częścią walką.

— Proszę zdjąć czapkę — prosiła — będę choć trochę widziała pana.

Gdy to uczynił, podniosła ku niemu twarz i przytuliła się mocno do jego ramienia.

— Czy pan wie, że za dwa dni wyjeżdżam?

— Wiem — odparł krótko i zaraz dodał: — ja także wyjeżdżam w parę dni.

— No tak, ale nie tam, dokąd ja.

— Prawda, nie tam, dokąd pani.

— Nie będzie panu smutno za mną?

Nie odpowiedział, szedł ze zwieszoną głową.

— Szkoda, że nie mieszkamy w jednym mieście — wyrzekła — ale to nic, przyjadę, a i pan także przyjedzie do mnie, prawda?

Mówiąc to, przywarła ciałem wzdłuż jego ciała, Adam uczył, jak przez ubranie przesiąka doń jakiś oślepiający żar, idący od niej.

— Nie wiem — wyszeptał przez zaciśnięte zęby, które mu poczynaly klekotać w ustach.

— Ach ja wiem, że pan przyjedzie.

Minęli już wszystkie wille, a nawet zagrody, nie spotykając nikogo, weszli teraz w dolinę niezamieszkałą, szumiącą od potoków.

— Dokąd mnie pani prowadzi? już czas wracać, późno — wyrzekł rozłamany, nieswoim głosem.

Przechodzili właśnie obok potoku, który huczał, rozbijając się o kamienie.

Lilith rozśmiała się. W ciszy tego ponurego wieczora, w której słyhać tylko było bezdzwięczne, głuche uderzenia ich kroków pośród kamienistej drogi, śmiech ten się rozleciał swywolnym, ponętym i zdradzieckim echem.

— A jeśli naprawdę zaprowadzę pana do przepaści, jeśli wrzucę tam pana? — mówiąc to, lekko popchnęła go w stronę barjery, okalającej zrąb doliny po nad kotliną, w której rozbijał się potok.

— Wracajmy — prosił wyczerpanym głosem.

— Czy panu źle ze mną?

Westchnął i już milcząc, jak zahipnotyzowany, szedł z Lilith w ciemną, nieznaną, pustą, jakby zamarłą i zastygłą w czerni nocnej dolinę.

Oboje pośród tych obrosłych lasami gór, które stały teraz, jak przyczajone potwory, byli podobni do dwóch tajemniczych zjawisk, zespolonych z sobą na błędną wędrówkę.

W tej groźnej, spotęgowanej górami, ciemności jedynie jasna głowa Adama wylała się i majaczyła, jak światło.

— A gdyby nas tak spotkał pan Jumart? — wyrzekł niespodziewanie i przystanął.

— Nie możliwe, wszak jesteśmy już po za obrębem domów, tu już nikt nie mieszka.

— Zatem nie chciałyby pani, aby nas spotkał?

— Nie chciałabym?... — zdziwiła się szczerze — pan wie, jak mało zwracam uwagi na formy, a zresztą i tak jutro się dowie o naszej nocnej wycieczce.

— A z nim, czy chodziła pani również tak, jak ze mną? — spytał niespokojnie, starając się dojrzeć wyraz jej twarzy, ale na to było nazbyt ciemno.

Pytanie to ucieszyło ją, gdyby można, byłaby zakrzyknęła głośno z pełnych, rozradowanych piersi:

— Nie, nigdy, ani z nim, ani z nikim nie chodziłam tutaj w żadnej porze tak, jak z panem.

— Ze mną, tylko ze mną — powtórzył, a jego młody, soczysty głos rozplynał się w ciszy, jak przeciągły, wiolonczelowy ton.

— Tylko z panem — przyświadczyła raz jeszcze.

— A dlaczego ze mną? — zapytał prawie szorstko.

Zapanowała chwilowa cisza.

— Bo mi się tak podoba — odparła Lilith i cichuteńko rozśmiała się. Adam drgnął.

— A gdyby... — szepnęła i urwała.

Nie dopytywała, skrzyła na bok.

— Ostrożnie — ostrzegęła — tu jest ławka.

Usiedli daleko od siebie, Adam na samym brzeżku, już nie mógł bardziej się odsunąć, bo ławka kończyła się, dotykali się jedynie rękawami.

Potok za nimi szumiał, szarpał się o kamienie i rozbijał, Adam zapalił papierosa i nerwowo gryzł go w zębach.

— Proszę mi go dać — powiedziała.

Zadziwiony, gdyż Lilith nigdy nie paliła, sięgnął do kieszeni.

— Nie — zaprotestowała kapryśnie — chcę tego samego.

Wyciągnęła rękę i wyjęła z ust Adama papieros, zaciągając się nim mocno. Cały munsztuk był wilgotny i gorący, jakby jego usta.

— Będziemy tak palili, teraz znowu pan, tak na zmianę — mówiła rozśmiana, podając mu papieros.

Adam dostawał kompletnej febry, umysł jego zaciemniał się, wszelkie rozumowania ulatywały, natomiast opanowywała nim szalona, granicząca z obłędem, żądza wyciągnięcia rąk i chwycenia niemi Lilith. Choć na moment uczeptenia się jej ust, na jeden krótki moment.

Potrzebował całego wysiłku uporczywej woli, aby nie popełnić szaleństwa, ratowała go jedynie wrodzona nieśmiałość oraz wątpliwość, czy Lilith nie odepchnie go.

Chwilami zapominał i o tem, jak i o jej mężu, z którym przed godziną rozmawiał z umyślną serdecznością, aby się nią odgrodzić od tej kobiety.

Wszystko to rozpraszało się i przestawało istnieć, była tylko ona, czuł ją tak blisko, że trzeba się było o cal posunąć, aby się zetknąć.

W tej dolinie, w tej ciemnej nocy, byli tak bardzo oddaleni od ludzi i tak odgraniczeni od nich, iż gdyby chciał, mógłby ją nawet zabić.

Stanowczo, gdyby zechciał, mógł z nią zrobić wszystko, coby mu się podobało, nawet wbrew jej woli, bo wszak był od niej fizycznie silniejszym i nie potrafiłaby się obronić, zwłaszcza w tej chwili, czuł wzbierające w sobie wszelkie moce potencjalne.

Mimo to siedział wciąż na skraju ławki, paląc do wspólni z Lilith papierosa za papierosem; gdy go brał w usta tak bezpośrednio z jej ust, to wchodził weń jakiś gorący wiew jej rozkosznego ciała, czuł, że oplata go zapach słodkich, lubieżnych jej perfum, że jakąś cząstkę jej samej wchłania w siebie. Od tej dziwnej, wyrafinowanej pieśczoży czyniło się z nim coś takiego, że słabł i odchodził poprostu od przytomności.

Gdyby wiedziała, jak pragnął jej ust, dotknięcia raz jedyny — nic więcej tylko tych uśmiechnionych, wabnych ust, to może ofiarowałaby mu je sama. Lilith jednak panowała nad nim i właściwie nie ona, lecz on całkowicie wieczoru tego był w jej mocy — rozumiała to doskonale, wiedziała, że potrzeba jedynie jakiegoś nieostrożnego ruchu z jej strony lub słowa, a stanie się to...

Bała się jednak, że owa złotolita nic, jaką tak misternie rozsnuła, jest jeszcze za słabo zadzierżgnięta i może się zerwać, odczuwała, że nie

przyszedł jeszcze czas. Nadewszystko rozumiała, co się mogło stać jutro... że Adam nie zniósłby tej sytuacji jutra — z tamtym...

Jasno, bardzo jasno w umyśle Lilith objawiały się skutki. Adam był to człowiek, który mógł żyć tylko prawdą, wprowadzony tak nagle na drogę fałszu, zgubiłby ją i siebie.

Napawała się więc tylko tą naprężoną chwilą, tą nadzwyczajną chwilą swego zwycięstwa, z jakiego zdawała sobie dokładnie sprawę.

Ten uroczy człowiek, ten czysty, jasnowłosy chłopak nareszcie się obudził!

Wchłaniała to w siebie i upajała się, jak wonią tuberoz, on, Adam, był teraz jak ten biały, najbielszy z kwiatów, przezysty kwiat, o najlubiejszej na świecie woni, — rozplomieniem pobudzony przez nią — woniał.

Wstała, podniósł się za nią ciężko, bez słowa, ujęła go nanowo pod rękę i poszli z powrotem wzdłuż białej doliny, która w czerni nocnej majaczyła, jak długie, blade pasmo płowego warkoczka.

---

— Już jutro — wyrzekł Adam przez zaciśnięte zęby.

Lilith spojrzała nań, odrazu zauważyła nadmierne jego rozdrażnienie.

Szli rozmięktą, błotnistą doliną, w twarze leciał im drobniutki, cięty, jak igły sosen, deszcz. Uporczywe, przykre, czepiające się skóry niezdolne kropelki dżdżu leciały im w oczy wraz z chłodnym wiatrem, utrudniając bystrość wzroku.

— Chciałabym, aby tak ciągle deszcz padał po moim wyjeździe — powiedziała, śmiejąc się.

— Czemu?

— Temu — przekomarzała się, jak pensjonarka — aby panu było jeszcze nudniej, jeszcze gorzej, zupełnie źle przez te dni, jakie pan tu jeszcze zabawi.

Szedł po drugiej stronie drogi i patrzył na nią pomimo irytującego deszczu, który mu w tem przeszkadzał.

— Znajomość nasza sezonowa — wyrzekł z goryczą — sezon się kończy, więc...

— A między nami dopiero się zacznie — podchwyciła.

Adamowi tchu zbrakło.

— Zacznie się... — powtórzył przyciszonym głosem — ale co?...

— Czy ja wiem, co?... — mówiła niedbale, uśmiechając się — może przyjaźń.

— Niech pani przyobieca, że napisze do mnie czasem parę słów, choć na kartce.

— To już obiecałam.

Przystanęli i oparli się o jakieś sztachety, okalające przed willą ogród.

Zapach przemokłych róż mieszał się z zapachem wybujałych floksów i płynął ku nim, jak kadzidła.

— Mam prośbę do pani — wyrzekł z nagłą determinacją — ale proszę, niech pani przedtem przyrzecze, że spełni.

— Jakto, mam przyrzec, nie wiedząc na co?

Skinął głową, patrząc w nią błagalnie.

— Dobrze — wyrzekła po chwili — przyrzekam, że uczynię, cokolwiek pan zechce.

Pochylił się nad nią rozradowany, jego duże, prześliczne oczy lśniły uczuciem, które rozwijało się w nim, przedzierając się po przez wszelkie formuły i poglądy.

— Naprawdę zrobiłaby pani? — zawołał, a głos jego brzmiał szczęściem — otóż ja chciałbym, aby pani raz, jedyny raz...

I nagle umilkł, ściał swe soczyste, jak wiśnia wonne i czerwone usta, zbladł i patrzył w nią, a raczej w siebie z przerażeniem; przestraszył się swego niewypowiedzianego żądania i pomimo, że nalegała nań, nie wyjawiał go.

Ujął ją tylko za rękę, pocałował i wyrzekł stęsknionym głosem:

— Dziękuję, bardzo dziękuję, że pani uczyniłaby to dla mnie, że obiecała, nie wiedząc.

Mówiąc to, trzymał usta przy jej ręce i drżał.

— Więc tylko panu o tyle chodziło? — pytała z zawodem.

— Dla mnie ma to znaczenie duże, oprócz kartki, jeszcze proszę o fotografię — dodał, wypuszczając jej rękę.

W tej chwili minął ich powóz, który zaraz się zatrzymał; jechał w nim Netowicz.

— Państwo w taką niepogodę na spacerze? — zawołał, wychylając się — proszę, pojedziemy razem.

Wymawiali się napróżno, trzeba było korzystać z uprzejmości, z braku miejsca usiedli we troje, Adam znalazł się w środku i tak blisko Lilith, że ciała ich całkowicie stykały się, a nawet opierały o siebie.

Stangret zaciął konie i pojechali, Lilith o mało nie wyleciała.

— Niechże mnie pan trzyma — wyrzekła.

— Przesiadźmy się — zaproponował.

— Przecież może pan panią przytrzymać.

Adam, drząc, objął Lilith w pól i bezwiednie bardzo mocno przycisnął do siebie, ona przytuliła się zupełnie, jakby czekała tego objęcia i jakby za chwilę miała mu ofiarować swe upragnione usta.

Oboje tak zbliżeni czuli tętniące w sobie pulsa i wszystkie niezmożone potencjalne dreszcze, jakie wstrząsały ich ciałami, wdzierając się aż do duszy.

Te dwie istoty zespoliły się tak z sobą, iż były jakby jedną istotą, ponieważ z równą mocą pragnęły się wzajem i odczuwały rozkosz w tym przedsmaku rozkoszy, jaką mieć mogły.

Nie wiadomo kiedy znaleźli się przed hotelem, czekał tam już na Lilith Jumart, który przyszedł ją pożegnać, siedział bardzo długo.

Wogóle już dnia tego Lilith nie rozmawiała z Adamem, wpadła w wielkie rozdrażnienie i na jego nieśmiałe słowa odpowiadała impertynencko.

Miała wyjechać w nocy, weszła więc na chwilę do sali, aby pożegnać się z wszystkimi.

Adam przyszedł za nią, czuł się wyczerpanym i znużonym zachowaniem się jej, nie spuszczał jej mimo to z oczu, ona jednak pomijała go, odnosząc się doń, jakby go przy niej nie było.

Niespodziewanie, żegnając letników, ożywiła się, zaczęła żartować i śmiać się, dla wszystkich znalazła uprzejme słowo, prócz niego.

Następnie pochyliła się nad dużym, czarnym psem i głaszcząc go, mówiła:

— Żegnam i ciebie, podobałeś mi się, bo lubię brunetów.

Pies patrzył jej w oczy, jakgdyby rozumiejąc, przytem starał się ją polizać po twarzy, co mu się jednak nie udało.



Wyszła, Adam za nią. Było jeszcze wcześniej, postanowił jednak pójść do siebie, bo działo się z nim coś, czego nie umiał określić.

Szli po schodach, ona na przedzie, on za nią i nie przemówili do siebie ani słowa.

Przed drzwiami swego pokoju zatrzymała się. Marjan jeszcze został na dole, byli więc sami.

Chwilę patrzyli sobie prosto w oczy, jakby wyczekując wzajem czegoś... co koniecznie wydzierało się z głębi ich jestestw.

Adam był blady, a jego głębokie, lazururowe oczy stały się smutne, proszące i załężnione.

— Żegnam pana — wyrzekła krótko, ostro, wyciągając doń rękę.

On tę rękę ujął w obie dłonie, pochylił swą jasną śliczną głowę, położył gorące, wilgotne usta i trzymał je w długim pocałunku, który wypowiadał utajone słowa, jemu samemu nieznane.

Do Lilith doszedł głos Marjana z dołu, potem słyszała, jak zaczął wchodzić na schody, stopień po stopniu.

Ruchem nagłym, nieprzewidzianym, prawie brutalnym wyrwała rękę z dłoni Adama, poczem rzuciła się ku drzwiom swego pokoju, szarpnęła je i gwałtownie zatrasnęła za sobą.

Adam, jak ogłuszony, poszedł do siebie i zaczął się automatycznie rozbierać do snu.

Nocy tej spał tak mocno, iż nie obudził się o godzinie, w której Lilith wyjechała.

---

— Jest mi przerażająco smutno w tej powrotnej drodze, panie Ada!  
Lilith.

Przysły do Adama te pierwsze pisane jej słowa na malowanej kartce, potem, gdy już wrócił do siebie i pracy, przyszła druga.

— Siedzę w błękitnym pudełku swego pokoju i ślę obiecaną kartkę, ta z drogi była tylko niespodziewanym dodatkiem.

Na mojem biurku czerwone róże pachną, jak kochanie, gdy się go ma pełne ręce, a pan może właśnie trzyma termometr, mierzy gorączkę, lub bada tętna czyjegoś chorego serca.

Panie Ada, proszę napisać coś o sobie.

Czy pamięta pan i myśli o tem czemś... co było niczem? — Składało się ono z tylu niewypowiedzianych słów, iż pomieścić się nie chcą, a streścićby je można tak prędko i krótko, lecz po co? może doprawdy to wszystko ułuda?

Lilith.

— Szczerłość uważam za konieczność, pisanie jest to bowiem łączenie myśli z myślą. Konwenans już tylu ludziom psuje życie i dusze, iż przynajmniej niektórym niech będzie wolno z pod niego się wyłamać. O ile mamy pisywać do siebie, żądam od pana tego, co sama daję, to jest szczerości, bezwzględnej, choćby nawet szorstkiej. Chyba, że pan Ada chce i wolałby otrzymywać odemnie kartki pełne banalnych słów z grzeczności, opartych na towarzyskiej blade, jak na sezonową znajomość przystało. Lecz takie może pan mieć i nie odemnie, gdy tymczasem inne tylko odemnie. Zatem?!

Jest to odpowiedź na pańską kartę, na którą tak bardzo długo oczekiwałam, sądzę, że zawsze tak nie będzie i proszę, aby tak nie było.

Lilith.

— Księżyc jest wprost mego okna i patrzy na mnie, jak wtedy na nas, gdy po raz pierwszy szliśmy oboje wysrebrzoną doliną. Pamięta pan Ada, na początku poznania?

Szliśmy od siebie tak zdaleka, mówili o rzeczach tak obojętnych. Można było powiedzieć wszystko, lecz my nic nie powiedzieliśmy, bo nie mieliśmy nic do powiedzenia.

A potem, przed moim wyjazdem, poszliśmy znowu w ową dolinę w ten ciemny, chłodny, ponury wieczór.

Szliśmy tuż przy sobie i również mówili o rzeczach obojętnych, choć można było tyle powiedzieć... Lecz czy także nie mieliśmy wówczas nic do powiedzenia?...

...I powracaliśmy ciemną, posępną drogą i tylko jasność pańskiej odkrytej głowy majaczyła, jak zjawisko w smutnym śnie.

Lilith.

po północy:

Widzę z tych paru słów pańskich, napisanych na prędcie, że uczyniłam panu jakąś przykrość, a tego nie chciałam i nie wiem, jakim się to stało sposobem.

Nieporozumienie, a z niem — dysonans, myślę jednak, że nanowo zapanuje harmonja. Jak pan widzi mimowolna przykrość, jakiej pan doznał, przysła aż do mnie i to tak dalece, że aż czuję potrzebę dłuższego porozumienia się z nim i piszę cały list. Tego się pan Ada nie spodziewał!

Wogóle robię teraz rzeczy, których sama nie spodziewałabym się po sobie. Niech mi pan Ada napisze, co go tak na mnie rozgniewało?

Wybieram się w październiku do pańskiego miasta, jeśli więc będzie się pan ze mną kłócił — nie przyjadę.

Proszę przestać się gniewać i napisać, co pan robi?... A może zapomniał pan Ada o swej sezonowej współtowarzyszce górskich wycieczek.

Czy są chwile, w których pan o niej myśli?

Lilith.

Teraz, po wysłaniu listu, odebrałam pańską kartę, natychmiast więc donoszę o tem.

Przeczuwałam, że po tamtej otrzymam drugą i umyślnie po nią poszłam i tak się stało.

Jak to dobrze, iż pomiędzy nami znowu harmonja!

Lilith.

Chora jestem: gorączka, kaszel, rozdrażnienie i bezsenność, czyli nerwy. Jeśli tak potrwa, to nie przyjadę, aż kiedy, kiedy... A mieliśmy się zobaczyć za dni kilkanaście.

Lilith.

Naturalnie nie powinnam już pisać do pana wcale, jego bowiem impertynenckie milczenie mówi za siebie.

Piszę zazwyczaj odruchowo, być może, iż coś pana dotknęło.

Kazano mi leżeć w łóżku: silne zaziębienie. Czy jednak mogę leżeć i myśleć? Nie — oszalałabym.

Dzisiaj w nocy reszta logiki trzymała mnie, miałam bowiem prawdziwą chęć wyskoczenia przez okno — o tak... na głowę. — No, ale życie jest na to, aby ludzie postępowali wbrew chęciom, aby się stroili w formuły, a przedewszystkiem prowadzili się rozsądnie.

Wprawdzie kpię z tego wszystkiego, jednak nie wyskoczyłam oknem, a nawet tej nocy nie napisałam do pana, choć także chciałam to uczynić.

I bardzo dobrze, że nie napisałam, wszystkie bowiem złe anioły i potępione siły byłyby rozwarczały się w mojej stalówce i spłynęłyby na papier słowa tak okrutne, iż nie zapomniałyby ich pan nigdy, nawet w chwili szczęścia przyszłyby udęczać mu duszę. Potem, naturalnie, żałowałabym, a cofnąć już nie byłoby można i złotolita nie przyjaźni zerwana. Pan jednak nie chce być ze mną w przyjaźni, pan się przeraził. Wszak i to napisać można, wszystko, byle szczerze, a pan milczy.

Czy powinien pan zbywać milczeniem myśli, które dzielę tylko z panem? A może i pan także uważa mnie za kokietkę?

Zła chwila minie i pan napisze wszystko, co było powodem tak brutalnego milczenia.

Gdzież się podziewa urok przenoszenia odruchów duszy? Czy pan pamięta, jak mnie pan prosił, abym pisała?

Lilith.

Chce pan, abym wytłómaczyła, czemu postanowiłam nie pisać więcej. Piszę zanadto szczerze, a wiem, iż się to panu nie podoba, pan bowiem względem mnie jest konwencjonalnym. Widzę w panu chęć utrzymania pomiędzy nami znajomości, jak tyle innych.

Pan rozumie, że jest inaczej, ale pan chce gwałtem, abym ja zobaczyła, że postępuję niewłaściwie, że nie powinnam zapominać męża, dzieci i t. p.

Panie Ada, w życiu niekiedy tak zwany „występek“ bywa wznioślejszy, aniżeli parafjańska cnota. Zresztą gdyby pan mógł wiedzieć, jak się męczę i co we mnie jest... to byłby pan innym... choć ja wiem, że pan będzie innym i pójdzie za mną.

Lilith.

Chodziłam po list — i zawód. Wróciłam późno wieczorem i na biurku swoim znalazłam wiązanekę z róż, gwoździków i tuberoz. Cała biała (jak lubimy oboje), opleciona paprocią i spięta, niby klamrą — fijołkami.

Fijołki te teraz patrzą na mnie, jak pańskie oczy, gdy czasem tak bardzo zciemniały i takie były inne, szczególne i spoglądały na mnie dziwnie, dziwnie...

Lilith.

Nie zgadzam się, że pan nie umie pisać, zresztą nie idzie mi o piśmiennicze arcydzieła, ale o szczere słowo.

Pisze pan, iż: „przeszło, jak sen“!...

Oponuję. Jakże bowiem przejść mogło, gdy się jeszcze nie zaczęło?... Zaledwie rozsnuwała się jakaś złotolita nić, niewidzialne, świetliste włókna coś nawiązywały... wciąż nawiązują i plotą węzeł.

Czy pan nie czuje, iż coś się stawa?

Aby to przeszło, trzeba, by które z nas rozcięło, ja nie uczynię tego, chyba pan. Ale ową złotolitą nić zadzierzgnęło fatum, a niema takiej mocy, coby fatum zmoęła, po co więc usiłować!

Wkrótce zobaczymy się, bo się zobaczyć musimy.

Lilith.

Panie Ada, doprawdy żal mi naszych wspólnych wieczorów i wszystkich tamtych chwil... Podówczas bowiem wiedziałam, że pan u d a ł, że nie rozumie, a teraz postępuje pan tak, jakby zupełnie fałszywie rozumiał, lub jakby chciał przerozumować to, co jest bardzo piękne.

Chciałabym widzieć pana i porozmawiać długo, ale pan się obawia, pan nie chce, abym, przyjechawszy, widziała się z nim?

Myślałam, że dusza pańska chciałaby mieć na świecie drugą taką duszę, jak swoją.

Gdyby pan chciał być innym! Odrzucić od siebie te przesady i zrozumieć...

Jest mi przykro i smutno, chciałabym bowiem, aby pan był takim, jak jest, a zarazem innym. Czy jednak potrafię przemienić pana? Czasami w to wątpię i mam ochotę od pana odejść.

Lilith.

W tej chwili otrzymałam kartę, nie mogę jej zrozumieć. Co to ma znaczyć: „będę w przejeździe i mam nadzieję zobaczyć panią“.

Dokąd pan tędy jedzie? Wszak pan tu nigdy nie był.

Doprawdy, jestem zdziwiona, śniło mi się bowiem, że pan był w Warszawie, że szliśmy pod rękę wieczorem i że ktoś rzucał w nas kamieniami.

Czekam odpowiedzi. Posłałam przedtem do pana znowu zły list, proszę wybaczyć, byłam bardzo rozdrażniona.

Lilith.

Nie, nie gniewam się, ponieważ jednak jestem szczerą, przyznaję, że chciałam nie odpisać wcale, czemu — wyjaśnię to później. Pan jednak chory, panu tam obco u tych wielkich panów, przytem mnie za panem smutno i tak bardzo mi przykro, że pan chory, iż postanowienie swoje zmieniałam.

Tak mi dziwnie było adresować ten list w nieznane, dalekie strony i po rosyjsku. Jakże się panu podoba ten kraj?

U nas wciąż niepokój, powiadają, że wszystkie pociągi na dwa miesiące staną. I cóż byłoby wtedy? Rewolucja zerwałaby naszą złotolitą nić i tak długo, tak bardzo długo nie wiedzielibyśmy o sobie. Pan nie przyjechałby już tu do mnie.

Mnie tu źle. Wogóle obecnie kwalifikuję się bardziej do domu obłąkanych, aniżeli do życia rodzinnego.

Ale cóż to obchodzi pana, panie Ada? I znów zgrzyt, to mimowolnie, nie chcę mówić nic przykrego panu. Gdybym tam była, ujęłabym pańską jasną głowę w obie ręce i rozplakała się, jak najtkliwsza, najśłabsza z kobiet, lecz to minie, przytem płakać nie potrafię; pozatem... gdyby pan był przy mnie, to jakże można dozwolić, aby łzy leciały na pańskie jasne włosy... nie wypada, zresztą pan nie chciałby zrobić przykrości panu Marjanowi...

Nie, nie chcę już poruszać tej kwestji, choć można łatwo dowieść, że nie ma pan racji. Czyż bowiem może mieć słuszność tuzinkowa moralność, wogóle tego rodzaju pogląd moralności, którym można zniszczyć piękne chwile!

Kiedyś pomówię o tem z panem, kiedyś...

Panie Ada, niech się pan nie broni i niech pan idzie za tem, co jest w panu.

Lilith.

Dłoni od pana panu Marjanowi nie uścisknę, ani teraz, ani nigdy, mimo to proszę o przysłanie pod oficjalnym adresem banalnej kartki z owym uściśnieniem dłoni.

Niech mi pan wybaczy, że go do tego nakłaniam, proszę wierzyć, iż po raz pierwszy w życiu wiodę kogoś na drogę fałszu, inaczej jednak być nie może.

Rozterka, w jaką popadłam, nie ma wyjścia, niechże przynajmniej pan Ada mi już nie dokucza swymi skrupułami i ma dla mnie serdeczne słowo i niech tam teraz, wraz z kaszlem, wypluje z siebie fałszywe pojęcie o moralności.

Niech mi pan napisze, ile tam jest hrabin i hrabianek i kogo pan właściwie leczy?

Wszystko tak układam, że, jak pan będzie powracał, pojedziemy tam do pańskiego miasta razem, pan zresztą wie o tem, rzecz ułożona, tylko trzeba umieć doprowadzić, ale ja potrafię.

Lilith.

Widzi pan, że i panu się podoba ta nasza wspólna podróż, tyle godzin będziemy jechali obok siebie, może w oddzielnym przedziale, jak w podróż poślubną... i potem będziemy razem. Czas się ten zbliża... niech się pan nie lęka, zamknie oczy i idzie za mną. W życiu zawsze się stanie, co ma być!

List pański był serdeczny i przyniósł mi chwilowe ukojenie. Bo widzi pan, ja już przeanalizowałam i przewalczyłam za nas oboje i doszłam do wniosku, że inaczej być nie może, niechże pan już nie wraca do tego.

Lilith.

Zawsze zapominam napisać, że podówczas przy odjeździe pańskim w te litewskie bory, ów „pan“, który odprowadzał pańskiego towarzysza podróży, wracał ze mną tramwajem i pytał: „czy narzeczony mój pojechał na daleki wschód?“

I nie domyślał się, ile to słowo „narzeczony“ zawierało w sobie ironji.

Raz wzięto nas za młode małżeństwo, teraz za narzeczonych, a my możemy być dla siebie tylko...

Myśl, która przyszła teraz nagle do mnie, wiem, że przyjdzie również do pana i przerazi go. Nieśmiałość pańska i ta bojaźń ma dla mnie urok niewypowiedziany, jest pan, jak kwiat, który jeszcze nie roz tulił swych pachnących płatków. Proszę jednak pamiętać, że w słońcu się rozchyła i wonieje, że to jest prawo naturalne i że ten kwiat, który pragnie kapać się w słońcu, nie jest obowiązany cierpieć z powodu, że pozostawia w cieniu kwiat inny, rosnący po za nim.

List swój kończy pan pocałunkiem w rękę, nie mogę tak zakończyć mego listu do pana, gdybym jednak mogła, to pocałowałabym go oczywiście nie w rękę.

Lilith.

I już pan jest na miejscu i wszystkie nasze piękne projekty spełży i nie pojechaliśmy razem. Tak się wszystko stało, jak przewidywałam, a jednak ktośby uwierzył. Sześciotygodniowy strejk pociągów! I teraz właśnie, gdy pan już powrócił, ruch przywrócony.

Ta wymiana depesz była nadzwyczajna. Bezwarunkowo przyjadę po załatwieniu wszelkich formalności.

Oto i pan odczuł trochę rewolucję, to dobrze, inaczej nie miałby pan o niej pojęcia.

Lilith.

Byłabym zaraz odpisała, lecz jak na złość cały dzień goście. Okropnie teraz nudzę się z ludźmi, chcę tylko już prędko zobaczyć pana, tyle mam do powiedzenia. Niech pan Ada napisze, to jeszcze przed wyjazdem odbiorę.

U nas nieco spokojniej: zamachy na rozmaite osoby urzędowe i prywatne powtarzają się, lecz to już rzecz zwykła — rewolucja. Wciąż tyle ofiar i podówczas, gdy jedni giną, dążąc do wolności — inni biegną za urojeniem i wyciągają ręce do efemeryd, do baniek mydlanych... jako ja.

Czyż zresztą wszystko nie jest mydlaną bańką, to, jako i tamto?...

Lilith.



Wie pan, taka przykra rzecz! Szłam w samo południe wrzucić list do pana, w ciepłe, słoneczne południe i nagle — na mojej drodze, na chodniku, w poprzek leży trup mężczyzny.

Z odkrytej jego głowy na młodą twarz, na biały gors koszuli leciała krew i rudą smugą ściekała do rynsztoka.

Ubrany czarno, elegancko, w lakierkach, które połyskiwały ironicznie w jesiennym słońcu.

W stygnących palcach trzymał świeże kwiaty, cały pęk czerwonych róż na długich łodygach, właśnie czerwonych. Może szedł się oświadczyć?

Chcąc przejść, musiałam go obejść, przystanąłam i patrzyłam w tę nieznaną, obojętną mi twarz z przerażeniem i grozą. Musiano go zabić przed chwilą, bo jeszcze pośród tej cichej, bocznej ulicy leżał sam, jedynie stróż z kamienicy stał obok i, zdjawszy czapkę, skrobał się całą pięścią po głowie, a gdy go spytałam, czy nie wie, jak się to stało, spojrzął na mnie prawie nienawistnie i powiedział opryskliwie, z ordynarną niechęcią:

— A co ma być, niby to panna nie wie — rewolucja.

Zaczęto się gromadzić, z posterunku przybyli żołnierze i rozpędzali kolbami.

Odeszłam z ciężkiem, bolesnym uczuciem — jakieś przeczucie rzeczy strasznej przyszło do mnie i listu, niesionego do pana, zawierającego w sobie wiele gorących słów, już nie mogłam wysłać, podarłam go.

Dlaczego trafiłam na tego wypadkowo, czy też umyślnie zabitego właśnie, gdy donosiłam panu o swoim stanowczym przyjeździe za dni kilka? i dlaczego ten trup trzymał w bladych, sztywnych palcach czerwone róże? Takie czerwone, jak tamta nasza, wonna róża i jak krew, która jeszcze parując, ściekała z jego przestrzelonej młodej głowy?

Lilith.

Wczoraj dopiero otrzymałam kartki pańskie obie razem. Sprawa mego wyjazdu wyjaśnia się, prawie wszystko gotowe, nie mogę jednak określić jeszcze ściśle terminu. Doniosę telegraficznie, zatem pan Ada będzie mieć czas wyjechać po mnie. Dziękuję, że panu przyszedł ten pomysł spotkania mnie w drodze.

Proszę, czekając na depeszę, myśleć o mnie.

„Proszę, czekając na depeszę, myśleć o mnie“.

Adam mimowoli słowa te powtarzał. Sam nie wiedział, czemu przeczytał dzisiaj wszystkie te listy i zahypnotyzowany nimi, powtarzał ostatnie zdanie rozradowany, że ją zobaczy. Na dnie tej radości był jednak pewien niepokój.

Silił się bezustannie zrozumieć Lilith, a właściwie nie rozumiał jej jedynie dlatego, że bał się rozumieć.

Wszystko to, co mówiła lub pisała, brał za grę słów, zamiast szczerości, upatrywał zaczajony na siebie żart.

Listy poskładał starannie, następnie schował je i począł chodzić po pokoju niecierpliwie.

Było już po północy, w wielkim budynku, w którym mieszkał, a który stał prawie za miastem, było bardzo cicho.

Lampa oświetlała dość blado jego duży kawalerski pokój, w świetle tym majaczył „akt“ kobiecy dużych rozmiarów, przegięte ciało i rozwiane włosy nabierały prawie żywych tonów, jakby się wdzięcząc do Adama, zatopiony jednak cały w myślach, nie zwracał uwagi.

Przyszedł mu do pamięci jednodniowy pobyt u niej... w ich domu. Potem pochmurny, jesienny ranek na brudnym, hałaśliwym, nieznanym dworcu. Przyjechał zbyt wcześnie, nie mogąc się zorientować w „petersburskim czasie“, według którego odchodziły pociągi do Wilna. Stał, nie wiedząc, co robić z sobą w tym tłumie, o uszy jego obijała się obca mowa, którą słyszał po raz pierwszy i nic nie rozumiał.

Nagle zjawiała się przed nim Lilith, dotąd czuł wrażenie, jakie sprawiło na nim to nieoczekiwane jej przybycie. Miała na głowie małą białą czapkę, z pod której wychylała się ku niemu uśmiechniona twarz i rozrzucone przez wiatr włosy.

— Czyż nie byłoby panu smutno, gdybym nie przyjechała? — pytała.

Potem w wagonie usiadła tuż przy nim, czuł jej piersi, nieobciążone gorsetem, przytym obejmowała go woń jej słodkich perfum, pomieszana z odurzającym zapachem tuberozy, którą miała przy staniku.

Przyszło doń uczucie zupełnie podobne temu, jakiego doznawał wówczas, gdy siedzieli w nocy nad potokiem, paląc wspólnie papierosa.

— Gdyby mogła pani pojechać ze mną — wyrzekł.

Wstał, nie mogąc się oprzeć szalonemu porywowi, który go niósł ku niej, przesiadł się na przeciwległą ławkę, ale ona za nim.

Uderzył pierwszy dzwonek.

— Zaraz odjadę — szepnęła.

Odpięła od piersi tuberozę i dała mu ją, Adam pochwycił ją w usta, jeden z płatków rozłamał się i lepki, słodki, biały, lubieżnie wonny sok rozlał się mu po ustach i wpadł do gardła. Napawał się tym i ssał śnieżno-biały namiętny kwiat z piersi Lilith oderwany, jakby samą jej pierś...

Rzuciła mu jeszcze parę kwiatków, jakie miała.

— Niech mnie przypominają, dopóki pachnieć będą — mówiła.

Drugi dzwonek. Wstała, podała mu obie ręce, które on, patrząc jej w oczy, całował z uniesieniem.

— Jeszcze... — szeptała, przysuwając się tak blisko, że prawie opierała się o niego — jeszcze... — powtarzała.

A on, pragnąc jej ust, a nie śmiejąc przypaść do nich, całował te wyciągnięte ku sobie białe ręce.

Potem patrzył na nią z okna wagonu, patrzył jeszcze nawet wtedy, gdy już nie widać było ani jej uśmiechu, ani twarzy, ani białej czapeczki, ani nawet dworca.

Tuberoza została z nim, wchłaniał w siebie jej zmysłową woń, jakby częśćkę Lilith.

Zatrzymał się na środku pokoju i rozejrzał, zdawało mu się bowiem, że naprawdę jest w wagonie i że tylko co rozstał się z nią.

Ta dziwna, nieodgadniona, dręcząca Lilith! co w niej było, że wciąż powracało wspomnienie po wspomnieniu?!

Usiadł, oparł głowę na rękę, usiłując zastanowić się, co ma jutro do zrobienia, i znowu wydało mu się, że ma Lilith przy sobie, jak wtedy w powozie, gdy ją wpół trzymał z całej namiętnej mocy. Zupełnie, jakby słyszał jej dźwięczny śmiech i jakby patrzył w jej połyskliwe, wabne oczy... że tylko się nacylić, a usta będą!

Po tysiąc razy zapewniał siebie, że te wszystkie myśli nie mają sensu i mimo to wracały wciąż wbrew woli i opanowywały wszechwładnie.

Napróżno tłómaczył sobie, wmawiał i oponował przeciw temu, do czego zmierzał kierunek jego podbudzonej wyobraźni. Zupełnie bezcelowo

i bez rezultatu zapewniał sobie, że to nie miłość, że to... libido sexualis. Nie chciał przyznać, że cokolwiek to było i jak się nazywało, przeobrażało się w coś tak potężnego, przed czym nie potrafił się obronić i pomimo bezustannej, uciążliwej walki z samym sobą biegł ku temu naoslep... zastrzegając się, jednocześnie pragnął Lilith swym, przepelnionym nią jestestwem.

I teraz, chcąc koniecznie wyrugować ją z swej pamięci, podszedł gwałtownie do biurka i ująwszy stojącą na nim fotografię, wpatrzył się błagalnie, jakby szukając w niej ratunku.

Było to odbicie trzech panien, wyraźnie trzech, w środku była właśnie ta panna, Adam jednak zamiast tych trzech panińskich twarzy widział na nowo uśmiechnięte usta Lilith.

Z tym szczególnym, jej jedynie właściwym półuśmiechem zdawała się nań patrzeć filuternie a zdobywczco i jakby szeptała:

— Proszę, czekając na depeszę, myśleć o mnie!

Odłożył fotografię, siadł w fotelu, zapalił nerwowo papierosa i starał się usilnie przypomnieć, w jakich okolicznościach została mu daną fotografia trzech panien.

Tymczasem Lilith doń przyszła ponownie, zmrużył oczy i bezświadomie poddał się... znów jakby siedzieli na ławce i palili na zmianę papierosa, który, przechodząc z jej ust do jego, zdawał się mu przynosić ten słodki, rozmarzający zapach jej perfum.

Wtem rozległo się pukanie do drzwi, Adam, zbudzony z rozmyślenia, porwał się z miejsca, wołając z mimowolnym przestrawem:

— Kto tam?

— Depesza.

Uczuł tak nagły przypływ krwi do serca, że musiał zaczerpnąć powietrza, zanim pospieszył otworzyć.

Drżącymi rękami rozwinął szeleszczący papier i przeczytał:

— Przyjazd jutro wieczorem, Lilith.

Czytał kilkakroć, jakby nie dowierzał, potym niewiadomo z jakiej przyczyny zaczął gwizdać walca „l' Amoureuse“.

Postanowił pójść spać, gdy się rozbierał, wzrok jego padł na obraz, wiszący nad łóżkiem. Wychylał się z ram obnażony biust kobiecy, z głową

w tył przegiętą, grube usta uśmiechały się, a gołe, pełne piersi z różowemi brodawkami wypinały się wyzywająco.

Adam wpatrzył się w ten obraz, jakby go pierwszy raz zobaczył.

W swojej praktyce lekarskiej widywał codziennie mnóstwo kobiecych ciał na salach operacyjnych, był więc oswojony, nie sprawiało to na nim żadnego wrażenia i naraz dziś te malowane piersi wprawiały go w dziwne drżenie. Wpatrzony w obraz najwyraźniej ujrzał drobną twarz Lilith i jej obiecujące, zwodnicze oczy.

Zgasił co prędzej lampę, rzucił się na łóżko, umyślnie odwracając się na lewy bok, aby być tyłem do obrazu. Postać Lilith jednak była wciąż przy nim i mówiła w ciszy:

— Jutro wieczorem...

Po długiej męce usnął nareszcie, lecz w śnie przyszła doń ponownie, podwójnie kusząca.

Przyszła naga, stała wprost okna. Księżyc świecił prosto na jej miodowe ciało i swymi srebrzystymi promieniami otulał nagie piersi, jakby przezroczym, połyskliwym woalem. Adam do tych piersi przypadł i chwycił, jak dziecię jarzące żagwie, a potem porwał ją całą w swe rozpalone ręce i stało się to we śnie, o czym nigdy nie marzył na jawie.

Stało się nareszcie to, co było jego najskrytszem, przepotęźnem, nieujawnionem pragnieniem, co wskroś, mimo wiedzy, przepajało jego pobudzoną duszę.

---

Lilith stanęła w oknie wagonu i patrzyła przez szybę. Zanim się jeszcze pociąg zatrzymał, dojrzała Adama — uniósł kapelusze i w świetle elektrycznych lamp, jak lśnienie, wpadły jej w oczy jego jasne włosy, uśmiechnięte radośnie usta i wyczekujące, duże, preczyste oczy.

Uśmiechnęła się także, ale w uśmiechu tym był raczej przymus, aniżeli zadowolenie.

Nie mogła sama tego zrozumieć, przez ten moment, zanim pociąg się nareszcie zatrzymał, wybadywała szczególniejszy stan swej duszy, która jakby raptem zeszywniała.

Lilith pragnęła wdrzeć się w swój własny mózg, aby odnaleźć odpowiedź na pytanie.

Gdzie jest to wrażenie, jakie powinna była otrzymać, zobaczywszy tego mężczyznę, dla którego przecież tu jechała i dla którego była gotowa potargać swą terażniejszość, a nawet przyszłość.

Nie czuła w sobie nic, prócz zdziwienia, właśnie z braku tych wrażeń, na jakie liczyła.

Wobec tortur, jakie przechodziła, nie widząc Adama, wobec tęsknoty, która rozdzierała ją i wyła wielotonnymi głosami pożądań, wobec męki niepewności powinna była, zobaczywszy go, nareszcie tu, w obcym mieście, gdzie będą mogli być sami i swobodni, chyba oszaleć z radości, tymczasem z chwilą, gdy ujrzała jego śliczną, białą twarz, znikło to wszystko.

— Wszak to o n , wszak to t e n — wołała do swojej duszy, lecz ta była niema i chłodna.

Nadzwyczajność wyobrażeń zabiła rzeczywistość. Został jedynie cel i plan, jak odcisk siły, co przeszła.

— Ach, nareszcie! — zawołał Adam, ujmując ją za rękę — cały dzień jestem dziś na dworcu, byłem na każdym pociągu.

Wsluchiwała się w ten głos, tak bardzo przez nią lubiany, i oczekiwała na wrażenie, które nie przychodziło.

Wsiadli do „fiakra“. Była to mała, elegancka karetka, konie niosły ich szybko wzdłuż oświetlonych ulic, przez szyby wpadał turkot i gwar.

— Jedziemy, jak do ślubu — zauważyła z bladym uśmiechem.

Siedzieli tak blisko, iż się ocierali o siebie, Lilith nie czuła jednak tego prądu, jakiego zazwyczaj w zbliżeniu się z Adamem doświadczała.

Ćmienie rozczarowania wsiąkało w jej duszę. Coś poczynało formalnie otepiać jej umysł, że stawała się jakby automatem swoich powziętych dawniej planów, czuła, że teraz wydarzenia będą już szły same, własnym rozpędem.

Coś takiego nią opanowywało, że przestawała zdawać sobie sprawę z swoich czynów i przestawała się nawet dziwić swej niezrozumiałej apatii.

Dziś była bezwolną i bierną, jak wszystkie inne kobiety.

Dziś Adam mógł ją wziąć, jak rzecz... bez chęci z jej strony i bez opozycji. Osunęłyby się w jego ramiona, jak istota nawykła do oddawania swego ciała temu, kto po nie sięgnie.

I miałyby ją ostygłą, obojętną i byłby popadł w zdumienie najwyższe, iż ten płomień palcy mu nie smali, lecz się przelewa, jako letnia woda.

I byłby z opicia się owej letniawej wody dostał niezawodnych mdłości.

Przemozna, władna Lilith straciła siebie w owym dniu i napróżno starała się odnaleźć.

Jawa zdawała się być snem dla niej, mającym pozory rzeczywistości.

Wieloosobowość dziś właśnie gubiła ją i wiodła na stracenie.

Wydarzenia poczynały iść na ślepo, a nie według układu jej wzmożonej woli.

Czując to, dziwiła się, że nie jest zdolną do zadziwień.

W hotelu wzięto ich za małżeństwo, nieporozumienie trwało jednak krótko, właściciel bowiem był znajomym Adama i Lilith poznano ją, mieszkała tu bowiem niejednokrotnie.

Zostali w pokoju sami, pierwszy raz swobodni i odgraniczeni od świata.

Lilith ożywiła się, jakby odzyskiwała swą świadomą siłę.

— Przywiozłam zatem panu siebie — wyrzekła filuternie — żywą i na papierze, którą pan Ada woli?

Adama uderzył jej dawny, dziwnie żartobliwy sposób mówienia, wpatrzył się więc przenikliwie w jej uśmiechnioną twarz.

— Wolę żywą — odparł bez zastanowienia.

— Żywą? — spytała, zanurzając w oczach jego spojrzenie badawcze, prawie złośliwie wyzywające, poczem dodała ciszej: — żywą już pan ma, zresztą cóżby pan z nią robił?

— Tak, prawda — przyświadczył, pomijając jej ton ironiczny — gdzieś schowałbym? taką na papierze zamknąłbym do szafy, a żywej niemożna.

Mówiąc to, pochylił się nad podaną fotografią.

— Ach to nie to... nie to... — zawołał z żalem, spoglądając na Lilith — czemu tu nie jest pani taką, jaką jest naprawdę.

— Podpiszę... — wyrzekła — ale już nie dziś.

Usiadła na kanapie, opierając głowę o poręcz, ożywienie chwilowe opuszczało ją, znużenie senne poczęło powracać.

Popadła w stan jakiejś autosugestji, mówiła i postępowała z Adamem, jak to sobie naprzód zakreśliła... było to jednak niedołączne naśladowanie swoich własnych wyrozumowań i przybierało raczej formy kopji czynów, aniżeli ich samych.

Lilith uczuwała jeszcze swoją znąglą niemoc, ale coraz słabiej. Dusza jej, stargana przedwstępniemi szamotaniami pragnień i pożądań roznamiętnionej wyobraźni, zdała się na łaskę przypadkowości, w co sama nie miała wiary.

Odstępująca energia z nieprzewidzianą nonszalancją podszeptowała:

— A niech tam!...

Adam również usiadł na kanapie w samym rogu. Rozmowa, zazwyczaj tak drażniąca ich wzajemne podniecenie, dziś była nieinteresująca, rozwlekła i niepobudliwa.

Ten pierwszy wieczór, przekupny walką wszechwładnej woli, zdobyty misternymi podejściami, stawał się nic nie mówiącym, banalnym wieczorem, jak tysiące mu podobnych.

A przecież byli nareszcie razem i mogli władnąć sobą!

Jakieś echo dawnych, nurtujących żądz kołatało w duszy Lilith i bezrozumnie podszeptowało:

— Niechże się stanie coprędzej, co się ma stać!

W głowie uczuwała zamęt, coraz mniej zdawała sobie sprawę z rzeczy zewnętrznych, przymknęła oczy, oddając się podchwytom wyobraźni.

Przestali mówić, siedzieli obok w kłopotliwym, nużącym milczeniu.

Nagle Lilith wyciągnęła ręce i bez najmniejszego szalu, lub jakiegokolwiek uniesienia oparła je na ramionach Adama, a bezwładną, znużoną głowę położyła mu na piersiach.

Cisza, rozszarpana gwałtownym oddechem Adama, wionęła po hotelowym pokoju i pływała po zwisłej głowie Lilith, jak gorący opar.

— Pani — zawołał przelękłym głosem — pani — powtórzył, nie poruszając się.

Znągła chwycił ją za ręce, odłożył z siebie, porwał się na nogi.

— Jakże można — zawołał, a głos jego rozłtukuł się skargą i dzwonił, jak rozbite kryształki.



Umilkł, wpatrując się w nią.

— Więc tak — mówił na nowo — byłoby tak?... pani napewno nie zastanowiła się.

— Przeciwnie — odparła Lilith z przytomną, budzącą się mocą.

— To nie może być, nie może — szeptał wylękłym, smutnym głosem.

— To musi być — powiedziała twardo, stanowczo — ja to już przemyślałam.

— A zatem to wszystko do tego prowadziło? — wyrzekł, jakby przypominając sobie rozmaite niepojęte szczegóły.

— Teraz wiem... wiem... — powtarzał — ale to nie może być!

Lilith przysłoniła twarz odrzuconymi rękami. Umysł jej, pobudzony nieprzewidzianym oporem Adama, począł zdawać sobie sprawę ze zwykłą mu jasną wyrazistością rozumowań.

Oto widziała, że popsukała to, co powinno było przyjść samo i na co trzeba było czekać.

Powinna była uzbroić się w wytrwałą cierpliwość, a zaprowadziłaby Adama, dokąd chciałaby, stanowiło to tylko kwestję czasu.

On tymczasem stał przed nią bezradny i zgnębiony.

— Niech pani na mnie spojrzy i coś przemówi — prosił. — Naprawdę nie mogę inaczej — tłumaczył się pokornie — mam zobowiązania.

Ukląkł przy jej nogach i starał się odjąć jej ręce od twarzy — nie dozwoliła.

— Ach, co mam uczynić — wołał zrozpaczony — i to właśnie pani, bo gdyby to była jakaś inna, to mniejsza, ale pani. — Proszę mnie wysłuchać, proszę mi darować! Dawno, jeszcze zanim poznałem panią, przyjąłem zobowiązania.

— Dosyć — przerwała gwałtownie — kocha pan kogoś, skończone, nie mamy o czym mówić, proszę niech pan idzie stąd zaraz. Niech pan idzie.

— Narzeczona moja... — próbował Adam.

— Nie chodzi mi o to, gdy jednak pytałam, czy ma pan narzeczoną, pan zaprzeczył.

— Tak, prawda — odparł zawstydzony ze schyloną głową winowajcy.

— Czemu to pan uczynił? — pytała ostro.

— Nie wiem — mówił zcicha.

— Ja jednak i tak wiedziałam, co mnie to jednak może obchodzić? Proszę już odemnie iść — wyrzekła niecierpliwie — nie chcę już widzieć pana.

Adam jednak starał się ją przekonać, a siebie wytłómaczyć.

— Dlaczego nie mamy się widywać? — pytał — czemu nie mamy zostać z sobą na zawsze, jak dotąd? Ja dla pani zostanę takim, jakim jestem i nawet jeśli będę gdzie daleko, przyjadę, gdy pani zawezwie.

— Nie, nie, my możemy być tylko kochankami — zawołała Lilith, odwróciła się odeń i już nie przemówiła ani słowa.

Zaklinał i prosił, napróżno.

— Ja tak nie chciałbym zrobić pani żadnej przykrości, najmniejszej, a tu... Nie, przecież w ten sposób nie rozejdziemy się niech mi pani poda rękę, zostanemy w przyjaźni.

— Kochankiem, albo niczem... — powtórzyła.

Twarz Adama stała się blada, smutna, prawie zrozpaczona. Odpędzony bezwzględnie, zatrzymał się jeszcze przy drzwiach, sądząc, że go w ostatniej chwili przecież odwoła, nie mógł uwierzyć, iżby się mieli rozejść, ale się mylił — nie przyzwała go, wyszedł więc. Drzwi zamykał za sobą z wolna, wyczekująco, one też zaszemrały zcicha, skrzypiąc.

Ach, jakże pragnął, aby się coś takiego stało, by mógł wrócić, lecz nic takiego się nie stało i Adam odszedł.

Lilith odjęła ręce od twarzy i rozejrzała się.

Jeśli Adam sądził, że płakała, mylił się.

Oczy jej suche i płonące wraz z zaciętymi ustami nadawały małej twarzy wyraz niezwykłego podrażnienia.

— Jakto, poszedł? — zdawało się wybiegać milczące pytanie.

I to ona, ona sama odpędziła go... i co teraz będzie z nią?...

Wszystkie jej pragnienia zapadły się, powinna była zatem wyć z rozpacz, tymczasem nie czuła owego bólu, szarpiącego wnętrza.

Nic z tego, Lilith przedewszystkiem była oburzoną na siebie za swój niezręczny pośpiech, przypisując mu porażkę. Po za tem odczuwała jedynie zniewagę, zadaną dumie, zawsze zwycięskiej, pewnej siebie, pożądanej przez wszystkich kobiety.

Nie wyobrażała sobie takiego zakończenia, najbardziej bolała ją jej własna omyłka, sądziła bowiem, że Adam będzie tym właśnie, który pójdzie urzeczony jej mocą, dokąd go poprowadzi.

W tem wszystkim nie umiała sobie wytłómaczyć siebie. Odkąd spotkała Adama, żyła myślą, aby doprowadzić go do szału i zespolić go z sobą, był jedynym, którego pragnęła i który ją zachwycał swoją czystą duszą, oraz prześlicznem ciałem. I dziś, gdy go traciła, nie cierpiało w niej nic, prócz urażonej dumy.

Oto może najbardziej irytowała się na siebie i starała się nawet pobudzić do odpowiedniego cierpienia.

Napróżno, istniało jedynie wrażenie porażki.

Tam, gdzie powinna była odnieść pewne zwycięstwo, została pobita, przez słabszego w dodatku przeciwnika z przyczyny swej własnej nierozwagi, rozumiejąc to, nie potrafiła jednak czuć się nieszczęśliwą.

— Skończone — powiedziała sobie i zaczęła się rozbierać.

W pierwszej chwili miała ochotę odjechać z powrotem do domu, nie było jednak pociągu, przytem bezmierne znużenie owładło nią.

Wszystkie bezsenne, gorączkowe noce wyczekiwania tego właśnie dnia z Adamem odezwały się teraz w organizmie i paraliżowały wszystkie inne uczucia.

Rozbierała się machinalnie, wtem jej znużone, na wpół przymknięte oczy spotkały się z drugimi swemi oczami.

Z fotografii, nie zabranej przez Adama, a którą on oparł o karafkę, uśmiechała się do niej ona sama.

Patrzyła na nią, jakby przedrzeźniająco, z lekkim, pobłażliwym wygięciem ust, tryumfalna, przemożna Lilith i zdawała się pytać szydersko:

— Gdzież się podziela twa zła, uroczna moc, jeśli odszedł od ciebie ten z tylu wybrany?

Krągłe, obnażone już ręce kobiety opuściły się wzdłuż postaci, zmęczona twarz ożywiła się, a z sennych, na wpół przymkniętych źrenic, wpatrzonych w fotografię, trysła skra.

Krótki, nagły ból, jak zdławiony krzyk chwycił ją za piersi, wzniósł się do gardła, skłębił w niem, obejmując go, jak w zimny, metalowy pierścień.

Prędko zdmuchnęła świecę, rzuciła się na łóżko i już bez żadnej myśli usnęła natychmiast.

---

Rano, zaledwie uczesała się, ktoś zapukał zlekka do drzwi i wszedł Adam.

Zatrzymał się przy drzwiach, jego duże, śliczne oczy, spoczęły z niepokojem na twarzy Lilith, nie umiejąc z niej, jak zawsze, nic wyczytać.

Po raz pierwszy widział ją w takim stroju, a raczej bez stroju. Miała na sobie jedynie jedwabną halkę i biały, przejrzysty kaftanik.

Ramiona jej przebłyły ku niemu po przez koronkowe wstawki, chciał się już cofnąć, ale sięgnęła szybko po szal i otuliła się w białą, puszystą wełnę.

— Proszę — wyrzekła obojętnie, patrząc nań pytająco.

Adam nie poruszał się, po jego delikatnej, pobladłej, przemęczonej twarzy widać było, że nie spał tej nocy i staczał ciężkie walki z sobą.

— Taki ładny dzień, ciepło, słońce, myślałem, że pójdziemy razem — wyrzekł nieśmiałym głosem, nie podnosząc na nią oczu.

Miała ochotę uśmiechnąć się z jego zakłopotanej miny, ale powiedziała tylko:

— Dobrze, zaraz się ubiorę.

— Zaczekam w korytarzu.

— Och nie potrzeba, ubiorę się i przy panu.

Podniósł na nią swe lazuruwe, przeczyste oczy.

— Usiądzie pan tyłem — dodała i teraz dopiero uśmiechnęła się swym miłym, kuszącym uśmiechem, wyciągając ku niemu rękę na powitanie.

Ujął ją pospiesznie i przycisnął gorące usta, potem podszedł do stołu i usiadł tyłem, rozwijając gazetę.

Ubrała się szybko, nie miał nawet wyobrażenia, aby tak prędko ubierały się kobiety.

Przy końcu prosiła go, aby jej przypiął suknię, rzecz była łatwa, chodziło o zaczepienie haftki o konik, który był przy staniku, Adam jednak nie miał najmniejszego pojęcia o kombinacjach stroju kobiecego, smukłe

jego palce drżały i więzły w tkaninie wełnianego kostjumu, to też namęczył się, zanim nareszcie przewyciężył trudności i w należyтым miejscu pozaczepiał haftki.

Lilith śmiała się nadobrze.

— Nigdy nie miałem siostry — tłumaczył się — a matka umarła mi tak wczesnie.

Lilith opływała niezmożona ochota uchwycenia w ręce tej cudnej, jasnowłosej głowy, pochylonej ulegle nad sobą, i całowania, pamiętała jednak o dniu wczorajszym, przygryzła drgające usta i przybrała ton zupełnej obojętności.

Dnia tego nie rozstawali się z sobą ani na chwilę.

Na obiad wrócili do hotelu, Adam zaproponował, aby go zjedli zamiast w sali restauracyjnej, u niej w pokoju.

Przyniesiono dwa nakrycia, siedli nawprost siebie, Lilith nalewała zupę i podawała potrawy.

Stopniowo ożywiali się oboje, nie dotykając najmniejszym słowem dnia wczorajszego. Zachowywali się względem siebie z pewną nieśmiałością, ale miało to jakiś nowy urok.

— Zupełnie, jak młode małżeństwo w poślubnej podróży — zauważyła z uśmiechem, podając mu kawę.

Potem usiedli bardzo daleko od siebie i rozmawiali aż do zupełnego mroku i znowu, jak dawniej, temat wysnuwał się z tematu.

Wieczorem poszli do kawiarni ze znajomymi, rozstali się dopiero po północy, jak dwoje dobrych, szczerych przyjaciół.

Dni następne były podobne, wciąż przebywali z sobą, Adam całkowicie zaniedbywał swe zajęcia i towarzyszył Lilith bezustannie.

Gdy wieczorem odprowadzał ją, wstępował zwykle jeszcze na górę i przepędzali długie godziny na rozmowie.

Oboje żyli tem i nie starali się myśleć, co będzie dalej.

W jeden wieczór Adam zasiedział się dłużej, była już prawie druga w nocy i w hotelu panowała niezgłębiona cisza. Ponieważ pokój Lilith łączył się drzwiami z następnym pokojem, rozmawiali półgłosem.

Siedzieli oboje na kanapie, ale w wielkiem oddaleniu od siebie i mówili o jakiejś bardzo poważnej kwestji, tymczasem Lilith najniespodziewaniej rzekła:

— Skoro jesteśmy teraz w takiej braterskiej przyjaźni, to możemy i do Włoch razem pojechać.

Mówiąc to, podniosła ku niemu kuszące spojrzenie swych mieniących, zwodniczych oczu.

Adam zadrżał, jak drży zroszony liść, gdy nań nagle powieje ciepły wiatr o wschodzie, niosąc mu zapowiedź słonecznego żaru.

Wpatrzył się w nią swymi lazurowymi oczami marzyciela, które poczynały ciemnieć, jak dojrzewające fijołki.

— Do Włoch z panią?... jakto, tak we dwoje... — wyszeptał słabnącym w opozycji głosem.

— Tak, we dwoje, a cóżby się nam stać mogło? — spytała, nie spuszczać zeń gorącego spojrzenia, które na jego białą twarz rzucało płomienie nurtujących, a gwałtem wstrzymywanych upragnień.

— A cóż robilibyśmy tam?

— To, co i tutaj, bylibyśmy ciągle z sobą.

— Nazawsze?... — wyszeptał pytająco.

— Dokądby się nam nie zdziżyło, no i dokąd wystarczyłoby pieniędzy — dodała śmiejąc się.

— Ach tak — podchwycił.

— Niech pan pomyśli o tem — mówiła — uzbiera dla siebie pieniędzy i pojedziemy. Tam tyle słońca i kwiatów, będziemy się kąpali w szkarłatnych różach, jak ta... ta jedna n a s z a róża, którą tam w dolinie dostaliśmy od dobrej staruszki, pamięta pan Ada?...

Po raz pierwszy od tamtego dnia nazwała go tak znowu... przytem propozycja jej spadła nań niespodziewanie, a czyniona była naturalnie, szczerze, a jednocześnie żartobliwie.

— Nie, to niemożliwe — powtórzył, jakby do siebie i nie spuszczał z twarzy kobiety oczu... jakby widział na niej... błękity jezior... szpalery palmowe i domy z samych purpurowych róż...

Odetchnął, jakby ich miłosna woń już szła ku niemu.

— Mieszkalibyśmy... obok siebie... — rozpowiadała dalej Lilith — a pan mieszkałby jakby tam... — wskazała na zatarasowane szafą drzwi sąsiedniego numeru.

Adamowi powieki poczęły nad oczami latać... a i ręce także... że musiał użyć wszystkiej energii, aby się nie trzęść całem ciałem.

Lilith, jakby nie dostrzegąca tego i ciągnęła:

— Tylko drzwi mogłyby być nie zamknięte na klucz.

— Jakto... — wyrzekł, a nie mogąc zapanować nad rozdrzganymi ustami, ściał je mocno, bo zęby dzwoniły o zęby... jak paciorki.

— A gdybym ja nie mógł w nocy spać... tam, przez ścianę do pani pokoju... to... co? to co byłoby?... — spytał raptem niezwykle śmiało i pochylił się tuż ku jej twarzy tak, iż czuła rozpalony jego oddech.

— To przyszedłby... pan do mnie... — odpowiedziała prosto zcichłym głosem.

Adam wyciągnął ręce przed siebie i zawołał:

— Na miłość Boską!...

W ciszy nocnej wykrzyk ten rozległ się donośnie, rozniecając wokół namiętny... niepowściągniony żar.

— Zapalilibyśmy świecę i zaczęli rozmawiać — zakończyła Lilith obojętnym głosem, jakby nie widząc podniecenia Adama.

On, może pod wpływem jej imponującego spokoju, z jakim swe projekty wypowiadała, opanował się nieco i po chwili zapytał prawie ironicznie:

— I pani myśli, iż tak naprawdę ów platonizm przyjaźni trwałby między nami wiecznie?

Podniosła ku niemu swe gorące spojrzenie... i zaostającym się głosem wyrzekła:

— Jest tak, jak pan chciał...

Umilkła, odwracając się odeń.

Cisza, przepelniona gorączką szarpiących się nerwów i bijących wzmożnie pulsów otoczyła ich.

Lilith podniosła znowu ku Adamowi oczy, które połyskiwały w nikłym blasku tłącej się świecy nadnaturalnym, skrzącym się płomieniem wabnych pokuszeń i wielemożnych obietnic.

— I... byłoby, jakby pan chciał — dokończyła cichym, przepalonym głosem, i patrzyła weń wciąż... a on w nią.

Adam uczuł, że zaczyna w nim wszystko kołować, że umysł jego, który dotąd zawsze nad zmysłami panował, opuszcza go, a on sam, gnany jakąś niewytłomaczoną siłą, zatacza się i leci w jakąś otchłań, pełną słodkiej, lubieżnej woni.

Wyciągnął przed się ręce, jakby szukał oparcia, potem wznosił je do góry, uchwycił za szalejącą głowę i odruchem resztki kołaczącej w nim świadomej analizy wymówił nieprzytomnym, rozbolałym głosem:

— A co potem... co potem?... — powtórzył i utkwił swe prześliczne, głębokie, pełne przerażenia oczy w blednącą twarz Lilith.

Opuściła głowę.

— Potem... — wyrzekła — i pocóż myśleć.

— Jakto? — zawołał — więc potem wrócić do normy, do zwykłych dni... ja tutaj do narzeczonej, a pani naturalnie tam... do męża.

— Inaczej być nie może — wtrąciła niepewnie.

— Nie, to lepiej odrazu w łeb sobie palnąć!

Zerwał się z miejsca i chwycił czemprędzej za palto.

W sąsiednim numerze obudzono się i słychać było niezadowolone narzekanie.

Delikatna, zazwyczaj tak łagodna twarz Adama była wzburzona, jasne włosy zwichrzyły się i rozpadły po białem czole, a zciemniałe oczy wydawały się jeszcze większemi, zaś czerwone, cudne usta wykrzywiły się boleśnie.

Lilith patrzyła nań z zachwytem, nigdy nie wydał się jej tak pięknym i tak bardzo pożądanym, jak w tej chwili, nie starała go się jednak zatrzymać, ani nawet uspokoić, rozumiała, że byłoby to napróżno.

Pośpiesznie podał jej rękę i wybiegł, a drzwi, nieumiarkowanie szarpnięte, zatrzasnęły się za nim zbyt głośno, roznosząc hałaśliwe echo po cichym korytarzu uśpionego hotelu.

---

— Czekam na panią już przeszło półtorej godziny — wyrzekł zniecierpliwionym głosem — gdzie też pani być mogła tyle czasu?

Lilith podniosła nań uśmiechnione oczy.

— Spotkałam Jumarta — odparła — i tak zagadaliśmy się.

— A, pięknego Jumarta?... oczywiście, można było zapomnieć, że czekam — powiedział jeszcze bardziej rozdrażnionym głosem i ściał usta.

— Pan zazdrosny? — spytała rozbijając — ale przepraszam, gdybym wiedziała... Cóż mnie zresztą obchodzi Jumart?



Wzruszyła ramionami i patrzyła w przedelikatną twarz Adama, myśląc, jak jej się wszystko w nim podoba, w istocie było mu z tą irytacją ślicznie, wyglądał znów na zagniewanego cudnego pazia.

Gdyby można odrzucić wszelkie względy... gdyby można przełamać jego skropuły, zapomnieć o owym przykrym dniu porażki i wtulić się w tę olśniewająco białą twarz i spotkać się z temi, jak wiśnia, czerwonymi i, jak ona, soczystymi jego ustami!

Na bladą twarz Lilith wybiegł rumieniec, nie spuszczała zeń oczu. Stał przed nią w palcie z podniesionym według swego zwyczaju kołnierzem, smukły i wysoki, duże jego lazurowe oczy miały w sobie nieznany im dawniej niepokojący wyraz utęsknienia i bezustannej walki z samym sobą.

— Czy pani nie widzi, jak się męczę? — powiedział roztluczonym głosem — odkąd pani tu jest, nie wiem, co się ze mną dzieje, nie spałem ani jednej nocy, przytem nie spełniam żadnych obowiązków, na klinikę nie chodzę i zdaje mi się, że wpadam w jakąś nerwową chorobę, z której się nie ulecę.

— I po co to wszystko? — spytała.

— Błagam panią, niech pani wyjeżdża!

— Wszak może pan do mnie nie przychodzić.

— Nie mogę, gdybym mógł!...

Jak stał w palcie opuścił się ciężko na kanapę, wyraz jego twarzy i głos miały w sobie tyle męki z przebywanej bezużytecznej walki i wyrażały tyle udręczenia, że Lilith zrobiło się go wielki żal, chciała nań wołać:

— Dzieciaku, masz ukojenie, masz amforę przy ustach, możesz się w nią zanurzyć i pić, a tymczasem ty z pragnienia gotów jesteś umrzeć!

Nie wyrzekła jednak słowa i w milczeniu przypatrywała się tej ślicznej, zgębnionej twarzy... i tym cudnym ustom, stworzonym do pocałunków.

— Przecież jest tylu... tylu innych — mówił dalej drżącym głosem skarżącego się dziecka, któremu coś bardzo dolega, ale z czego ono nie umie zdać sobie sprawy — i dlaczego właśnie ja?... na co ja byłem pani potrzebny?... na co ja właśnie?

— Tak, to prawda, czemu pan właśnie — powtórzyła i oboje zamyśliłi się.

Lilith jednak rozśmiała się wnet i rzuciła swobodnie:

— O tym jednak nie miało być mowy, zresztą do niczego nie mam zamiaru nakłaniać pana — dodała wyniośle.

Wstała i patrzyła nań wyczekująco, jak gdyby chciała, aby odszedł.

Podniósł się ociężale z wypiekami na swej białej, gładkiej twarzy.

— Widzę, że nie jestem już pani potrzebny, czy mam dziś nie przyjść? — spytał z nagłą zalęknionym głosem.

— Idę do teatru ze znajomymi — odparła obojętnie.

— Ach, zapewne z Jumartem — podchwycił.

— Ze znajomymi paniami — wyrzekła chłodno — trzeci numer łoży, jeśli pan chce, może pan przyjść.

Zaczął szarpać swe rękawiczki, a potem uderzać niemi jedna o drugą, brwi miał podniesione po nad opuszczonymi oczami i usta ściśnięte, jakgdyby wstrzymywał się od płaczu. Podniósł na nią swoje umęczone szczerze, czyste oczy i wyrzekł bezsilnym, upadłym głosem:

— Przyjdę.

---

Grano „Kordjana“. Kiedyś Lilith marzyła o tym cudnym poemacie, dziś słuchała go z roztargnieniem i rozczarowaniem, wydawało się jej, że aktorzy grają źle, bez pojęcia i zrozumienia, zacierali wszystko, powtarzając wiekopomne zwroty, jak papugi.

W drugim antrakcie przyszedł Adam, uśmiechnęli się ku sobie i wyciągnęli ręce pospiesznie, jak gdyby nie widzieli się już od bardzo dawna.

Usiadł za krzesłem Lilith, owionął go zapach jej słodkich, rozmarzających perfum, przytem, gdy tylko wszedł, uderzyło go, iż dziś wygląda ona prześlicznie.

Była w czarnej, lekkiej sukni, szeleszczącej jedwabną podszewką. Czarność stroju, w jakim widział ją po raz pierwszy, ożywiła tylko jakaś wydłużona z białej gazy kokarda, wyglądało to, jak motyl. Z pod przezroczystej tkaniny stanika prześwitywało ku Adamowi miodowe, o złotawym tonie ciało, mógł obserwować dokładnie krągłość rąk i ramion.

Doznawał wrażenia, że jest naga i tylko przyrzucona ową przezroczystą czarną tkaniną, która za lada poruszeniem obleci.

— Jaka śliczna suknia — szepnął.

W tej chwili zciemniono widownię, podniesiono kurtynę, muzyka jeszcze grała zcicha, jakby dźwięki dogorywały.

Lilith obróciła ku Adamowi twarz i przechyliła się, aby ją dosłyszał, puszyste jej włosy lechotliwie obleciały mu twarz, zapach, idący od niej, wzmógł się i jakby złączył z gorącym oddechem, co mu padał na usta, jak spiekotliwy, żarny wiew. Rozchylił wargi i wdychał w siebie bezświadomie urok, jaki nań padał przemożny i nie do zwalczenia.

Na scenie męczony wizjami Kordjan, skradając się, walczył.

— „Słuchaj, ja mówię oczyma“ — szeptała Imaginacja.

— „Słuchaj, mówię biciem serca“ — przerywał jej Strach.

Słowa te raptownie padły między zajętych sobą Adama i Lilith. Oddech jego suwał się po prześwitujących jej ramionach, jak pierwsza zapowiedź pieśniody... wciąż nachylała się ku niemu, to on jej, to ona jemu opowiadali do ucha, twarze ich podówczas zbliżały się ku sobie i ocierały. W sąsiedniej łoży zwrócono na nich uwagę, lecz nie widzieli tego, owładnięci wzajemnym podnieceniem.

— „Lecz patrz na oczy, nieruchome oczy, gdzie się obrócisz patrząc za tobą“ — wołał na scenie Strach, a Imaginacja szeptała:

— „Czy czujesz woń jej warkoczy?“

— Ach! — westchnął zbyt głośno Adam.

Pochylił się tuż nad Lilith w ten sposób, że dotykał jej pleców lekko przyrzuconych.

Ona, zapatrzona w tej chwili na scenę, wstrząsnęła się, a obracając twarz ku niemu, spytała:

— Co się z panem dzieje?

— Nie wiem — wyrzekł również cicho i patrzył w nią rozmarzonymi, wyczekującymi oczyma.

— Ależ co wyprawiamy — wyrzekła, uśmiechając się.

— Tak, jakby się już wszystko stało pomiędzy nami — szepnął, westchnąwszy głęboko.

— Przeciwnie — zaprzeczyła — wtedy nic nie wyprawialibyśmy.

Teraz pochylili się ku sobie wzajem, że rozpalone ich twarze złączyły się, nagle rozplónęło światło i wtargnęło pomiędzy nich, jak niepotrzebna luna.

Nie dosiedzieli do końca przedstawienia, z wspaniałego bowiem dramatu robiono parodię.

Gdy powracali we dwoje, było już późno, po północy. Lilith wsunęła rękę pod ramię Adama i szli tak przez zgaszoną, wysadzaną drzewami ulicę, nie mówiąc nic do siebie.

Przy bramie hotelowej podała mu rękę, rzuciła krótkie „dobranoc“ i znikła szybko za otwierającymi się drzwiami.

Adam był zdumiony, sądził, że, jak zwykle, zabierze go do siebie, uczył się dotkniętym, nie raz jeszcze później odprowadzał ją na górę, weszło to już niemal w zwyczaj.

Wracał więc do siebie zgnębiony i smutny.

Chłodny, jesienny wiatr podrywał mu palto i wślizgał się przez rękawy, aż do rozpalonego ciała, począł drzeć, w głowie kołowało mu się, szedł więc, jak pijany.

Raptem zawrócił, zatrzymał się przed hotelem i patrzył długo na ten duży, szary budynek, który pochłonął Lilith.

— Co też mogła teraz robić i czemu dziś tak odpędziła go? — rozmyślał.

Przyszła doń momentalna, szalenie śmiała myśl: podejść do bramy, zadzwonić i pójść do przemożnej Lilith.

— Co też powiedziałyby na to?... czyż nie mógł uczynić tego?... wszak objawiła mu wyraźnie, iż chce, aby był jej kochankiem, a zatem niech się stanie, jako chce ona!

Ścisnął oczy powiekami mocno, bo taki nagły przyływ krwi uderzył mu do skroni, że o mało nie upadł.

Oparł się o ciemną latarnię i stał nie wiedzieć, jak długo, gdy oprzytomniał, poszedł do siebie, do swego kawalerskiego pokoju, na nieznośną, nieskończoną, samotną, bezsenną noc.



Następnego dnia przyszedł, zaledwie wstała, i razem wyszli na miasto, po południu wrócili do hotelu, usiadła za stołem, a on na kanapie.

Jasna jego głowa z białą twarzą odcinała się od czerwonego obicia kanapy, jak cudne zjawisko, Lilith z zachwytem nań patrzyła.

— Dlaczego pani wyszła zamąż? — zapytał raptem i bystro się w nią wpatrzył.

— To już było tak dawno — szepnęła onieśmielona.

— Można nie kochać męża, mimo to oddawać mu się z... obowiązku — wybuchnął z rozdrażnieniem.

— To brzydkie — powiedziała.

— A jednak kobiety to potrafią — zawołał.

— Mój stosunek do męża jest czysto zewnętrzny, fikcyjny — powiedziała, spuszcżając oczy.

Zerwał się z kanapy... objął dzielący ich stół rękami.

— Czy tak? czy naprawdę tak?... — pytał rozradowanym głosem.

— Cóż zrobię, jeśli pan nie wierzy.

Chwycił ją za rękę i poniósł do ust.

— Niech pan zabierze fotografię, już podpisana.

Z ciekawością ujął fotografię i przeczytał głośno:

— Złotolita nić pragnienia, jak woń tuberoz, tak wabi i nęci tych dwoje, których ramiona drżą i chcą się opleść.

Otworzył szeroko swe czyste, lazurkowe oczy, wpatrzył się w Lilith i powtórzył w zdumieniu:

— Których ramiona chcą się opleść!

Lilith jednak stała spokojna i prawie obojętnie patrzyła na jego podnieconą, na pół przytomną twarz.

Schował fotografię i usiadł z powrotem na kanapie, oparł o poręcz głowę i przymknął oczy, nie czuł się na siłach do rozmowy, był zupełnie wyczerpany walką z sobą, kompletnie chory.

Zmrok poczynął zapadać, a raczej owa szarość, zmrok poprzedzająca, siąkła wolno przez okno i rozsnuwała się cieniami po pokoju.

Lilith zbliżyła się i najniespodziewaniej usiadła obok niego, drgnął i spojrzał na nią błagalnie.

— Wie pan — wyrzekła — teraz, kiedy już jesteśmy w tak dobrej, zażyłej przyjaźni, jak pan chciał, to nie tylko możemy pojechać do Włoch, ale możemy sobie mówić nawet „ty“.

— „Ty“! — powtórzył — zdaje mi się, że nie ośmieliłbym się.

— I czemu? — spytała — ja gdy myślę o panu, to nigdy inaczej, jak: Ada, więc zapewne i pan.

— A ja zawsze... myślę — przerwał — o pani, jak o... p a n i Lilith i nagle duże jego oczy zwęziły się i rozłśniły namiętym błyskiem.

— A kiedy dwoje zaczyna mówić sobie „ty“? — szepnęła rozmarzonym, drżącym głosem.

— Wtedy... — odparła żartobliwie.

Wdarło się milczenie, osobliwe i ciężące.

— Wie pan — przerwała z doskonale przybraną swobodą — że mnie się bardzo podoba nasza przyjaźń.

— Czy tak?...

— A wie pan — mówiła — miałam raz przed przyjazdem taki dziwny sen... o panu...

Zaczął nalegać koniecznie, by opowiedziała.

— Oto — zaczęła onieśmielonym głosem i zarumieniła się, była teraz zupełnie podobna do młodej rozkochanej dziewczyny — oto — powtórzyła — śniło mi się bardzo wyraźnie... że miałam gołą szyję... a pan po niej tak się ocierał wąsami... i czułam takie bardzo miękkie dotknięcie... o tak... — wzięła jego rękę i poczęła ocierać się policzkiem.

— Ale ja tak nie umiem — dodała — nie mam przytem wąsów...

— Mnie się też raz pani śniła... w dzień swego przyjazdu, ale nie mogę powiedzieć, jak... — odetchnął bardzo ciężko.

— Moje sny zwykle sprawdzają się — powiedziała — a pańskie?

Adam całym ciałem drgnął.

— Moje sny... — powtórzył spiekłemi ustami i wpatrzył się w podniesioną ku sobie twarz Lilith.

Uczuł, że zaczyna się z nim dzieć coś niewytłomaczonego, ale że to coś napawa go jakąś mocą, a raczej, że to jakaś nieznana moc nim owłada. Zadziwiony, zbladła twarz oparł o kanapę, spływało ku niemu radosne uczucie szczęśliwości, serce łomotało, krew rozpalona przelewała się w ciele i szła do mózgu wartką falą ukropu, a ów trzymający wiecznie naturę na uwięzi duch — rozum począł słabnąć, zupełnie, jakby kędyś zanikł.

Adam przestał wojować z samym sobą, po raz pierwszy czuł się z sobą w zgodzie. Życiodajna władza instynktu wielmożniła się w całym jego organizmie i wołała z bezwzględną despotyczną siłą o swe odwieczne prawa. Chciano je pogwałcić, więc teraz ona natura, można i zwycięzka,

gwałciła na swoją korzyść wszystkie inne odruchy i, przemógłszy je, tryumfowała.

Wszystko zanikło, wszelkie głosy rozsądku wraz z nieubłaganym głosem chłodnego rozumu poszły precz... jak gdyby nigdy nie były w sprzeczności z sobą, a nawet jakoby wcale nie istniały.

Duszę Adama wstrząsał nieprzewyciężony poryw napróżno ujarzmianego popędu ku tej kobiecie i jak czystą była jego dusza, tak przemożną była owładająca ją namiętność.

Przestał widzieć siebie, widział tylko Lilith, nie pamiętał o niczem, tylko czuł gorąco jej twarzy, opartej o swoją rękę. Przychodził szał i zrywał wszelkie tamy formuł i wszystkie bramy etyczne walił; etykiety obyczajowej pruderji odlepiały się od żarnych tchnień uniesienia.

W pokoju była taka cisza, że oboje słyszeli dokładnie nie tylko swe oddechy, ale i wzmożne bicie swych serc.

Pochylił się nad głową Lilith, otoczyła go woń słodka, woń zabójcza, którą znał dokładnie, którą tylekroć wchłaniał w siebie.

I raptem, zupełnie bezświadomie, nigdy bowiem nie umiał zdać sobie sprawy z owej chwili, ilekroć o tem później myślał, zniżył zupełnie twarz ku jej głowie i wtulił usta w odkrytą nieco szyję.

Lilithomal nie krzyknęła, pod dotknięciem tych płonących ust, najwyraźniej uczuła muśnięcie miękkich, jak jedwab wąsów zupełnie, jak we śnie. Wrażenie było tak nagłe i nieoczekiwane, iż poczęła drżeć z tego szczęścia, które nareszcie przyszło, siedziała jednak bez ruchu olśniona, jak w objawieniu czegoś nadziemskiego.

Po chwili wyciągnęła ręce, zarzucając je wokół jego szyi z całą mocą swej namiętności.

On, zupełnie nieprzytomny, objął ją. Zwężone ich obopólnym porywem źrenice utonęły w sobie, lecz wnet zamglily się i zasunęły powiekami i tylko niewiadomo kiedy i jak usta się wdarły w usta i już nie mogły odpaść od siebie.

Przepadła miara i czas, wszystko tonęło w haosie, z którego nie zdawali sobie sprawy, zaprzepaszczeni w pocałunku.

Zapadł zupełny mrok, prawie ciemność, z tego wyłaniała się tylko czerwień kanapy i jasna głowa Adama.

Coś niejasnego wypływało z jego mózgu, był to mus. Konieczność dyżuru w klinice, zastępowano go tylekroć od czasu przyjazdu Lilith, że już dziś było niepodobna i trzeba było pójść, a on nie miał siły oderwać się z ramion Lilith.

Wstał i ona z nim, byli tak spleceni, iż nie potrafili się rozgmatwać, wodzili się po pokoju, wciąż szukając ust.

Aby oprzytomnieć, A d a m zapalił świecę, powrócił jednak znów do Lilith, która szeptała:

— Nie chodź!

Słowa te, jak śpiew tak wpadały w jego uszy.

— Muszę — odpowiadał zdyszczanym, pragnącym głosem — muszę.

Znów znaleźli się przy kanapie, rzucił ją na nią, sam przykląkł i patrzył na tę upragnioną, która go wwiiodła dokądciś...

Miał ją w swej mocy i mógł robić, co chciał, a jednak nie myślał o tem, całował ją tylko utęsknionemi ustami i patrzył, jakby nie wierzył, iż jest to istotnie owa Lilith.

— Nie chodź — powtórzyła.

— Muszę, a tak całowałbym cię całą, całowałbym cię wszędzie, Lilith!

— Więc całuj! — wołała i zanim zdążył pochylić się ku niej, objęła go gwałtownie i całowała po prześlicznych oczach, po twarzy i po ustach, po tych cudnych, czerwonych ustach.

— Kocham cię, Ada, kocham cię — wołała — zostań...

Lecz on zrozumiał nagle, że jeśli nie odejdzie natychmiast, stanie się rzecz nieodwołalna.

Zasuggestjowany jego rozum nie rozpoczął wprawdzie jeszcze swego panowania, ale odzyskiwał już pewną władzę.

— Nie może się stać — upominał — nie powinno!

Rozpaczliwym wysiłkiem Adam wyrwał się z objęć Lilith i... uciekł.



Po wyjściu Adama opanowało Lilith szalone rozdrażnienie, poprostu przeświadczenie, że jeśli odszedł w takiej chwili, to odszedł nazawsze i że już nigdy taka chwila nie powtórzy się.



Nie miała jednak czasu na rozmyślanie, przyszli znajomi i zabrali ją do teatru, potem do restauracji, Lilith poczęła pić dotąd, aż umysł jej nie stępsiał, mimo to było w niej jedno: Adam, jego usta i ten obopólny szal, który jednak zatrzymał się na krawędzi...

Wróciła bardzo późno, następnego ranka obudziła się z silnym bólem głowy, była pewna jakiejś strasznej choroby i prawie wyczekiwała na nią. Niespodziewanie drzwi otworzyły się, a w nich ukazała się bajeczna, jasna głowa Adama.

Ujrzawszy ją w łóżku, chciał się cofnąć, ale przywołała go skargą:

— Jestem bardzo chora.

Podszedł, usiadł przy niej, nie zdejmując palta, miał wypieki na twarzy i gorączkowy połysk w ściemniałych oczach.

— Byłem tu jeszcze wczoraj — wyrzekł zcicha, nie podnosząc na nią oczu — ale nie zastałem.

— Byłeś! — wykrzyknęła radośnie — a ja czułam się tak bardzo źle, poszłam z nimi i piłam wino, bardzo dużo wina.

— I ja także piłem — szepnął — ale wódkę, całe szczęście, że nie zdarzył się wypadek tej nocy w klinice, bo nie wiem, jakby się to skończyło.

— No widzisz, Ada, i po co? po co się tak męczyć.

Uniosła się na łóżku, objęła go rękami za szyję i całowała w usta.

Obnażone ręce otulały mu się wokół twarzy, a rozwiane włosy padały mu na policzki. Przymknął oczy i poddawał się tym pieścizotom, jak urzeczony.

Zaraz jednak poszedł do apteki, w kilkanaście minut wrócił, przynosząc lekarstwo oraz pęk narcyzów.

Zadzwoił, przyniesiono śniadanie, napoił ją, jak bardzo chorą. Lilith głowa przestawała boleć, zaczęła się więc śmiać swywolnie i ilekroć nachylił się, gwałtownie całowała go.

Usiadł na łóżku i począł rzucać na głowę jej kwiaty. Białe płatki narcyzów odbijały żałobnie od ciemnych włosów, przyczem przy najlżejszym poruszeniu spadały i gdzieś ginęły.

— Trzeba szukać — szeptała.

Adam wtedy szukał na obnażonej szyi i ramionach, dalej nie miał odwagi, brał więc inny kwiat i rzucał na nią ponownie.

— Kocham — szeptała mu przy całowanych ustach — kocham...

I wpatrywała się w tę jego prześliczną, delikatną twarz, rozmarzone oczy i w cudne, czerwone usta, które nareszcie pozyskała.

— Może kto nadejść — tłumaczył, lecz nie usuwał się, ale poddawał namiętnym pocałunkom.

Znowu tą niebywałą nieśmiałością przypominał uroczego pazia z bajki.

Wyszukał biały kaftanik i nałożył na nią, chcąc się odgrodzić, chociaż tym lekkim batystem, oszytym przejrzystymi koronkami, od jej nagich ramion.

Ktoś zapukał, Adam, nie zastanawiając się, pobiegł do drzwi, wołając:

— Niemożna!

Zapóźno jednak, w otwartych drzwiach ukazało się całe towarzystwo — panie i panowie.

Spojrzenia ich ogarnęły zmieszaną twarz Adama i zatrzymały się znacząco na leżącej w łóżku Lilith.

— Zachorowałam — wyrzekła spokojnie — aż posyłałam po doktora, jest mi już jednak lepiej, zaraz wstanę i pójdziemy wszyscy razem na obiad.

— Wszyscy razem — uchwycił się tej myśli Adam — ja nawet miałem iść w tej chwili do państwa z tą propozycją.

Jedna z panien, studentka, rozśmiała się, przyświadczać, że to dobra myśl, zauważyła przytem, że przyjazd Lilith wykoleja ich z „porządnego“ życia, zatem jedna więcej knajpa, to już wszystko jedno.

— Co jednak państwo pomyślą sobie o nas? — wyrzekł nieprzewidzianie Adam.

Wszyscy skrzyżowali spojrzenia, zaskoczeni tem niedorzecznem odezwaniami.

Lilith jednak, nie tracąc przytomności, rozśmiała się serdecznie, Adam był tak prześliczny z tem nowem swoim zmartwieniem, że przebaczała mu jego dzieciństwo, a nawet dodawało mu to w oczach jej uroku.

— I cóż — zawołała wesoło — mniejsza z tem i tak nie pomyślą więcej... niż myśleli dotąd.

— Hm!... naturalnie — mruknął jeden z mężczyzn i zazdrośnie spojrzął w szczerze zakłopotaną twarz Adama.

— Pójdziecie na dół do restauracji — komenderowała Lilith — zamówicie obiad, a ja przez ten czas się ubiorę.

Podczas tego obiadu Adam z Lilith nie przemówili do siebie ani słowa. On nawet unikał jej spojrzeń, mimo to oczy ich wciąż się szukały mimowoli, oddając się sobie.

Był bladej i wogóle wyglądał inaczej, w twarzy miał szczególne skupienie, a w oczach, które dziś wydawały się jak wielkie nicejskie fijołki, było coś, co zastanawiało Lilith, jakby jakieś zdecydowanie i postanowienie, które jednak pragnął zaprzepaścić, a które wbrew temu powracało i zmagало wszystko inne.

Nie widziała go takim nigdy jeszcze, patrząc nań, myślała, że jednak jest to pierwszy w jej życiu mężczyzna, w którym była ta przedziwna harmonja, niezwykle zestawienie wyjątkowej urody z prostotą i dobrocią duszy.

Jakże w niczem nie przypominał tych przystojnych, z grubymi karkami, dobrze odżywianych mężczyzn, ani owych słynnych, pięknych, jak lalki, panów.

Nic z tego! on zawierał prześlizgłość samą w sobie i był z nią związany tak ściśle, że był nią samą... jak kwiat leśny, a niezwykle, że choć nań padną oczy przechodnia, to mu nie przyjdzie myśl zerwania go, tylko nań popatrz i pójdzie dalej.

Każde poruszenie jego smukłej, zgrabnej postaci ogromnie naturalne miało wdzięk nieporównany, wprost zadziwiający, a on sam robił wrażenie, iż nie przeczuwa, że wszystko w nim jest do tego stopnia prześlizgłe.

Niewiadomo czemu zaczęto pić wódkę, piwo, na koniec wino i to dużo.

Lilith ze zdziwieniem zauważyła, że zachęcał do tego właśnie Adam, wciąż napełniał kieliszki jej i sobie, gdy podano już kawę, szepnął coś usługującemu i w chwilę potem wniesiono szampana.

Podniecenie wzrastało, Lilith piła bez umiarkowania, ożywiła się i, wbrew zwyczajowi, poczęła dużo mówić. Wznoszono dla niej toasty, wtedy podniosła swą wydłużoną szklankę z szampanem i zawołała:

— Niech żyje kult ciała! Odrzućmy od siebie pruderję i wnieśmy toast na cześć rozkoszy... Zrozumiemy głęboką poezję i wielkość c h w i l i , odrzucajmy codzienne, liche namiętności, ale nie pogardzajmy tem, co jest w nas samych prawdziwem i wzniosłem, nie okłamujmy się

falszywą cnotą, idźmy za naturą, nie niszczy w sobie wszechpotężnego, życiodajnego instynktu!...

Adam porwał się z miejsca i rozszerzonymi oczyma patrzył w nią z przerażeniem, zbladł jeszcze bardziej, pragnął, aby zamilkła, aby się opamiętała i nie wiedział, jak na nią wpłynąć.

Nie patrzyła nań wcale, oczy jej, zazwyczaj połyskliwe, teraz były tak świejące, iż nie było w nich nic, prócz szklących promieni, które siały wokół jakiś kuszący czar rzeczy zakazanych, a ciągnących ku sobie odwieczną mocą prawdy.

Rozdrżane usta Adama pomimo wiedzy wymówiły wyraz, który w nim wciąż tkwił, staczając bezużyteczne walki.

— Rozum, a rozum?... — wyszeptaly.

Słowo to przyszło do Lilith, jak chłodny wiew rozsądku.

— Rozum... — powtórzyła.

Na jej wabne, wilgotne od wina usta wybiegł uśmiech ironji.

— Należy — wyrzekła — „przyznawać instynktom słusność i rozumowi także, należy powodować się instynktami, rozum zaś nakłonić, by słuszne powody miał na ich poparcie“. Powiedział to jeszcze Sokrates.

— Brawo Sokrates! Brawo Lilith! — zawołała studentka, gryząc swój kieliszek i zalewając stół szampanem.

Wszczywał się zamęt, prawie wszyscy mówili jednocześnie, każdy głośniej od drugiego, a nikt nikogo nie chciał właściwie słuchać — choć każdy chciał być słuchanym, w to wpadł łoskot wyskakującego korka z nowo otwieranej szampanki.

Szklanki napełniły się ponownie... wino musowało drobnymi perełkami kropli i mieniło się w elektrycznym świetle.

Lilith wyciągnęła swój kieliszek do Adama, on także, spojrzeli sobie głęboko w oczy, wdzierając się niemi do dna swych szukających się istot.

Nikt już teraz nie zwracał na nich uwagi, trąciwszy się kieliszkami, ponieśli je do ust, nie odrywając od siebie spojrzeń.

Wypiła duszkiem, Adam nalał ponownie, wtedy Lilith znów wyciągnęła ku niemu kieliszek i wyrzekła:

— „L’homme vraiment libre ne veut ce qu’il peut, et fait ce qu’il lui plait“, — i przechylając głowę, dodała filuternie:

— Zdanie to przesyła panu Rousseau do rozważenia.

Umilkła, uczuła wzmagający się szum i zamęt w głowie, chciała coś jeszcze przytoczyć na poparcie swej sprawy, ale już wszystkie cytaty uciekły z jej mózgu, choć jeszcze przed chwilą miała ich tak wiele.

Zdawała sobie jednak jeszcze sprawę ze swego stanu, jak i z tego, że towarzystwo jest najzupełniej pijane.

Podniosła się, nogi jednak chwiały się pod nią, musiała oprzeć się o krzesło.

— Dosyć — powiedziała stanowczo — nie piję więcej ani kropli.

Adam natychmiast wstał także i podszedł do niej.

Nie było to opamiętaniem dla wszystkich, dopiero puste butelki zakończyły sprawę, poczęto się rozchodzić, rozkołysanym chodem nóg balansujących.

Zostali we dwoje przy pozalewanym stole.

— Idziemy na górę — wyrzekła.

Adam, bardzo błady, stał przed nią z opuszczoną głową i przyciętymi ustami.

Przeszli przez wązki, przesiąknięty sosami, korytarz restauracyjny i weszli na szerokie schody, Lilith szła przodem, trzymając się mocno poręczy.

W pokoju było ciemno, usiedli obok siebie na kanapie.

— Kocham cię — szepnęła.

— Nie, nie... — zaprzeczał — to nie miłość, to zmysły, to szal.

— Ach więc szal! — zawołała — wszystko jedno, ale cię kocham i nie pójdiesz odemnie, bo zginę, bo przepadnę!

I nagle w rozkołowanym szampanem jej mózgu ukazało się z niebywałą przelotną jasnością wszystko to, co w niej było i co przemyślała. Zaczęła wyrzucać z siebie bezładne, a jednak nieubłagane konsekwentne dowodzenia, argumenty, na jakie Adam nie potrafił nic przeciwstawić, powtarzał więc tylko z uporem manjaka:

— To szal, to szal!

Rozmowa przerwała się, usta ich bowiem zbiegły się w gorączkowym rozpędzie, pomimo jednak pocałunków, uniesienia i przytępionej winem samowiedzy, w umyśle Adama na kształt ćwieku tkwił wyraz „szal“, jak gdyby nie był on takim samym czczym wyrazem, jak miłość, ukutym przez ludzki słownik.

Na zasadzie tych dwóch wyrazów w mózgu Adama trwała bezcelowa walka, refleksje zabijały piękno chwili.

— Muszę iść — wyrzekł.

Lilith zdrętwiała, przez sekundę dusza jej przeszła męczarnię wyrotu.

Objęła go rękami i całowała, nie mówiąc ani słowa.

— Wróć, zaraz wróć — powtórzył upadłym głosem — chcę tylko otrzeźwieć.

Nie oponowała, patrzyła, jak wychodził, i prawie głośno rozśmiała się, usłyszawszy, że ją zamyka na klucz, jakgdyby zmuszając się tym sposobem do koniecznego powrotu.

Zamknięta Lilith siedziała chwilę, oparłszy głowę o kanapę, cała przepojona pocałunkami i żarem, jakie w niej nieciły.

Czyniło się jej jednak mdło i każda rzecz, jaką na sobie miała, poczyniała ją niewymownie uciskać, zatem, bez zdawania sobie z czynności swych sprawy, zaczęła zrzucać z siebie po kolei ubranie.

Pomimo gorąca chwyciły ją dreszcze, rozebrana do koszuli wsunęła się do łóżka, dreszcze jednak nie ustawały, trzęsła się, jak w paroksyzmie febry.

— Gdyby usnąć — myślała z umęczeniem.

Raptem uderzyła ją świadomość, że Adam wróci, że trzeba coś na siebie włożyć, że tak niemożna...

Na myśl, iżby ją tak zastał, przyszedł do niej młodzieńczy, dawny, zupełnie dziewczęcy wstyd.

Czemprędzej wyskoczyła z łóżka i drżącymi rękami rozpoczęła szukać ubrania, nie mogła jednak natrafić na część należytą, nareszcie wynalazła halkę i już miała ją nałożyć, gdy usłyszała klucz, obracający się w zamku, przerażona, rzuciła spódniczkę i wskoczyła do łóżka, szczelnie nakrywając się kołdrą.

— Czyżbym istotnie była tak pijaną? — zadała sobie pytanie.

Adam, wszedłszy, przedewszystkiem skierował się do kanapy, a nie znalazłszy tam Lilith, począł pytać:

— Lila, gdzie jesteś?

Zdziwiony milczeniem, wołał strwożonym głosem:

— Czy tu niema nikogo?

I znowu wołanie to pozostało bez odpowiedzi, a głos rozlegał się w ciszym pokoju przestraszająco.

Rozpoczął poszukiwania, przyczem zawadził o rozrzucone po podłodze suknie, niespokojny zapalił szybko świecę i dopiero teraz dostrzegł Lilith i jej nieruchome, utkwione w siebie, pałające oczy.

Chwilę patrzył na nią w zdumieniu, potem podszedł i głosem przenikliwym, jaki po raz pierwszy słyszała u niego, spytał:

— Czemu się położyłaś?

Nie umiała znaleźć na to odpowiedzi, choć posądzenie, jakie mogło zrodzić się w nim, iż p r z y g o t o w a ł a się, policzkowało ją.

Stał przed nią, jak sędzia, i wpatrywał się długo w jej drżącą, rozgorzałą twarz, potem, sięgnąwszy do kieszeni, począł wyjmować prześliczne czerwone jabłka i układać je na stole.

— Po co? — spytała, uderzona widokiem tego rodzaju owoców w tej właśnie chwili.

— Dziwny apetyt przyszedł mi — odrzekł jedząc, podał Lilith, prosząc, aby choć skosztowała, zanurzyła więc swe dygoczące zęby i ugryzła kawałek.

— Jak w raju... — szepnęła i zwarła powiekami oczy mocno, z całej siły.

Adam zdmuchnął świecę, w pokoju jednak było jasno, wpadało tu przez okno światło od latarni podwórzowej.

Lilith słyszała kolejny szelest zrzucanego ubrania, był on prędko, coraz prędszy, aż przeszedł w niecierpliwe szarpanie.

Leżała bez ruchu, wszystkie myśli zatamowały się w niej, nadzieja urzeczywistniająca się ścisnęła jej piersi i stłoczyła w niebezmiarne zawikłanych, nieujawnionych skojarzeń przejmującej ciało żądzę.

Zbliżył się, siadł przy niej i pochylił do rozwartych, wyczekujących ust.

Zapach czerwonych jabłek, woń narcyzów, słodki, lubieżny zapach perfum, połączone z dymem tytoniowym, przysły ku ich złączonym głowom i otoczyły, jak tumanem.

Wszechpotężny poryw pożądanym się ponad wszystko istot niweczył wszelkie bezużyteczne, sztuczne, nie prowadzące do zwycięstw walki Adama.

Ginęęły próżne usiłowania rozsądku, zaprzepaścił się w uścisku.

Względy prawowierności i przynależności roztapiały się w szale — wyzbyci z wszelakich zobowiązań, opętani niepamięcią, stali się nakoniec wyzwolonymi!

Przestało istnieć wszystko, prócz nich samych, właściwie i oni przestali istnieć oddzielnie, byli w sobie. Nieprzerwany pocałunek niósł ich po za sferę światowych poglądów.

Przeciwdziałające opozycje skrytych przesądów, opętujących dusze, nareszcie przepadły. Rozum umilkł także, zapanował po nad nim instynkt.

I rozpoczął się uświęcony zobopólnem upragnieniem, przelaniem się istoty w istotę, święty w szale miłosnego uniesienia — coitus!

Namiętny, drażniący, życiodajnie lubieżny zapach rozgorzałych ciał wsiąkał w woń szkarłatnych, napoczętych jabłek i wraz z zapachem drżących, smutnych, ślubnie białych narcyzów kłębił się po pokoju i kołysał, jak kadzidlany dym w nawie kościelnej przy uroczystym obrządku.

Bezszelestne pocałunki tamowały oddech, który wybiegał wzburzony, gorączkowy i w bezmiernej, potencjalnie żarnej ciszy pluskał, jak tajemnicze, płonące w czerwonym zachodzie wody południowych jezior.

I szły godziny bez liczby... i płynął czas bez snu w ciemnej nocy... i szły poufne szepty, pieszczota gonila pieszczotę.

W onej nocy misteryum wszystko stało się blizkiem i zapoznanem, dziw przestał być dziwem i już nie było rzeczy tajnych między Adamem i Lilith — byli świadomi siebie.

---

Najniespodziewaniej usłyszeli dobieranie się do drzwi, Adam w przerażeniu wyskoczył z łóżka, w tejsze chwili drzwi otworzyły się na ścieżaj.

Światło z korytarza wtargnęło wprost na nagie ciało Adama, ukazując w całym powabie smukłość i krągłość jego kształtów.

On sam, odchodząc od przytomności, nie wiedząc, co robi, zamiast ręce opuścić, wzniosł je w górę i, niby dziewczyna, przysłonił piersi.

Dał się słyszeć zdumiony, krótki okrzyk kobiety:

— A!... a!...



Następnie drzwi zatrzasnęły się z impetem.

Lilith, patrząc na to, zanosila się od śmiechu, istotnie, sytuacja była nad wyraz komiczna, a wywołało ją roztargnienie Adama, który powróciwszy, drzwi wprawdzie zamknął, ale zupełnie niepotrzebnie, klucz wyjął i położył wraz z jabłkami na stole.

W porze tej pokojówka zazwyczaj przychodziła słać łóżko na noc, czyniła to podczas nieobecności Lilith, to też i dziś, nie widząc klucza w zamku, była przekonana, iż pokój jest pusty, drzwi zatem otworzyła swoim drugim kluczem.

— Skompromitowałeś mnie — śmiała się Lilith.

— Ale ja, jakże ja potem stąd wyjdę! — mówił Adam — spotkam tę dziewczynę niezawodnie.

Był zajściem tem zrozpaczony, wstydlivość jego poruszona była do głębi, nie wyobrażał sobie, aby kiedykolwiek bądź miał się przedstawić w ten sposób kobiecie.

— Nie martw się — pocieszała go — jesteś tak śliczny, że mógłbyś wszystkim damom pokazywać się nago.

Objęła go rękami za przejasną głowę i przesuwała palcami po jego miękkich, jak pela, włosach.

— Coś uczyniła ze mną, Lila? — szeptał, wtulając swe cudne usta w jej piersi.

— Coś uczyniła — powtarzał, wpatrując się w nią zamglonym wzrokiem rozmarzonych pobudliwą rozkoszą źrenic.

Przypomniał sobie, jak raz, przed dwoma laty koledzy upili go i powieźli... wyśmiewając się z jego niewinności, wtedy...

Na wspomnienie to jeszcze teraz wstrząsał się obrzydzeniem. Podówczas powiedział sobie, że nigdy nie uczyni tego po raz drugi, i nie uczynił.

— Jakże to zupełnie co innego! — wyrzekł zcicha i oplótł się swem gładkiem, jedwabistym ciałem wokół ciała Lilith.

Popadł w rozkosz, o jakiej tylko marzył, o jakiej nigdy nie miał pojęcia i nie wyobrażał sobie, iż przyjść może.

I nagle uderzyła go błyskawiczna myśl:

— Lila — zawołał — a gdyby zamiast pokojówki twój mąż...

Umilkł, przejęty grozą przypuszczenia, a raczej powracającą świadomością... uczynku.

Ale Lilith zamknęła mu usta swemi płonącymi ustami, a potem powiedziała niedbale, obojętnie:

— I cóż? zabiłby nas... ale już przecież p o t e m , już przeżyliśmy.

I wtulając się twarzą w jego twarz, szepnęła pieszczotliwie, rozkosznie, stłumionym głosem:

— Żyj chwilą, Ada!

I na nowo ramiona ich wyciągnęły się wzajem, zganiając zmore budzącego się mózgu.



Następnego dnia Adam wyszedł tak późno od Lilith, że gdy powrócił od siebie w parę godzin, zapadał już mrok. Powrócił zgnębiony, smutny, zupełnie zrozpaczony.

Usiadł na krześle, nie zdejmując palta i bladą, zmęczoną swą twarz oparł o twarz Lilith.

— Co ci jest, co się stało? — pytała z niepokojem, choć domyślała się przyczyny wyrzutów.

— To podłość, to niczemność, jak mogłem podobnie postąpić względem twego męża, który zawsze był dla mnie serdeczny.

— Nie myśl o tem — prosiła, gładząc go po włosach i całując po oczach.

— I co teraz będzie, co powiem narzeczonej, w jaki sposób zerwę, nie potrafię zerwać, chyba, że ona...

Lilith wstała z jego kolan i, zapaliwszy światło, śledziła go bacznie. Nie przeszkadzała mu wyzalić się, przytem zachwycało to ją, było tak szczere, tak naiwnie czyste, iż otaczało go dziwnym, nowym urokiem.

— Lila, my musimy zapomnieć o tem, co się stało!

— Los sam przyniesie rozwiązanie, niepotrzebnie się męczysz — wyrzekła — stało się, bo musiało się stać... już teraz niema co nad tem myśleć.

— Nie, ja tak nie mogę podwójnie, nie potrafię, my już nie zobaczymy się więcej, jeśli nie wyjedziesz, to ja wyjadę, ucieknę.

— Jakto, teraz, po tem? — spytała zdumiona — teraz? — powtórzyła.

— Trzeba było to uczynić przed tem — chciała dorzucić gniewnie, ale tylko wpatrzyła się z politowaniem w jego rozdrażnioną twarz.

— Nie potrafię żyć chwilą — wyszeptał zdławionym głosem — dopóki byłem z tobą, nie myślałem o tem, nie wiedziałem, co robię, coś w mózgu zamknęło się na ten czas, ale teraz czuję swój haniebny, zdradziecki czyn. Lila, wyjedź!

Z początku starała się mu tłumaczyć, sądząc, że jest to chwilowe podrażnienie, które przejdzie, potem jednak zaprzestała, widząc, że się to na nic nie przyda, zrazu patrzyła nań z podziwem, potem z irytacją, aż wszystko to spłynęło w osłupienie.

Dochodziła do wniosku, że nie przekona go, bowiem pojęcie przestępstwa zbyt silnie owładło jego duszą; widziała już teraz jasno, że on nigdy nie potrafi wznieść się po nad to pojęcie, że z przyczyny tej stał się istotnie nieszczęśliwym i cierpiał.

— Czy ty rozumiesz, co chcesz uczynić? — spytała go nagle głośno i szorstko.

Jej zazwyczaj połyskliwe, wabne oczy stały się tak ostre, że poprostu okaleczały Adama.

Stał przed nią z opuszczoną głową, nie podnosząc oczu, jak skazaniec, który sam się wydał na stracenie, a tak przekonany o swej winie, iż nie chce ratunku i wyczekuje tylko na karę.

— To zabawne — zawołała szydersko — w legendzie przynajmniej Bóg wypędził Adama z raju, a w rzeczywistości... ty... ty sam dobrowolnie wypędzasz się!...

Mówiąc to, patrzyła nań bezlitośnie, cięła spojrzeniem, jak chłostą, jego umęczoną, a mimo to śliczną twarz.

— Tak... tak... — przywodził zgasłym głosem — ja sam, bo inaczej być nie może.

— To szaleństwo, zastanów się — wyrzekła łagodniej.

— Ja wiedziałem, że to nie może się stać — powtarzał swoje — ale przy tobie coś się ze mną robi, zapominam o wszystkim.

— I to ci powinno wystarczyć, to ci powinno wyjaśnić. Ale właściwie, nad czym tu rozmyślać? wszak się już stało, a nieodwołalną jest rzecz, która się stanie.

— Ale nie może się powtórzyć — powiedział — powtórzenie to nowa zbrodnia.

— Co... co?... jakto?... czy nie widzisz, do czego cię doprowadza twoje fałszywe rozumowanie? Ada, pomyśl, wszak to księżowska etyka, w ten sposób spychasz mnie do rzędu istot upadłych... do prostytutek, czy ty tego nie pojmujesz?

— Ciebie? nie, nigdy, Lila, ja ciebie?... ale wszak ty wiedziałaś, ty dobrze wiedziałaś, że ja nie jestem zdolny do pokątnych romansów, że ja mogę iść tylko prostą drogą; wiem, że każdy inny, ale ja nie mogę, pojmuję to, że możesz mnie nazwać głupcem, ale, Lila, chciej mnie zrozumieć.

Złożył ręce i uniósłszy swą zbladłą, cierpiącą twarz, patrzył na Lilith błagalnie swemi przecudnemi, lazurowymi oczami, których spokój i czystość zmacone były już raz nazawsze.

— Ach, rozumiem cię, rozumiem — podjęła niecierpliwie i obelżywie drwiąco — tylko ty sam siebie nie rozumiesz, to jest wprost idiotyczne, to...

Raptem umilkła, rozszerzonymi zagnała jasnowidzeniem oczami wpatrzyła się w tę śliczną, umęczoną samotorturą twarz Adama.

I oto, gdy zdawać się mogło, że go już pozyskała, że już jest pod jej władzą bez odwrotu — wszystko rozlatywało się na nowo.

Przychodziło do mózgu Lilith odrętwienie z jakimś obcym uczuciem sztywnego zimna, które z nieubłaganą logiką wskazywało: — o m y ł k ę .

Dotąd przeczuwała, że to nie jest t e n , że on nie potrafi odrzucić od siebie tych małomieszczańskich tradycji o cnocie. Cudzołustwo, którego tylekroć zarzekał się w dzieciństwie w pacierzu było dlań zbrodnią po nad zbrodnię, nie umiałby żyć w niem.

I oto owa czystość, odróżniająca go od ogółu mężczyzn, która tak bardzo podobała się Lilith, teraz mściła się na niej samej i odbierała go.

Z gorącego jej uścisku wynosiła go na powrotną drogę obowiązków.

— Czy to wszystko nie wynikało z braku temperamentu — rzuciło się w niej przelotne pytanie — i zgasło bez racji. Tak czy owak widziała, że

było próżnym przekonywać go, bo wzrósł z tem pojęciem i że nawet ona, przemożna Lilith, nie zdoła zeń tego wyrwać.

Że gdyby nawet stosunek ich trwał, zamiast szczęścia i upojenia, niósłby z sobą tylko zgryzotę.

Przetrawiając to, jakby w sobie zamarła, stała się drętwą, jak na pół żywą już nie z przyczyny, że miała się z nim rozstać nazawsze, ale dlatego, że to znowu nie był t e n .

Adam, widząc jej dziwny stan, przeraził się. Chwycił ją za obie ręce i wołał:

— Lila, nie bądź taka, przemów choć jedno słowo, mów najgorsze, ale się odezwij! Ja nie chcę ci dokuczać, ach, jestem niegodziwy, jestem podły!

Wpadał w coraz silniejsze wzburzenie, obejmował ją, potrząsał i błagał, całując po sztywnych rękach.

Ona jednak była, jak obumarła, jak oniemiała.

— Uczynię wszystko, co chcesz — zawołał nakoniec z rozpaczą — tylko przemów, wszystko uczynię, cokolwiek zażądasz! — zawołał.

I oto Lilith mogła zwyciężyć, mogła paść mu na usta, zespolić znów z sobą, wykorzystać te nieopatrzne słowa, na zasadzie ich wymódz przyrzeczenia.

Najniedorzeczniejsze, a nieodwołalne przysięgi gotów był złożyć owej chwili na jej żądanie.

Pojmowała to dokładnie i mimo to nie uczyniła ani jednego ruchu, a pozwalala mu odejść od siebie na zawsze, nie spojrzawszy nań i nie wymówiwszy ani słowa.

Ta zobopólna męka trwała nie wiedzieć ile godzin, Adam, nie uzyskawszy nic, odszedł.

Lilith została sama w ciemnym pokoju i w nią wstąpiła jakaś przeraźliwa ciemność, wзираła pustka.

Dusza jej przeobraziła się, jakby w drewniane pudełko, z którego raptem coś się wysypało.

Położyła się na łóżko i patrzyła w ciemnię oczami, które nic nie widziały. Ogołocoony mózg nie posiadał ani jednego skojarzonego pojęcia, miał w sobie otępiałość, jakichś wtórnych wyobrażeń, nawet jakby raczej tylko ich formy, i nie wiedzieć, z jakiej przyczyny wypełniony był temi nieodgadnionemi słowy:

— Mane, Tekel, Fares.

Mijały nocne godziny, były hejnały jeden za drugim, aż do samego ranka, a w umyśle Lilith były tylko owe trzy słowa.

W końcu poczęła je rytmicznie zcicha, zupełnie, jak we śnie, powtarzać, potem coraz wyraźniej.

I w ciszy nocnej płynęły tajemnicze, niewyjaśnione słowa: Mane, Tekel, Fares. I rozbiły się o puste ściany pokoju, jak smutne, tragiczne zagadki bytu.

I działo się to w tym samym pokoju, w którym poprzedniej nocy szły żarne szepty, związane z szelestem pocałunków, oplecionych zapachami jabłek, kwiatów, perfum i ciała, szalejących w orgji pieszczot.

Narcyzy jeszcze woniały, jak owej nocy, jak w owej chwili, gdy się dokonywał obrzęd wyzwolonych istot, nieusankcjonowany tradycyjnym obrzędem.

Czuć było jeszcze lubieżny zapach miłosnych oplotów... I z tego samego miejsca, na którym wzniesiono ołtarz i gdzie się dokonało misteryum nad misteryami, skąd wczoraj wypływał hymn miłosny, dziś — szła niezrozumiała skarga i tak szydziła, jak szydzi znikomość w chaosie zdeptanych, a wciąż odradzających się tworów.

Mane, Tekel, Fares.



Rano Adam wrócił, przyszedł, jak gdyby nie było dnia wczorajszego.

Nie uczyniła mu żadnej wymówki, patrzyła nań bez radości, raczej ze smutkiem. Był bardzo zmieniony, jego biała, świeża, zwykle nieco różowa, twarz stała się blada i znużona, oczy zciemniałe gorzały niespokojnym blaskiem i były podkrążone fioletową obwódka.

Nie zbliżała się doń, on sam ujął ją za ręce i całował.

— Gdybyś wiedziała, Lila, co się ze mną dzieje — szeptał — chodzę już od piątej rano na dworzec, myślałem, że nie zobaczę cię już, że odjedziesz.

Oparł swą rozbolełą, znękaną, jasną głowę o piersi Lilith i siedział tak, jak bardzo chore, zmęczone dziecko.

Lilith przyszedł na myśl słowa, które przez całą noc były w niej, teraz je dopiero sobie przypomniała, dziwiąc się, iż mogła popaść w taki niewytłómaczony stan.

Patrzyła na Adama w milczeniu, z przykrem przeświadczeniem, że jednak on nie pójdzie za nią, to jest, że nie będzie tym, którego ona przemieni, który patrzyć będzie na zatargi świata z pobożaniem.

Było już w niej pewnem, że nie potrafi się on wznieść do uznania kultu ciała, szafu i że nie pojmie nigdy, że życie jest właściwie chwilą, że szczęście jest także jedynie chwilą, że nie wolno psuć chwili, bo się psuje życie.

Uważał się za przestępcę i uznawał za konieczne wejść na drogę pokuty, aby powrócić do filisterskiej cnoty.

Na to nie było rady, żałowała go, mimo to już mu nic nie tłumaczyła.

Ta przebyta pusta noc wznieciła w Lilith dziwną rezygnację, nie czuła już mocy, ani chęci do dalszego systematycznego zdobywania Adama. Rozumiała, iż mogła to przy wytężonej woli dokonać, lecz widziała, iż stałoby się to w następstwach tragiczne z niebywałą jasnością, widziała, że znużona tem zwycięstwem sama potem odeszłaby odeń, on nie był stworzony do cierpień, tylko bowiem ludzi mocnych cierpienie wznosi, a słabi giną.

Tego nie chciała, czuła potrzebę oszczędzenia go. W swym tryumfalnym, niszczącym pochodzie zabójczej miłości jego właśnie zapragnęła ocalić.

Postanowiła wyjechać.

Adam nic nie wiedział z tego wszystkiego, jego czysta dusza nie przeczuwała, na jakie narażona była niebezpieczeństwo, a nawet została z przeświadczeniem, że to sama potrafiła się uratować.

Lilith poczęła się śmiać swawolnie, lekko i żartować.

— Dzieciaku — mówiła — zostaniesz ze swoim zmartwieniem i mieć będziesz dosyć czasu na rozmyślania, gdy mnie nie będzie, teraz śmieję się ze mną!

Ubrała się w swą czarną przejrystą suknię, w której tak mu się podobała, poczem poszli na obiad i znowu przez cały dzień nie rozstawali się z sobą.

Była już jedenasta wieczorem, gdy ją odprowadził do bramy i chciał pożegnać.

— Chodź na górę — prosiła.

— Ale tylko na chwilę — zastrzegł.

Uśmiechnęła się, przytakując mu głową.

— Wszak to ostatni nasz wieczór — powiedziała, gdy już się znaleźli w pokoju — jutro o tej porze będę już odjeżdżała, czy ci nie żal? — pytała.

— Żal — wyrzekł cicho, patrząc na nią smutno.

Zaczęła go całować po swojemu, gwałtownie, gorączkowo, do nieprzytomności.

— Już pójdę, puść — szeptał — jestem tak bardzo zmęczony.

— Zostań — prosiła.

— Nie, nie — protestował słabnącym głosem.

Domniemane przestępstwo tkwiło w nim tak mocno, że tym razem postanowił odnieść nad sobą zwycięstwo. Był już przy drzwiach, gdy Lilith podbiegła doń.

— Nie chodź — szeptała, przeginając się rozkosznie.

— Rozbiorę cię i ułożę do snu, ale sam zaraz, natychmiast odejdę — wyrzekł.

Nie wiedział, od czego zacząć, wskazała mu ręką kołnierzyk.

Rozpinał niezręcznie i z mozołem.

— Trzeba się tego nauczyć — powiedziała mu — bo jak się ożenisz, to...

Spojrzał na nią z wyrzutem, więc umilkła.

Stanik był rozpięty, ściągał go teraz ostrożnie i miał przed sobą perłowy, ujęty w cienkie koronki biust Lilith.

Bezwiednie utopił w nim usta, po chwili jednak rozbierał ją w dalszym ciągu, najtrudniej było z gorsetem i tu nie obyło się bez jej pomocy, poczem szło już coraz łatwiej.

Każdą część ubrania podnosił i układał starannie, suknie powiesił w szafie.

Lilith została w samej koszuli, przez cienki batyst przeglądało ciało, nęcąc ku sobie.



Położył ją, nakrył kołdrą, ucałował, następnie włożył pośpiesznie palto i skierował się do drzwi.

Patrzyła nań z zadziwieniem, zarzuciwszy obnażone ręce nad głowę, zawołała wzgardliwie:

— Wiesz, Ada, że ty to wcale nie jesteś mężczyzną!

Zatrzymał się, poczem powrócił do niej i siadłszy na krawędzi łóżka, pochylił się ku wyzierającym piersiom.

— Nie jestem mężczyzną — powtórzył w zdumieniu — Lila, i ty to mówisz? ty?...

— Tak i powtarzam.

Ustami zamknął jej dalsze słowa i popadł w gorączkę.

Wszystko znowu odeń odleciało, zapomniał o walkach, przewinieniach, pokutach, wyrzutach i pogrzył się w pieszczocie nad pieszczoty.

Już nie istniało dlań nic, prócz Lilith, jej gorących ust i jeszcze gorętszych piersi.

W tej długiej zimowej nocy godziny pierzchały tak prędko, iż nie było sposobu ich zatrzymać.

Szare światło późnego poranka padło pomiędzy ich rozkochane głowy, mimo to nie miały ochoty się rozłączyć.

Patrząc sobie w oczy, szeptali ciche słowa jeszcze bardzo długo.



Przyniósł jej pęk egzotycznych blado różowych kwiatów, ujęła je i obracała w ręku.

— Pojadę jutro rano — wyrzekła.

Ponieważ nie pytał dlaczego, ciągnęła dalej:

— To lepiej, nie będziesz potrzebował mnie odwozić, tak wypadło, pojadę ze znajomymi... Dziś jeszcze nasze — szepnęła, nachylając się ku niemu.

Adam przymknął oczy, oparł znużoną z bezsenności i miłosnego wyczerpania głowę o piersi Lilith i całował je swymi cudnymi ustami.

Po północy poszedł do siebie, pomimo, iż namawiała go, by został.

---

Gdy wszedł następnego ranka do jej pokoju, była już ubraną do drogi w swój popielaty kostjum.

Spojrzała chmurno, nie wyciągnęła ku niemu ręki, nie przestała chodzić tam i z powrotem. Zatrzymał się więc onieśmielony.

Przyszedł mu do pamięci odjazd Lilith z górskiej wsi i doznał wielkiej przykrości.

Czyżby tak samo mieli się rozstać, jak wówczas, bez przyjaznego słowa?...

Przyciął usta i objął cały pokój spojrzeniem, każda pozostawiana tutaj rzecz miała wspomnienie i zawierała cząstkę tego, co przeżył w tym krótkim czasie.

Dotąd ten hotelowy pokój wydawał mu się innym, dziś przerażał nieładem, wprost nieporządkiem — widać było, że ktoś, co tu przebywał, porzuca go bez zamiaru powrotu... zapełniony, wydawał się niezamieszkałym i czuć było, że za chwilę stanie się przerażająco pustym.

Pogniecione papiery, tekturowe pudełka, niedopałki papierosów, które on sam wczoraj tu palił, zaścięłały posadzkę, zalaną wodą. Pośród wywoskowanych, połyskujących tafli sunęła, szpecąc szkaradnie, wązka struga wody, pomiędzy tymi papierami i niedopałkami papierosów leżały porzucone zwiędłe narcyzy... narcyzy z ich weselnej nocy! Na stole walizka, na niej pudełko czekoladek i pęk blade różowych kwiatów — ciężkie egzotyczne głowy pochylały się smętnie.

Adam, spojrzawszy na nie, zwrócił wzrok ponownie na leżące na podłodze narcyzy i pomyślał, że taki sam los spotka i te blade różowe — pójda do śmieci.

Robiło mu się coraz przykrzej — wprost boleśnie. Milczenie Lilith zaczęło ciążyć mu strasznie, wprost dławiło go, zatem, aby je przerwać, odezwał się:

— Dziś mróz, trzeba włożyć futro.

Popatrzyła nań i, jakby odgadując jego myśli, wyrzekła:

— Narcyzy były związane złotą nitką, więc ją z sobą zabrałam.

— I te także mają taką nitkę — powiedział smutnym głosem.

Popatrzyli sobie głęboko w oczy.

— Spieszyłem się — wyrzekł — myślałem, że cię zastanę jeszcze nieubraną.

Zbliżyła się do niego i uśmiechnęła po swojemu.

Adam nie spuszczał z niej oczu, stała się znowu ową wabną, kuszącą Lilith, tak przezeń pożądaną.

Wyciągnęła ku niemu ręce i przyciszonym głosem powiedziała:

— Pożegnajmy się.

Adamowi powieki rozpoczęły drżeć boleśnie nad rozświetlonemi, lazurowymi, marzycielskimi oczami.

Objął ją, siadł i po raz pierwszy własnowolnie posadził na kolanach... usta ich zwały się z sobą, potem ona całowała go, a on, oparłszy głowę o kanapę, siedział bez ruchu w rozkosznym poddaniu się tej pożegnalnej pieśczoście.

— Lila — szepnął zdławionym głosem — ty zapomnisz o tem wszystkim... powiedz, że zapomnisz...

Ona, gładząc mu zwichrzone jasne włosy, pochyliła się do jego ust:

— A ty... zapomnisz?... — spytała.

Adam otworzył szeroko oczy i wpatrzył się w nią, potem znów je przykrył nieco powiekami i tuląc się do Lilith, powtarzał smutnie:

— Nie... nie... nie zapomnę.

Rzecz dziwna, mówili o tem, że się wkrótce zobaczą, że teraz Adam przyjedzie, a potem znów ona i mimo to nie wierzyli w to oboje... na dnie swych dusz czuli, choć bez jasnego uświadomienia, że to jest ich ostatni ranek... że to jest prawdziwy pożegnalny ranek, że istotnie rozstają się nazawsze... bezpowrotnie... pomimo, że zapewniali się wzajem zobaczyć prędko.

— Chciałbym jeszcze tu pocałować — prosił, wskazując na opięty szczerlnie biust Lilith.

Odpiegła szybko... i Adam rzucił swe cudne usta na wyzierające ku niemu piersi... i całował, zapominając o wszystkim.

— Już czas na pociąg — wyrzekła.

Uniósł głowę i utkwiał w nią błagalne spojrzenie swych ślicznych oczu.

— Lila... nie jedź... zostań... jeszcze ten jeden dzień — powiedział niespodzianie.

A gdy ona, milcząc, przypatrywała się mu z zaciekawieniem, mówił dalej:

— Poślemy na dworzec list twoim znajomym, żeś zachorowała... a tu się zamkniemy i zostaniemy sami do jutra... odwiozę cię, Lila... jeszcze do jutra...

Patrzyła nań uśmiechniona, nie odpowiadając; przypomniała sobie, jak ten sam Adam wciąż nakłaniał ją do wyjazdu i jak oto teraz, w uniesieniu, zapomniał o tem wszystkim, ale wiedziała również, że to minie... i że znów przyjdzie doń nieubłagana refleksja, potępiająca ten czyn... lekkomyślny, beznadziejny, jedynie przedłużony.

Zaczęła go całować po całej twarzy, szczególnie po oczach.

— Lila — szeptał, przyciskając ją do siebie z upragnieniem — Lila — powtarzał z wielką prośbą.

— To niemożliwe — powiedziała tak stanowczo, że od tych słów padł orzeźwiający chłód na jego rozgorzałą twarz, pokiwał smutnie głową i powtórzył zgasłym głosem:

— To niemożliwe.

Popadli w długi ostatni uścisk, pragnące usta nie chciały się jednak rozłączyć i żądały.

Wstali i mimo to znowu poczęli się całować, w końcu, aby tamę położyć, Lilith zadzwoniła na służbę, każąc wynosić rzeczy.

Kwiaty zabrała sama.

Nie oglądając się, wyszła, Adam zatrzymał się jeszcze we drzwiach i patrzył na pokój... puste łóżko z odrzuconą kołdrą spoglądało ku niemu, przywołując do pamięci cudne, niezapomniane noce.

Nie mógł się wyzbyć tej przykrej myśli, że właśnie ten ich pokój staje się nanowo banalnym hotelowym numerem, że za chwilę zamieszka w nim obcy człowiek... który będzie się może ordynarnie rozwalał po tych krzesłach, po tej kanapie, na której oni zamienili pierwsze pocałunki... że będzie się kładł na tym samym łóżku... on i po nim tyłu... tyłu innych rozmaitych ludzi... na tem łóżku, które jeszcze nie ostygło po ich pieścotach i jeszcze woniało słodko lubieżnym zapachem miodowego ciała Lilith.

Schodził ze schodów z opuszczoną głową zupełnie przygnębiony... beznadziejnie rozżalony i smutny.

Do dworca było blisko, rzeczy wysłali, a sami poszli.

Pierwszy szron otulił suche gałęzie drzew... bieleły się wzdłuż alei ogrodowej, jaką przechodzili, iskrzyły się w słońcu przedziwnie.

Ziąb ten padł i na wonne głowy egzotycznych kwiatów, jakie niosła Lilith... i ściał je, odrętwił... i uczynił z nich podobne woskowym, cmentarnym kwiatom... tylko złota nitka, jaką były związane, lśniły połyskliwie.

— Patrz — wyrzekła, wskazując na bukiet — co się zrobiło, a myślałam, że je dowiozę... w świeżości.

Adam popatrzył z goryczą i przygryzł swe spieczone, zgorączkowane usta, zrobiło mu się jeszcze przykrzej.

Szli obok siebie w smutnem milczeniu.

Na dworcu czekali już znajomi, ci, co odprowadzali, i ci, z którymi odjeżdżała.

Było już późno, natychmiast musiała wsiąść do wagonu.

Obstąpiono ją, żegnając, na końcu Adam stanął na stopniu, otworzył drzwi, ujął ją za rękę i pocałował długim, ostatnim pocałunkiem.

Spojrzeli sobie w oczy, nie mogąc ich odwrócić w inną stronę.

Podówczas z umyślną obojętnością Lilith odezwała się, aby coś powiedzieć:

— Podobno wybiera się pan do Warszawy?

— Tak — potwierdził — mam nadzieję zobaczyć panią wkrótce.

Te konwencjonalne, głupie, przymusowe zdania, tak bardzo odbiegały od tego, czem były przepelnione ich istoty i tak przeczyły wyrazowi ich twarzy, że brzmiały wprost niedorzecznie.

Adam nie odzywał się do nikogo, usta mu drżały, przyciskał więc je zębami i zbladły patrzył na Lilith swemi, rozbudzonemi przez nią, a dotąd tak przezystemi oczami... nie było już w nich tego cichego lazuru, zmaćone pragnieniem, umordowane wyrzutami i cierpiące przy tem rozstaniu, spoglądały tak żałośnie, jakby za chwilę miały się rozplakać.

Widział to każdy, widziała również Lilith i doznała nowego uczucia. Coś szło do niej od tych żałosnych, prześlicznych oczu.

I oto jej uczucie dla Adama, zrodzone w mózgu i wyhodowane przez wyobraźnię, teraz, po raz pierwszy, przeniknęło aż do dna tej mocnej duszy i zatargało sercem.

W momencie tym kochała go przepotężnie i była zdolną do wszelkich zrzeczeń i poświęceń.

Jednocześnie z tem uczuciem przyszedł przejaw pojęcia winy względem Adama — rozumiała, że on istotnie nigdy nie zapomni o tem, co się stało... należy bowiem do tego rodzaju jednostek, które nie pojmą wzruszeń wzbronionych i bez przyszłości.

Wzmógłony urok chwili, tym większy, iż był chwilą... na niego wpływał zabójczo i wykolejał tę czystą kryształową duszę, potrzebującą do całkowitego szczęścia nie tylko spokoju i zgody z samym sobą, ale i zgody tak zwanego poglądu o... uczciwości.

Dusza tego człowieka, wyrozumiała dla innych i wszystko pojmująca, siebie okratowywała, może dlatego, iż właśnie siebie samej nie umiała pojąć.

Był to niewolnik, który nigdy nie umiałby dojść do wolności, ponieważ nie rozumiał ani idei wolności, ani przyczyny niewoli, a nadewszystko nie czuł samej niewoli, w jaką dobrowolnie się oddawał.

Uchwycił Lilith za gardło wielki, spazmatyczny jęk, który nie mógł wydobyć się na uśmiechnione sztucznie usta i tylko ścisnął i dławił. Musiała zaczerpnąć powietrza, aby się nie zakrztusić tym żalem, jaki nią owładnął.

Miała ochotę wysiąść z wagonu i wbrew wszelkim narzuconym względom, przypaść do Adama i wołać:

— Ada! Ada! kochać cię będę, jak nikogo nie kochałam, tylko się wyzwól, a powiodę cię do prawdziwego szczęścia.

Wtem konduktor zatrzasnął drzwiczki, lokomotywa gwiznęła rozciągląym świstem, szarpnięte wagony cofnęły się w tył, zrazu zlekka, potem na swych wielkich kołach poruszyły się ciężko i podążyły naprzód.

Znajomi z dworca wołali słowa pożegnalne, Adam zaś szedł z biegiem pociągu z zaciśniętymi ustami i tak błądny, jak przemarzły kwiat, który się chwia u jego palta.

Lilith, wychylona z okna, patrzyła nań, odsuwana biegiem pociągu zatracając wyraz jego ślicznej twarzy i oczu, smukła jego postać malała, stając się coraz drobniejszą, jakby zanikając... Potem wszystko się z sobą sprzęgło, trudno było coś poszczególnie odróżnić, majaczył jedynie ruchomy kontur, nie widać już było ani smutnych oczu, ani cudnych ust,

ani nawet konturu, wszystko znikło, został tylko chłód grudniowego ranka, objął Lilith i wstrząsnął zimnem.

Słońce świeciło jaskrawo i swe promienie rzucało na wybielone szronem młode świerki rosnące przy plancie. Było ich dużo, coraz więcej, wyglądały, jak dziewice, gdy, przyodziane w biel przeczystą, pobiorą się za ręce do tańca.

Kołowały przed zmęczonemi, rozbolałemi oczami Lilith tą skrzącą bielą, jak gdyby naigrawając się, szydząc i przywodząc na myśl znikomość chwili, zdawały się wołać:

— Kochanek został, a ty z powrotem do męża i powieziesz z sobą obłudę i kłamstwo, a mienisz się być wolną, niewolnico! Wy, ludzie, sami sobie utworzyliście z całego życia więzienie... wszędzie poustawialiście rogatki i powznosiliście wielkie mury... a w nich powykuwaliście tak ciężkie bramy, że nie macie sił, aby je otworzyć, a nie ważycie się wywalić, więc przemykacie się jedynie wązkami, skrytymi furtkami i zdaje się wam, iżcie czegoś dokonali, o faryzeusze!

— Biedny ten doktor — ozwał się towarzysz Lilith.

Spojrzała nań mętnie, niewyraźnie, jak z długiego snu, jej zazwyczaj połyskliwe, mieniące oczy stały się matowe, jak martwe.

— Czy on się pani naprawdę podoba, ten śliczny chłopiec? — zadał znowu pytanie — pocóż go jednak męczyć, on nazbyt niedoświadczony.

Mówiącym był jej dobry dawno znajomy, poważny człowiek, uwagi jego jednak rozdrażniły ją, chciała odpowiedzieć mu ostro, aby od razu przeciąć, i... milczała, zupełnie krztusiła się, coś, jak przeraźliwie suche, mocne, kościste palce ścisnęło ją oburącz za gardło, że nie była w możności wypowiedzieć ani słowa.

Przemożną Lilith ogarnęła niemoc nad niemoce, z nią chęć, iście kobieca, chęć płaczu, prostego wyszlochania się, resztką jednak wysiłku zepchnęła łkanie w czeluście swej szarpiącej się, roztarganej duszy, zęby ścięła, a na swe wabne usta przywołała niedbały grymas fałszywego uśmiechu.

Wnętrze jednak jej istności wyło z szalonego jasnowidzenia prawdy, iż rozstała się z Adamem na zawsze, że, pomimo zobopólnych zapewnień, nie zobaczą się więcej.

Koniecznie chciała wbić w siebie przekonanie: że tak być musi, że jej winą jest ta omyłka, że niema zatem przyczyny do cierpień, Adam wszak był tym, czym go uczyniła i czym jedynie uczynić pragnęła — kochankiem chwili.

Pęk blado różowych kwiatów spoglądał na nią z ceratowych poduszek przeciwległej ławki, słońce padło ukosem przez szybę okienną i złota nitka, jaką Adam umyślnie kazał okręcać dla niej bukiety, zamigotała jej w oczy złośliwym promieniem... nadziei.

Ujęła wiązankę, położyła na kolanach i wpatrzyła się w te, powarzone przez mróz, kwiaty, które Adam dobierał z myślą o niej. Straciły zupełnie zapach i pokurczyły się, jakby nagle i im tchu zabrakło.

Pospieszny pociąg biegł i unosił Lilith coraz dalej od Adama, od jego pieśczoć, od uroku jego młodzieńczej delikatnej twarzy, od prześlicznych oczu, które na nią tak wymownie patrzyły, i od jego cudnych, soczystych, gorących ust, które przed godziną jeszcze wtulały się w jej piersi.

Trzymając sztywne, obumarłe kwiaty, jechała do rzeczywistości, jak na cmentarz. Istotnie rozścielało się w niej pole cmentarne żalu, iż właśnie ten Adam, którego ukochać mogła, nie jest tym, którego ona poszukuje. Wyciągając poń ręce wiedziała, że nie jest tym... łudziła się jednak, iż właśnie ona uczynić go takim potrafi. Widziała jego czystość i naiwność, nie dostrzegła jednak zaślepieństwa cnoty, przesądów i upornej fikcji obowiązku.

Teraz... nanowo otwierał się przed nią odmęt życia — z ową tęsknotą w wiecznej wędrówce poszukiwania tego drugiego ja, którym potrafiłaby się istota jej dopełnić.

Wszystko to w obecnej chwili zaledwie kielkowało w niej, było raczej przecuciem, aniżeli świadomem rozumowaniem.

Bezmyślnie rozwiązała złotą nitkę, motając ją naokoło swych palców, rozwiązane kwiaty rozsypały się po kolanach i poczęły z szelestem rzeczy martwych osuwać się wzdłuż jej sukni i padać do nóg na zapyłony, wydeptany tysiącem plugawych stóp ludzkich dywan wagonowy.

Nie zważała na to, uwaga jej skupiła się na owej złotej nitce, oto dostrzegła, że lśniące, złociste włókna były tylko z wierzchu — spód zaś z żółtej, ordynarnej bawełny.



Na małe różowe usta wybiegł uśmiech gorzki, widocznie i ta złotolita nić, którą rozsnuwała wokół Adama, musiała nie być szczerzłota, tylko na wzór tej — bawełniana.

Gorycz uśmiechu przeobrażała się w pobłażliwość, Lilith patrzyła teraz w dal przez okno wagonu na puste pola i biały szron na łąkach.

Kwiaty wciąż się zsuwały, wstrząsane ruchem pociągu, pozostał tylko na kolanach jeden duży, puszysty gwoździk, wyjątkowo świeży, ujęła go i poniosła do ust. Płatki kwiatu do złudzenia naśladowały miękkość gładkiej skóry Adama, zaś kolor bladego różu przypominał barwę jego delikatnej twarzy.

Lilith wstała szybko i obróciła się do okna, na głowę bladego gwoździka spadła piekąca łza i zamigotała na nim w słońcu, jak szron na kiściach mijanych, mrących w polu drzew.

---

Nie wiem czemu, ale mam wrażenie, iż piszę do ciebie po raz ostatni w ten sposób, że już nigdy te słowa, których miałam tyle na ustach, będąc z tobą, nie przejdą na papier.

Choć się nic nie stało, wciąż mi się zdaje, iż się coś stanie, a może w istocie już się stało tam, gdyśmy się żegnali w naszym pokoju.

Ada, pomyśl tylko, ten pożegnalny uścisk miałby być naszym ostatnim uściskiem? już nie mielibyśmy nigdy w rozszaleniu paść sobie na usta i wzajem omdlewać z pragnienia? Czyżby to być mogło?

Rozstaliśmy się z słowami prędkiego widzenia, a mnie się zdaje, że coś się zapadło, że to n a s z e się skończyło i choć jesteś dla mnie tem, czem byłeś, choć jestem pełna ciebie i choć cię pragnę, jako cię pragnęłam — nie jestem w możności otrząsnąć się z przygnębienia, które uchwyciło mnie jeszcze tam, przy tobie.

Myślę, że może źle zrobiłam, iż właśnie tego ostatniego dnia wyrwałam się z twoich gorących ramion, od twoich soczystych ust, że nie uczyniłam zadość twemu niespodziewanemu żądaniu. Może właśnie ta jedna chwila, przez ciebie pożądana, byłaby odmieniła całą naszą przyszłość, a w każdym razie uniesienie nasze trwałoby o dwadzieścia cztery godzin dłużej.

Wiem, jestem prawie pewną, że cię już straciłam, że cię nie pozyskam i jest mi przeraźliwie smutno.

Ada, czemu nie jesteś innym?

Dziś byłam w towarzystwie wielu mężczyzn, rozmawiali o miłości.

Otóż oni wszyscy twierdzili, iż tę kobietę się kocha w rzeczywistości, której nie przestaje się pożądać.

Był to szczerzy wniosek doświadczonych mężczyzn, a zatem w myśl tego twierdzenia, ty mnie kochasz i, co najważniejsza, ty zawsze kochać mnie będziesz. Tak, zawsze, nawet, jeśli już nigdy ponownie nie będziemy władli sobą, a nawet tembardziej, pamiętaj o tem. Nawet, jeśli ty, wciągnięty w swe dawne, ciche koło pracy i spraw małostkowych, ożenisz się, nic nie wyruguje z ciebie tego, co ja miałam... to przetrwa i przychodzić będzie do twojej małżeńskiej sypialni w uspione noce.

Słaniać się będą po nad twą głową, jako mgły parne, wspomnienia naszych pieszczot; namiętne, niewygaszone żary zaczętych, a niewyczerpanych do cna rozkoszy, mącić ci będą filisterski spokój rodzinnego życia.

Każda rzecz zkolei przyjdzie do ciebie... i to, jako usypiałeś na mojej piersi, a potem, obudziwszy się na niej, szukałeś natychmiast moich ust i objąwszy mnie w nagie, gorące sploty, szeptałeś w ekstazie:

— Lila! Lila!

Każda najmniejsza cząstka z tego, co było, okrąży cię nieujawnionemi, a jednak nierozplątanemi nitkami niezbląganej pamięci i powtarzać się będzie pomimo, a nawet wbrew woli.

Wspomnienia owe budzić cię będą i jawić się, przybierając kształty rzeczywistości i przyoblekać w formy owej złowieszczej Lilith, która mogła się stać twem dobrem, a stała się wyklętem złem twego życia.

Tak ja wciąż do ciebie powracać będę i zalewać ukropem wnętrze twej istoty, odradzać się w myśli twojej, jako te kwietne różowe jabłonie, woniejące w sadach w każdą wiosnę. I tak, aż po śmierć, trwać będę w tobie, boś mnie wchłonął w siebie, bo byłam tą, którąś całym sobą upragnął, której pragnąć będziesz, choć odejdiesz, bo nie odejdiesz odemnie z wyczerpania żądz, jaką nosisz w sobie dla mnie, ale z wyrozumowania.

Wiem, że nie odwiodeę cię od niczego, bo nigdy niemożna odwieść od rzeczy, jaka ma być!

Piszę to dlatego, abyś kiedyś, gdy przyjdzie do ciebie taka chwila rozpamiętywania rzeczy minionych i bezpowrotnych, wspomniał o tem, a uchwyciwszy się oburącz za swą jasną głowę, którą tylekroć obejmowałam w rozszalałej pieśczoce, abyś, kołysząc nią boleśnie, przyznał ze straszliwym samopoznaniem, iż rację miałam, i wówczas patrzeć będziesz swemi przecudnemi lazurowymi oczyma w przestrzeń cichej, nieprzeniknionej nocy, a dusza twoja wić się będzie i wołać:

— Lilith, czemu nie szedłem za tobą, jako idzie szum po wielkim borze, aż pokąd wichur wieje? lub jako ta fala na słonecznym morzu?! Czemuż nie szedłem, jako idzie płomień? albo jako idzie piorun w polu w noc majową?!

Na to odpowie ci... sapanie śpiącej żony, do której tak nawykniesz, jak się nawyka do wygodnych butów, lecz to twój ideał i cel życia! Dąż doń zatem i jaknajprędzej realizuj, ja nie stoję na przeszkodzie!

Stworzony zostałeś na cudnego kochanka, sam zrobisz z siebie banalnego mieszcza.

Lilith.

I oto nie wiadomo, czy mój list dojdzie ciebie, w kilka godzin po wrzuceniu go do puszek dowiedziałam się, iż rozpoczął się strejk pocztowy.

Tak wszystko układa się fatalnie, przenoszenie myśli pomiędzy nami udaremnione, zapadamy w głuchą ciemność niewiadomości, może to i lepiej.

List ten przesyłam przez pewnego „jegomościa“, który tam jedzie, poczynam więc sobie lekkomyślnie, a powinnam się strzedz, Marjan jakby podejrzewał, przyczem chorobliwie podrażniony, lękam się zapytań, które, już czuję, jak idą ku mnie.

Ty przynajmniej jesteś tam sam, ale ja wprost od ciebie tutaj... twoja kryształowa dusza nie zniosłaby takiego kompromisu, wiem o tem i kocham cię za to. Kobieta tylko umie się poniżyć do tego stopnia, jej wola, tyle wieków gwałcona, nawykła do zabicia w sobie prawdy.

Ach, kłamstwo jest ze mną i kłamstwo musi pozostać przy mnie!

A gdyby tak zerwać to wszystko z siebie?

Czasami wydaje mi się, że naprawdę popełniłam zbrodnię, wciągając ciebie w te kłamliwe i nie do wybrnięcia drogi.

Jaka szkoda, że nie mogę zobaczyć twoich przeczystych, lazurowych oczu, może wówczas przywdziałabym na się szaty pokutne, biła się w piersi i... żałowała.

Nie! po stokroć nie! Zawsze uczyniłabym to samo, powiodłabym cię, jak to uczyniłam, w ów zakazany raj świętych uniesień.

Prawda jest z nami, precz z nakazcami fałszu, tymi tolerantami przekupnych miłości, sojusznikami pisanej moralności, precz z tymi tajnymi rozpustnikami, handlującymi faryzeuszostwem!

Wyzwólmy się i ujawszy za ręce z całą jawnością idźmy za sobą i śpiewajmy hymn życiu.

Mówię zupełnie w myśl twojej nieskazitelnej duszy, lecz tak się nie stanie, my oboje nazbyt przeciążeni formułami.

I po co to wszystko?

Wczoraj, po raz pierwszy od czasu powrotu, miałam tę przezroczystą suknię czarną, pamiętasz? znasz w niej każdą haftkę; kładąc ją, doznawałam wrażenia suwania się po niej twoich białych rąk i tak bardzo wówczas przyszło mi wszystko do pamięci... i zaraz ścisnąwszy zęby, aby nie zgrzytać, powiedziałam sobie: wszak wszystko już skończone — i w owej chwili pragnęłam, aby to już naprawdę było skończone i doznałabym wprost ulgi, gdyby mi doniesiono, że ożeniłeś się.

Wiem, że inaczej nie zakończy się ta nasza historia i myślę o tem z dziwną niezrozumiałą obojętnością.

Ach, gdyby się to już raz stało, Ada, tylko prędko, bardzo prędko!

Cieszy mnie myśl, iż ta twoja żona nigdy nie będzie cię miała niepodzielnie — bo i cóż stąd, że wieść będzie z tobą wspólne życie? spychać godzinę po godzinie dni monotonnych i karmić dzieci?

Cóż mnie to wszystko obchodzi! ty zostaniesz przy mnie i jak długo wiedzieć będą o mnie, to również i o tobie.

W nieśmiertelność pójdziemy razem, Ada!

Słuchaj mnie, bo mówię do ciebie, jako ta, co wiecznie trwać będzie w tobie, ale już nigdy przy tobie.

Gdybym nawet znalazła tego, którego wciąż szukam, ciebie nie zapomnę, zawierałeś bowiem w sobie harmonję uroku, byłeś kwiatem, który się rozwinął i rozpachniał pod moim tchnieniem.

I bądź dumnym z tego, Ada, i głoś o tem, jak ja głośić to chcę przed całym światem, bo jakże małym jest ten świat wobec chwili, która go zapładnia.

Myśl o tym dniu pierwszym... najpierwszym i myśl o chwili, z której wyłania się wieczność.

Lilith.

Lilith już w drodze na jednej ze stacji kreśliła na niebieskim urzędowym blankiecie depeszę do Adama:

— Marjan powiadomiony nie dopuszcza widzenia, wyjeżdżaj.

Przybywszy na miejsce, wysiadła z wagonu z uczuciem zdrętwienia, mózg jej był zupełnie, jak sparaliżowany i dawne wrażenia odbijały się w nim mętnie, zupełnie, jak jakieś senne, dalekie, źle widziane obrazy.

Czyniła wszystko, co czynić należało, ale zupełnie automatycznie. Natychmiast z dworca udała się do mieszkania Adama, tam objaśniono ją, że wyjechał.

— Byłże to wyjazd przypadkowy, czy też spowodowało go jej doniesienie? — rozmyślała — w każdym razie odjechał, katastrofa zażegnana.

To przeświadczenie sprawiło jej ulgę. Ponieważ powiedziano jej, że za dwa dni Adam wraca, zostawiła list, aby natychmiast po powrocie zobaczyć się z nią.

Uspokojona nieco powróciła do hotelu. Pokój, który zwykle zajmowała, był zajęty, dostał się jej zupełnie przeciwległy na drugim końcu korytarza, tak, że z okna mogła patrzeć na okno tamtego pokoju, w którym przeżyła tyle uniesień.

Narazie, uderzona tą ironiczną przypadkowością, nie była zdolna do zastanawiania się nad tem, przygnieciona wypadkami, jakie sama sprowadziła.

Jedna jedyna rzecz sprawiała jej pewną radość, a to ta, że nareszcie jest tak daleko od domu, w którym tyle okropności przeżywać musiała, a

wszystko z przyczyny: że w chwili męki, torturowana przez Marjana, chcąc raz na zawsze zerwać z nim, powiedziała mu prawdę.

Ach, nie należy nigdy mówić prawdy! Niestety, teraz dopiero to pojmowała.

Prawda — zniszczyła szczęście Marjana raz na zawsze, sprowadzając nań straszne, potępięcze ataki szaleńczej zazdrości, a cały dom przemieniła w piekło, czyniąc minuty miesiącami, a godziny letami tortur.

Gdyby nie p r a w d a , byłby żył dalej swemi złudzeniami, otoczony szychem hypokryzji, która dla niego stanowiłaby szczęście.

Lilith zapóźno poczęła pojmować swą zbrodnię szczerości i potępiać swą nieumiejętność udawania. Powinna była oddawać się nadal mężowi z przywileju odwiecznych praw małżeńskich, jak to czyni tyle innych kobiet, i przeto ognisko domowe, uświęcone kłamstwem, trwa, otoczone opieką paragrafów oraz ludzkim poszanowaniem.

Wiedziała, że teraz już nigdy ani Marjan, ani życie jej nie przebaczą tej niepożądaney otwartości, bo nic tak nie gubi, jak prawda.

Na samo wspomnienie rzeczy, jakie przez to się stały, drętwiała, nawet tu, w ciszy tego małego, hotelowego pokoju, nie umiając wytłómaczyć sobie, jak mogła to wszystko przetrwać.

Przeklinała prawdę, jaka, na skutek uczucia dla Adama, otoczyła niespodzianie jej duszę, czyniąc ją do tego stopnia nierozważną i głupią, iż przestała rozumieć potęgę kłamstwa wraz z jego wszechmocnymi przywilejami.

Kłamstwo jest to jedyne bóstwo, któremu nie napróżno od początku świata hołdują ludzie, a zwłaszcza kobiety.

Czasami trafiał się taki szalenciec, iż rzucał z bezświadomem zuchwalstwem ową niepożądaną prawdę — ale gdzież byli ci, którzy chcieliby ją wziąć i trzymać?

Lilith uniosła najwidoczniej własna jej pycha, czuła się mocną, mocniejszą ponad wszelkie kłamstwa i oto siła jej rozbiła się o jego moc niezniszczalną, jak się rozbija alabaster o najzwyczajniejszą bryłę kamienną.

W przekonaniu Lilith nie mogły istnieć żadne więzy, przymus odrzucała, jako coś, co wydawało jej się szpetnem.

Małżeństwo uważała jedynie za formę, którą trzeba było przejść, ale można było również odrzucić w każdej chwili, jeśli przestało zawierać w sobie treść, ku jakiej dwoje ludzi, zawierając je, dążyło.

Była to jej prawda, to też sądziła za rzecz prostą i naturalną nie ukrywać tej prawdy, a tymczasem Adam, ten czysty, cudny chłopak...

Oto życie jego zawisło na krawędzi tej prawdy, ona prawda stawała się dlań wyrokiem śmierci, jakimś ohydny narzędziem morderczym w rękę człowieka, któremu tradycja dała przywilej pomsty w imię wyobrażeń, ukutych z barbarzyńskich instynktów samoprzywłaszczeń.

Lilith od owej chwili czuła jakowąś głęboką krzywdę, rodzaj zniewagi, były w niej bowiem wzmożnemi tętnami prawa naturalnych namiętności i domagały się ujścia, jako owe rozlewne wody wiosenne.

Natura jej wprost nie pojmowała nakazów światowej moralności i narzuconych, wbrew popędom, obowiązków. To też, gdy wskazywano jej poświęcenie, jako ideał, oburzała się, mówiąc: iż każdy żądał poświęcenia, ponieważ sam nie był do niego zdolnym.

Nienawidziła poświęcenia, nie uznawała jego racji, nawet brzydziła się nim i czuła instynktowną odrazę... niosło bowiem z sobą ustępstwa, poniżenie, przybierało się w haniebną pokorę, cuchnęło świętobliwością wyrzeczeń i niweczyło wszystko, co pożądane, naturalne, piękne, zabijało radość, było zatem zabójcą życia, a Lilith wydawało się to największą zbrodnią, uważała, iż wszyscy powinni się cieszyć życiem, żyć więc według swych własnych upodobań, choć wiedziała, że upodobania jednych niweczą upodobania drugich i że tej męce despotycznych nieporozumień niema końca.

Nie była w stanie zresztą roztrząsać obecnie tych zawiloci w swym umęczonym mózgu, zupełnie mechanicznie rozebrała się i położyła.

Natychmiast usnęła mocno, jak nigdy dotąd nie sypiała i jak tylko może spać człowiek bezgranicznie nieszczęśliwy, wyczerpany, zgnębiony, wytorturowany i niepewny godziny.

Była to pierwsza noc snu po piętnastu nocach przeraźliwego czuwania nad obłądnymi szaleństwami Marjana.

Otworzyła oczy i z przerażeniem usiadła na łóżku, wydało się jej, że słyszy jakiś szelest, jakby skradające się kroki.

Może to Marjan przyszedł ją udusić?

Przez zapuszczoną storę za ledwie siąkł szary poranek zimowego dnia, rozejrzała się z przestrachem, ujrawszy się jednak nie w domu, a w tym obcym pokoju, odetchnęła i uśmiechnąwszy się, nanowo przyknęła oczy do snu, teraz jednak doszło do niej bardzo wyraźne pukanie we drzwi.

— Kto tam? — spytała.

— Proszę otworzyć.

Zbrakło jej nagle tchu, był to głos Adama, rozgarnęła lecące jej na oczy włosy, wyskoczyła z łóżka i stanęła bezradnie.

Pukanie natarczywie powtarzało się, zarzuciła więc na plecy futro i otworzyła.

Na widok Adama ani jeden radosny odruch nie zakołatał w jej duszy, nic, prócz zakłopotania na myśl przykrych wyjaśnień, jakie ją czekały.

Siadła na łóżku, Adam podał jej rękę pospiesznie, jak obcej i jakby nie była tą, której tak pragnął i którą tak żegnał.

W momencie jednak wzajemnego złączenia dłoni, przyszło do Lilith powrotne uczucie przewinienia.

Niespodziewanie dla niej samej, pochyliła się i złożyła na ręce Adama pokorny, żebraczy pocałunek.

— Ach, proszę — zawołał gniewnie i wyrwał rękę niecierpliwie.

Zapanowało głuche milczenie, Lilith, zraniona do głębi, patrzyła teraz na niego z podrażnieniem.

Wszystkie złe, obelżywe słowa, jakie słyszała o nim, przyjechawszy tu, jak szarańcza przypadły, roztoczyły się w umyśle i kołowały z zjadliwym, utrapionem brzęczeniem.

Opowiadano: że nigdzie nie wyjeżdżał, a tylko, że się schował przed Marjanem i jeździł po mieście zakrytymi „fiakrami“ dotąd, dopóki się nie dowiedział, iż tamten odjechał z powrotem.

— Ach, jeśli to prawda, jeśli to prawda!

Patrzyła w pomizerniałą, bardzo zmienioną twarz Adama zmrużonemi impertynencko oczami, a w spojrzeniu tem mieściły się wszelakie fatalne przypuszczenia wraz z oskarżeniami.

— Wszak mogło być prawdą.

Adam, zmordowany jej milczeniem i podrażniony w najwyższym stopniu wyrazem jej oczu, zawołał podniesionym głosem:

— Powiedz nareszcie, co się stało?



— Ach... — wybiegło z ust jej lekceważąco — widzę, iż nic się nie stało.

— Co to wszystko ma znaczyć? — pytał, patrząc na nią z pod brwi nieprzyjaźnie, prawie wrogo.

Zauważyła, że wyraz ten szpecił jego delikatne rysy, chciała mu to nawet powiedzieć i nagle uczuła niechęć do wszelkiego mówienia.

Uczuła przytem, że, gdy tak siedzi rozczochrana i zgarbiona w tem futrze na plecach, nie jest również ową dawną, powabną Lilith, że daleko lepiej byłoby zrzucić z siebie to palcisko, zostać w koszuli i ubrać się, albo z powrotem położyć do łóżka, mimo to nie uczyniła nic z tego, stało się jej raptem wszystko obojętne, zaczynała ją poprostu nudzić i nużyć ta historja.

Ten nieprzewidziany i zupełnie niepotrzebny tragizm z powodu zaplątania się idjotycznej prawdy teraz z oddalenia wydał jej się nagle pospolitą awanturą, miałyby to jeszcze wszystko opowiadać!

— Przyszedłem tak rano — ozwał się łagodniej — ponieważ w liście było, abym przyszedł natychmiast, powróciłem jednak późno w nocy, więc nie wiedziałem, czy można, czy wypada...

Ziewnęła przeciągle.

— Podobno nigdzie nie wyjeżdżałeś — wyrzekła obojętnie — to bardzo mądrze z twojej strony — dodała natychmiast.

— Jakto? — zawołał — czy przypuszczasz, iż ukrywałem się?

— Nie uważałabym tego za przestępstwo — odparła i ziewnęła po raz drugi.

— Właśnie żałuję, iż nie widzieliśmy się z nim, nareszcie skończyłoby się, w takiej męce żyć niepodobna.

— A cóż ty powiedziałbyś jemu?

Spojrzał na nią swemi jasnymi, dziś dziwnie zamglonemi udrećceniem oczami i wyrzekł z prostotą:

— Prawdę.

Słowo to padło na Lilith ukropem, odczuła je, jak znieważający policzek; oto okazało się, iż ona z całą swą zuchwalczą dumą, lekceważąca dotychczas kłamstwo, była nie mniej naiwną od Adama.

Ten nieśmiały, cichy chłopak, który każdej chwili mógł zginać przez prawdę, nie widział mocy wszechpotężnego kłamstwa, uciezki prześladowanych, bóstwa słabych.

Lilith miała w sobie mętne przeświadczenie prawdy Adama, a raczej odczuwała jej inność, ale jednocześnie podejrzewała, iż chętnie ukryłby się za bramą powszechnego, pospolitego kłamstwa nie z wyrozumowania jego doniosłości, ale dla nienaruszenia codziennego spokoju i choćby mu to przychodziło z trudnością, jednak kłamałby z dobrego serca, aby innemu zaoszczędzić przykrości.

Ach te marne, liche względy dobrotliwości! jakże gardziła Lilith tymi, którzy brali te łachmany, jedni rozdawali, drudzy brali — byli siebie warci.

Chciała mu to wszystko powiedzieć, chciała wyrzucić z siebie tę otchłań goryczy, przez jaką przeszła i całe piekło umęczeń.

Gdyby Adam wiedział! on nawet nie miał o tem pojęcia, gdyby przeszedł taką jedną godzinę, już nie przetrwałby drugiej!

Te niewysłowione katusze, te bicie szalów samej zazdrości Marjana wraz z rzutami obłąkańczej namiętności, czyż iść mogły z niemi w porównanie niepokoję Adama? Zresztą mógł być spokojny, ona czuwała nad całością jego prześlicznej głowy i, póki żyła, nie mógł mu spaść z niej ani jeden włos.

— Prawdę — powtórzyła — wiedziałam o tem — dodała szyderczo — całe szczęście, że do tego nie doszło, jesteś dzieciak, dzieciak!

— A czyż to ja narobiłem tego wszystkiego — zawołał w najwyższym podrażnieniu — czyż nie przez ciebie stałem się podłym?

— Tak — przyświadczyła — ja to uczyniłam, więc i cóż stąd?

Mówiąc to, patrzyła nań z politowaniem i jednocześnie myślała: że też tak bardzo można się omylić!

— W liście obiecywałaś mi opowiedzieć, jak się to stało? — odezwał się.

— Nie teraz — odparła — nie teraz, jestem nieubrana, przyjdź później, ależ naturalnie, opowiem ci.

— Ach, wiem, teraz wiem, czem byłem dla ciebie — zawołał z goryczą — byłem kamieniem, o który się miało rozwalić twoje małżeństwo, do tego byłem ci potrzebny!

Przyglądała mu się w litosnem milczeniu.

— I dlatego to — mówił — trzeba mnie było wykoleić, trzeba mnie było unieszczęśliwić!

Nie odzywała się, skargi te i wymówki, nieprzerywane przez nią, trwały, dopóki nie wyszedł.

Gdy powrócił po południu, był już znacznie spokojniejszy, rozmawiali z sobą kilka godzin, wieczór przepędzili również z sobą, choć nie sami, widziała, iż Adam lęka się sam na sam, a ona także nie dążyła do tego.

Nazajutrz rano, gdy przyszedł, powiedziała mu, że następnego dnia odjedzie, ponieważ nie może tak zostawić Marjana, więc będzie przy nim, dopóki się nie wyleczy.

— Nie zobaczymy się zatem więcej — rzuciła obojętnie.

Adam, nie patrząc na nią, wyrzekł:

— Czyż nie przewidywałem tego, a może... — dodał z wielkim smutkiem i urwał.

— Powiedziałam ci na początku naszego poznania, abyś się mnie strzegł, pamiętasz?

Uśmiechnęła się z przymusem, przypomniawszy sobie, jak ten Adam szedł za nią na ślepo, zupełnie, jak urzeczony, a w tej oto chwili nie potrafiła już panować nad nim, nawet nie usiłowała, czuła swą moc upadającą, zresztą pragnienia jej wyczerpały się, obecnie dusza jej dążyła do wytnienia.

— I pocóż się właściwie to wszystko stało? — rzuciła więcej do siebie, aniżeli do niego.

— Czyż z mojej winy? — podchwycił — czyż to ja tego chciałem? wszak ja nie chciałem — powtórzył.

Wpatrzyła się weń zmatowiałymi oczami, w których zalśniło coś złośliwego, a nawet coś obrażającego dla Adama.

Powtarzał w kółko swoje „ja nie chciałem“, jak małaletnia uwiedziona dziewczyna z rodziny gęsiowatych, i nie rozumiał, iż, przesycony zaściankową prawdą, popełniał konwencjonalne kłamstwo, tem szkodliwsze i bezsensowniejsze, iż bezświadome.

— Jak łatwo możnaby to wykazać, ile przeciwstawić! — myślała — ale po co? omyłka, omyłką!

W rzeczywistości była rada, że to się już kończy, rażąco zakrawało na melodram.

— Ja mogę iść tylko drogą prostą — powiedział — naturalnie, inny korzystałby z teorii pani, ja nie potrafię.

Nie spuszczała zeń swych nanowo rozbłysłych oczu, przepelnionych teraz coraz złośliwymi płomieniami. Wydawał się jej śmiesznie, pretensjonalnie dziecinnym.

— Inni... — jakgdyby ona nie potrafiła odróżnić, jakgdyby nie wiedziała, jakimi są inni i jakim jest on, wszak tylko dlatego wzięła go.

Nie chciało się jej jednak przedłużać tej decydującej rozmowy.

— Byle prędszej — myślała.

— Jak to dobrze, iż rozstajemy się bez żadnych scen i tragedji — powiedziała i roześmiała się.

— Ach, to było do przewidzenia — rzucił i przygryzł wargi.

— Zatem żegnam p a n a — powiedziała, wyciągając chłodną rękę.

— Jutro rano przyjdę na dworzec... pozwoli pani... po raz ostatni... — dodał ciszej.

— Ależ może pan przyjść — odparła dziwnym tonem.

Słowa p a n, p a n i w ustach ich nabierały szczególniejszego brzmienia, przyczem wymawiali je z mimowolnym naciskiem i wielce przymuszonym głosem.

— A może wyjdziemy razem? — zaproponował.

— Nie, wyjdzie pan sam — odrzuciła twardo — nigdy już nie będziemy chodzili z sobą, p a n i e .

— Jutro rano na dworcu jeszcze pożegnam... — wyrzekł.

— Tak, tak, dobrze, jutro rano na dworcu — odpowiadała, uśmiechając się.

Poczem, aby już raz położyć kres temu, odwróciła się do okna.

Po wyjściu Adama oparła głowę o szybę i wpatrzyła się w przeciwległe okno tamtego dawnego ich pokoju, było puste i wyzierało ku niej w tym zimowym, zamierającym dniu mrocznie i ponuro, jak matowa płyta grobowca.

Stała długo z czołem na szybie, robiło się coraz ciemniej, zupełna noc zapadła, na przeciwległe jednak szyby padały teraz słabe rudawe odbłyski gazowej latarni, zapalonej na hotelowem podwórzu, jarzyła się ona, jak kaganek w dzień zaduszny na zapomnianym cmentarzyku.

Lilith z jakimś skupionem wytężeniem wpatrywała się w te szyby, na które tylokrotnie Adam zapuszczał stopy. Zaczęła się cicho śmiać do siebie... a raczej z siebie...

Znagła oderwała się od okna, zadzwoniła na służbę, mówiąc, iż przynosi się do znajomych, poczem poszła prosto na dworzec, skąd w godzinę odjechała, mając złośliwego chichotu pełne usta.

---

Ciepłe majowe wieczory, przesiąknięte rozrodczością, przepajały Lilith nawskroś gorącą nowych upragnień.

Z okna jej widać było mały owocowy ogród, wyglądał, jak jeden wiązek kwiecista i odcinał się dziwnie na tle wysokich kamienic miejskich.

Kwietne pręciki jabłoni wystrzeliwały w górę, pełne życiodajności, błądy róż pąków rozstulał się, wchłaniając w siebie wonny pył miłostnego nasienia, bujnie roztrwaniany co roku.

W każdy ranek patrzyła na oblepione kwiatem gałęzie jabłoni, tak poskręcane z sobą, jakby ramiona w rozkochanych opłotach.

I zrodziła się w Lilith myśl zobaczenia Adama nagłym, nieprzewidywanym sposobem.

W jednym momencie uknęła cały plan podstępnego widzenia.

Stanąc przed nim po tych miesiącach męki i umordowania, powiedzieć całą prawdę, określić wyraźnie, co stracił.

Wiedziała doskonale, iż żył on wciąż w trwodze i niepewności, co dnia oczekiwał, iż spadnie nań bezczeszcząca ręka skrzywdzonego.

Uśmiechnęła się z gorzkim tryumfem na myśl, iż Adam nigdy się nie dowie, jaką ceną okupiła jego życie, jakim sposobem wytargowała, wymusiła je na Marjanie.

Wszystko to teraz wydawało się jak nieprawdopodobny, przykry sen.

Ona wprawdzie naraziła Adama, ale też i ona ochroniła go: uzyskała słowo od własnego męża, zabezpieczające kochanka, potrafiła tego dokonać.

Ona wtrąciła ich obu w szalone koło dzikich, nieujarzmionych namiętności, a potem przesuwiała nimi, jakby pionkami według upodobania swej szatańskiej mocy.

Nareszcie wszystko to przeszło, budząc zdumienie w Lilith, ta rzecz dokonana jej samej wydawała się rzeczą nie do wiary.

Zastanawiała się, czy za sumę tej niebywalej energii, jaką spożytkowała dla ocalenia Adama, przeistaczając potępięczą mściwość Marjana, nie utworzyłyby się jakie wspaniałe dzieło, lecz czy mogło być wspanialszem nad to życiowe zwycięstwo?!

Cały ów dramat, gdy nań patrzyła teraz, z pewnego oddalenia, czynił na niej wrażenie nieznośne, przepełniał całe bezsenne noce przeraźliwymi wizjami, przywodząc do pamięci szczegóły niezatartych walk, bezlitosnych krzyżowych umęczeń, przez jakie dusza jej przechodziła, mrąc z wyczekiwania rzeczy nieprzewidzianych, a mogących się wydarzyć.

Wygrała życie Adama!

To wielkie zwycięstwo było tem wspanialsze, iż jej jedynie wiadome. Była tak przemożną, że stać ją było nawet na tę cenę, jaką sama nałożyła na jego głowę.

Prawdopodobnie już teraz i Adam nieco uspokoił się, zatem myśl, iż przyjazdem swym wytrąci go z owego sztucznego spokoju, napawała ją złą uciechą i nie byłoby sposobu, aby ją od tego zamiaru odwieść.

Gdy nareszcie urzeczywistniła swe pragnienie i znalazła się w tak dobrze znanem sobie mieście i hotelu, zastanawiała się, czy nie lepiej byłoby zaniechać widzenia i natychmiast powrócić do domu.

Nawykła jednak do przeprowadzania swych postanowień, została, ale już bez pierwotnego zapału.

Nazajutrz dopiero poszła do Adama. Gdy zadzwoniła, sam jej otworzył. Wrażenie było piorunujące — oniemiały patrzył znieruchomiałymi oczami w jej uśmiechnioną twarz.

— Gdzie jest pański pokój? — pytała — proszę mnie tam zaprowadzić.

Adam jednak, oparłszy się o ścianę przedpokoju, stał zbladły, nie mogąc się poruszyć, wyglądał, jakgdyby miał omdleć, ruchem ociężałym rąk osłabłych wyjął z kieszeni chustkę i obcierał spotniałe nagle czoło, nie wiedząc, co właściwie się dzieje.

— Nie spodziewał się pan zobaczyć mnie, co? — pytała z doskonale udaną swobodą.

Weszła do pokoju z niedbałą pewnością, Adam ciężkim chodem przytłoczonego powlókł się za nią, następnie drżącymi rękami nalawszy sobie wody, wypił duszkiem całą szklankę.

Lilith usiadła na fotelu przed biurkiem i rozpoczęła przegląd książek, które tam leżały. Robiła to umyślnie dość długo i z pozorną uwagą, nie przestając z pod rzęs śledzić Adama.

Widziała, iż poprostu stał się nieprzytomnym, radość jej więc nie miała granic.

— No i co? — spytała, raptem zwracając po raz pierwszy na jego bladą twarz swe bystre, połyskliwe, pełne szatańskiej uciechy spojrzenie. I nagle zmiłkła, popadając w zachwycone zdumienie.

Przez te wszystkie miesiące, odkąd nie widzieli się, miała wciąż w pamięci śliczną twarz Adama, lecz teraz coś się w nim odmieniło, poprostu stał się zjawiskowo, niedościgle pięknym!

Czyste, lazurowe jego oczy nabrały niezrównanej głębi, a cała przybladła twarz miała w sobie coś z przebytych niepokojów i udręczeń, przestała już być pustą, blado-różową kartą. Nie był to już wesoły ładny chłopiec — miał on teraz raczej wygląd smutnego archaniola.

I zrodziła się w Lilith nowa pyszna, samochwalcza myśl:

— Otom ja uczyniła go tak pięknym!

Rozradowała się tembardziej i patrzyła nań swemi płonącymi oczami, nanowo wabna i kusząca.

Twarcz Adama pod tem spojrzeniem zpurpurowiała i zaraz stała się jeszcze bledszą, staczał znowu walkę z sobą, widziała to i nie żałowała go, przeciwnie, pragnęła jaknajbardziej umęczyć. Sprawiał na niej wrażenie rzadkiego motyla na szpilce... trzepotał cudnymi skrzydłami w powietrzu... boleśnie trzepotał i nadaremnie!

Bardzo długie milczenie było pomiędzy nimi, aż nareszcie Adam, nie patrząc na Lilith, szepnął zdławionym głosem:

— Po co było przyjeżdżać?

Przyglądała mu się badawczo, ciekawie i bezlitośnie, zupełnie, jak trzepocącemu się na szpilce motylowi.

I najniespodziewaniej podkradł się do niej i uchwycił z całą siłą wielki żal... zapragnęła zniecka uchwycić oburącz tę cudną głowę i wtulić ją sobie pomiędzy piersi, jak dawniej... a potem szeptać mu w ucho:

— Co komu przyjdzie z twojej męki, szaleńcze!!!

Chęci tej jednak nie zdradziła najmniejszym nawet ruchem i patrzyła dalej z szyderskim uśmiechem.

— Chciałabym — wyrzekła dobrodusznie — abyśmy się widywali.

Podniósł na nią wylękłe spojrzenie.

— Jak przyjaciele... — dodała — wszak teraz możemy już być przyjaciółmi.

— Nie... nie... ja nie mogę — zawołał.

Opuścił głowę i zgnębiony patrzył na koniuszek lakierowanego bucika Lilith, który się wysuwał z pod lekkiej czarnej falbany u sukni.

— Wszystko tak mam w pamięci... — wyrzekł ciszej — może kiedyś... ale nie teraz... a narzeczona moja... — nie dokończył.

Lilith rozśmiała się głośno, bez ceremonji.

— Więc ani kochankiem, ani przyjacielem — mówiła wśród śmiechu, rozbawiona.

— Ach, gdybym mógł to wszystko cofnąć, co się stało, przeklinam moment mego wyjazdu tam, gdzie spotkaliśmy się.

— Ależ to melodramatycznie, pocóż tak? — rzuciła z niechęcią.

— Wiem, wydaję się śmiesznym, ale przedtem było mi dobrze, a potem ten wieczny niepokój, tyle strasznych miesięcy, nie wiem, jak to przeżyłem.

Chciała mu powiedzieć, jak bardzo poszło mu to na korzyść, jak piękność jego wyszlachetniała i uduchowiła się tem przeżyciem, lecz nanowo tylko się zaśmiała.

— Pan zupełnie robi zabawne rzeczy, co mnie może obchodzić pańska narzeczona, ja przecież nigdy nie zostałabym pańską żoną, ani nie rozstałabym się z mężem, jedynie dlatego, aby żyć z panem.

— Wiem o tem, wiem... — szeptał.

— Zatem — podchwyciła — trzeba było zrozumieć, że chciałam tylko, abyśmy byli względem siebie szczerzy i oddawali się wrażeniu... Widzi pan, o taki stosunek bardzo trudno, bo wszędzie jest jakiś mus... pewne mimowolne udawanie.

— I ja tak sądziłem, iż zawsze pozostaniemy dla siebie tem, co było z początku — wtrącił — to było tak piękne!



— To już rzecz pańskiej naiwności, że nie widziałeś, dokąd idziesz, zresztą czemu iść przeciw naturze? dlaczego stosunek fizyczny ma być w takim poniżeniu?

— Pragnąłem, aby między nami d o t e g o nie doszło, wiedziałem, że nas to musi rozłączyć.

Lilith cicho, cichuteńko chichotała.

— Ach, gdybym była wiedziała — wyrzekła wśród śmiechu — że postanowił pan żyć w wiecznej wstrzemięźliwości.

Tu nie mogąc zapanować, parsknęła głośno.

— To jest naprawdę zabawne, pan przypomina tego, co to przy zastawionym pełnym stole razem ze swojemi uczciwymi zasadami... umarł z głodu. Ha! ha! ha!

— Cóż na to poradzę, jestem taki, trzeba mnie było chować od małego po swojemu, to byłbym może innym, ale teraz już nie potrafię.

Lilith przestała się śmiać. Wpatrzyła się w jego cudną, zupełnie, jak z bajki, głowę, nie mogąc zgodzić się na to, iż ją widzi po raz ostatni.

Zapanowało ponowne długie milczenie.

Adam siedział z opuszczonemi w dół oczami, nie śmiejąc zwrócić je na twarz Lilith, ona zaś nie przestawała weń się wpatrywać nieskończenie złorzeczącym spojrzeniem.

Nikły, lotny zmierzch wiosenny przesiąkał już do pokoju od jakichś łąk, na które wychodziło okno... Wiatr niósł zapachy fijołków, nieciły one swą młodzieńczą marnotrawną woń wokół tych dwojga siedzących w ciszy i umęczeniu podówczas, gdy cały świat drżał od miłosnego upojenia.

— Muszę iść do chorego — wyszeptał niepewnym głosem Adam. Spojrzał na zegarek, wstał.

— Właściwie powinienem tam być już od godziny — powiedział głośniejsz.

— Ja też jestem chora... a nie leczysz mnie — wyrzekła rozdrażnionym głosem — i ty także jesteś chory... — dodała serdeczniej.

Adam podniósł na nią swe zachwycające, przesmutne oczy i patrzył błagalnie z niemą, cichą prośbą.

Spojrzenie jednak Lilith stało się już nanowo wyzywająco szyderskie, jak przedtem.

Podniosła się szybko ze swego miejsca i powiedziała sucho:

— Więc idźmy.

I szli długo przez wiele chłodnych, szarych kamiennych korytarzy po szerokich kamiennych, pustych schodach.

Nie mówili do siebie wcale. W tej szpitalnej ciszy rozlegał się tylko szelest jedwabnych podszewek sukni Lilith i obijał się o wysokie mury szorstko i niemal tak wyzywająco i okrutnie, jak jej śmiech.

Gdy już dochodzili do przedsiionka, przystanąła.

— Co sobie pomyśli dyżurujący woźny, tyle godzin kobieta u...  
p a n a — wyrzekła.

— Tak, to prawda — nigdy jeszcze nie było u mnie kobiety —  
odparł.

— Ach, nieposzlakowanej cnoty młodzieńcze, cóż teraz będzie? —  
pytała.

Weszła o dwa schody wyżej i przysunawszy się do Adama, szepnęła mu w samo ucho z całą bezwzględną szczerością pożądającej kobiety:

— Nawet ten woźny nie pomyśli... że jego pan był aż do tego stopnia głupi!

I natychmiast zbiegła szybko na dół.

Na zakręcie ulicy zatrzymali się, tak wypadło, iż właśnie mieli nad głowami starą rozgałęzioną akację, która poczyniała rozkwitać.

Mimowoli oboje wchłonęli w siebie jej słodką miłosną woń i stali, nie mogąc się rozejść.

— Maj! — szepnęła Lilith — wszystko pachnie i kocha, a my... pół dnia siedzieliśmy z sobą i niszczyliśmy miłość, właściwie ty... ty...

Nie dokończywszy, wskoczyła szybko do dorożki i kazała jechać prędko.

Adam odszedł w przeciwną stronę i oboje nie obejrzel się ani razu.



Jeszcze jedyny raz zobaczyć go, a potem odjechać i już nazawsze się odeń oderwać, ale przedtem pożegnać się, jak z umiłowanym, jak z tym, którego się żegna nazawsze.

Napisała, aby przyszedł do niej natychmiast w ważnej pilnej sprawie, list ten wysłała wieczorem, Adam więc otrzymał go dopiero o północy, powróciwszy do domu.

Nazajutrz zaraz po siódmej rano do mieszkania Woltów, znajomych Lilith, do których przeniosła się z hotelu, ktoś zadzwonił.

Dzwonek, alarmujący o tej godzinie, sprawił w całym domu nieopisany rwetes, wszyscy pozrywali się z łóżek, nagwałt chwytając za ubranie, bowiem trzeba zdarzenia, że zegar stanął w tym zresztą bardzo artystycznym domu. Woltowie byli zatem pewni, iż jest to conajmniej południe.

Jedynie Lilith nie poruszała się, ona wiedziała doskonale, że to Adam, spojrzała tylko na zegarek i uśmiechnęła się, ale gdy Woltowa, wpadłszy w białiznie, pytała o godzinę, odpowiedziała z całym spokojem, że i jej zegarek stanął.

Wpuszczono jednak Adama, Lilith wstała i, zarzuciwszy na siebie jedynie halkę i biały kaftanik, wyszła do niego.

— Myślałem, że pani teraz rano odjeżdża i dlatego tak wcześniej przyszedłem — tłumaczył się.

— Istotnie odjeżdżam dziś, ale wieczorem — powiedziała — i chciałam, abyśmy się pożegnali.

Wyciągnęła niespodziewanie ku niemu swe ciepłe ręce, uczuł gorącość jej twarzy tuż przy swoich ustach...

Stało się to tak nagle, zanim przewidział, a raczej nie przewidziałby tego nigdy. Zupełnie oszołomiony rzucił się do drzwi, lecz wyprzedziła go, zamknęła je i tryumfalnie uniosła klucz w górę.

Mógł wprawdzie uchwycić ją za te białe drobne ręce, które tylekroć całował, i klucz odebrać, lecz byłoby to może nazbyt brutalne, a przytem to zbliżenie do niej, ta konieczność szamotania się z nią, z n i ą właśnie.

Widział, jak szła ku niemu z wyciągniętymi rękami, uśmiechnięta, zdobywczą i ponętów pełna...

Począł się cofać, osłabł i zbladły oparł się ciężko o ścianę, podeszła i ujęła go za obie ręce.

— Pocałować — prosiła — ostatni, ostatni raz... a potem już nigdy... na zawsze...

Głos jej był pieszczotliwy, prawie pokorny, pełen prośby kobiecej miękkiej, rozmiłowanej i taki, któremu niepodobna się oprzeć.

Adam jednak bronił się, a raczej nie wiedział, w jaki sposób obronić się. Patrzyli na siebie, on z rozpaczą woli odbiegającej, ona zaś napawająca się jego przerażeniem. Był nadwyraz piękny z tą błądzącością, która mu objęła białą twarz, z dużymi, pociemniałymi oczami, których nie miał siły odjąć z twarzy Lilith. W błądzącości tej usta wydawały się czerwieńsze, wychodził z nich szept nieprzytomnej, słabnącej, lecz uporczywej opozycji:

— Nie... nie...

Resztką kołaczącej świadomości, która odeń odchodziła, czuł, że nie może się poddać, nie powinien, inaczej bowiem zginie, bo nie będzie to pocałunek ostatni. Owa nić, którą zerwał, swemi wrzącymi włóknami opasze go na nowo i już nie zdolen będzie jej rozmotać, wwikła się bez nadziei, bez ratunku, bez powrotu i uczyni nową podłość, nową zbrodnię.

Rozumiał to, rozumiał doskonale, a raczej odczuwał.

Oboje pełni niepokoju i drżenia, patrzyli na siebie, jak urzeczeni samymi sobą.

Miał ją tuż, trzymała go za ręce, przez negliżowy biały kaftanik, obwiedziony przędzą cienkich koronek, rysowała się krągłość ramion i owalność rąk, które tylekroć opasywały mu szyję; przez ciekawą tkaninę batystu widział również wypukłość piersi, które całował, które pieścił, którymi władał i w które mógł się zanurzyć... Miał przed sobą usta, w które mógł wtonąć i pić na nowo tę trującą, zabójczą lubieżność.

Czuł, że słabnie, wszak, na miłość boską, była to ta sama kobieta, ta sama zdobywca Lilith, która przywodziła go do utraty rozumu, która go przeobraziła, rozbudzając w nim uspięny, zdeptany, tylekroć poniżony przez niego instynkt pożądania, instynkt, którego w swem mniemaniu się wyzbył, nie chcąc dać mu w sobie prawa bytowania, tak go przecież ujarzmił, iż sądził, że go się całkiem wyzbył.

I było mu z tem dobrze, szedł spokojny, czysty, wyszlachetniony i czuł się silnym, raptem o n a ...

Ona jedna mieściła w sobie cały niszczący żywioł i opanowała go, była dlań ciągle tą samą, nie straciła nic z swej mocy ponęt. Byłby jej się oddał tak samo każdej chwili, jak wówczas.

Rozkosz z nią przeżyta przyszła doń i nanizywała płomień gorączkowy, ogień żądy, który druzgotał wszelkie jego prawdy i postanowienia.

Wszystko miał w pamięci, co się z nią łączyło, najdrobniejsza rzecz ożyła i drżała w nim, jakby to nie minęło pół roku, lecz jakby się stało kilka dni temu, a nawet, jakby to było wczoraj... jakby nie minęła od dnia tego więcej, niż godzina.

Wszystkie cuda miłosnych upojeń oplatały go i ciągnęły do tych małych ust, wzywających.

Kobieta ta była dlań wciąż iskrzącą krużką czarownic, niegasnących kadzideł, od której ust swych nie chciałby odrywać nigdy. Była ową pierwszą krynicą całkowitej rozkoszy, w jaką się rzucił bez pamięci, obłądny, cały przepojony nią, dygocący i pragnienia nieugaszonego pełen. Lecz była również ową krynicą zła i męki, wiodła w otumany, w rozterki, w zdradę, w podstęp, w cudzołożnicze drogi bez wyjścia i powrotu.

Zdawał sobie jeszcze z tego wszystkiego sprawę, ale coraz niejaśniej i prawie pragnął, aby przyszedł taki dzień, jak ów tamten pierwszy... w którym zatracił pamięć wszystkiego i zgubił sam siebie w tym szale, który go opętał.

Gdybyż naszła taka chwila, by kobieta ta była tylko krynicą szału i omamień ducha aż po wieki!

Gdybyż jaki omglony tuman tak całkowicie objął ją i jego, by stracili pamięć rzeczy minionych i przyjść mogących, by ich tak oplótl i splótl, by mogli być tylko on nią, a ona nim... i by nigdy nie widzieli zbrodni, jaka się przez to stała, by nie słyszeli złorzeczeń, jakieby za nimi poszły, ani żadnego głosu haniebnie oszukanych, ani nawet tego głosu, który w jego piersi kołatał i tłukł, jak młotem:

— Podły!

Gdyby tak można popaść w taki szczególny stan bytu, jak jawy... gdyby tak można z zamglonym mózgiem popaść w omanu sen przy ustach tej kobiety i czuć tylko ją, tę rozpętaną lawę zmysłowego uniesienia aż po wsze czasy.

Ale się nie budzić za nic, spłynąć wraz z nią w jednolitość, stopić się w jedność i płynąć tak kędyś... jak w ów dzień pierwszy... jak w ów dzień szału!...

I wiedział, że to wszystko, o czym marzył, jest w tych ustach, które ma rozdrżane przed sobą, wiedział, ale jeszcze resztką przytomności rozumiał, że one od niego odejdą, a wtedy znów przyjdzie dzień świadomości i męki, i wiedział również, że skoro tknie się ich — ta resztką trzeźwości odleci odeń.

Niemy i bezsilny stał, oparty o ścianę, a oczy jego wydawały się jeszcze większe wśród prześlicznej, bladej, jakby stygnącej twarzy.

Ona wpatrywała się w ściemniałą głębię tych oczu, były tak cudne i pełne lęku, jak rozgorzałe w słońcu i nabrzmiące rosą fijołki, gdy czują nad sobą bezwzględna, zaborczą rękę, wydawało się, iż pachną, jak one, i strwożone, wołają:

— Miłosierdzia!

Nastąpiła chwila ciszy tak przeciążonej, że zda się można było dosłyszeć szelest rzęs drgających i niemy szept tych dwu par oczu, które wpojone w siebie, nie zdolne były się rozerwać. Rozповідаły wszystko, co w duszach tych ludzi się mieściło i przywiodło im wszystko, cokolwiek z sobą przeżyli. W spojeniu tem doznawali męczącej, wprost niedościgłej realnie pieśczoży, rozkoszy tej, co była i tej, która być mogła.

Żrenice Adama stopniowo zwiężały się, mdlejąc od nadmiaru wysiłku.

Lilith nanowo ujęła go za ręce, które udało mu się przed chwilą oswobodzić. Drgnął, wysmukła jego postać zachwiała się, a jasna głowa pochylila i naraz przemożnym wysiłkiem rozpaczy odskoczył, rzucił się do zamkniętych na klucz drzwi i począł je szarpać z całych sił, krzycząc bez związku.

Lilith, nie spuszczać zeń oczu, zcicha rozśmiała się, potem głośniej, następnie z pełnych piersi swym dźwięcznym, rozbrzmiewającym śmiechem, w którym nie było nawet szyderstwa, przeciwnie, same czyste tony szczerego rozbawienia.

W chwili tej Adam wydał się jej istotnie śmiesznym i gdyby nie był tak bezwzględnie i tak porywająco pięknym, uczułaby do niego to, co jest najbardziej poniżającym, to, co jedynie istota wyższa może czuć względem niższej, to jest pogardę. Ona jednak uczuła dla niego litość.

— Co się stało? — dał się słyszeć głos Woltowej.

— Jestem zamknięty, nie mogę się wydostać — zawołał, nie zdając sobie absolutnie sprawy z sytuacji, w jakiej się stawał.

— To niech pan drzwi wywali — wołała Woltowa.

Lilith stała na środku pokoju i, obracając klucz w rękę w kółko, zanosila się od śmiechu.

Nie oprzytomniło to jednak Adama, nie odczuwał całej śmieszności, na jaką się narażał.

Istotnie, był nad wyraz zabawnym, ten smukły, o połowę wyższy od Lilith mężczyzna, który czuł się wobec niej tak bezsilnym, że jedynie zdolnym do przyzywania pomocy osób trzecich. Walił we drzwi i krzyczał, jak bezbronna, niedojrzała dziewczyna, którą chcą zgwałcić, a przecież miał tyle siły, że mógł klucz odebrać.

Nagle Lilith przestała się śmiać, podeszła ku niemu i powiedziała gniewnie:

— Jeśli pan nie przestanie natychmiast, to wyrzucę klucz za okno.

Słowa te, a może raczej głos ostry, który uderzał, jak przenikliwa cienka trzcina, podziałał nareszcie na Adama. Uspokoił się i spojrzał na Lilith z umęczeniem.

— Będziesz kiedyś tego żałował — wyrzekła głucho, patrząc nań z pod zmarszczonych brwi.

W tej chwili nie miała w sobie ani krzty uczucia dla niego, nic, prócz gniewu, który wzbierał w niej z wielką mocą.

Gniew ten następnie zwrócił się przeciw niej samej, oczywiście jeszcze raz przekonała się, że człowiek ten nigdy nie stanie się tym, jakim go chciała widzieć, już nie ze względu na siebie, ale ze względu na niego samego. Nigdy on nie dojdzie do tego stopnia wyższości, aby się wznieść nad zło i dobro.

Dusza jego wciąż pamiętać będzie o tych drobnych społecznych względach i płynąć równym szlakiem przeciętnej, tysiącnej, tak zwanej uczciwości ludzi dobrych, którzy dopuszczają się bezświadomych okrucieństw przeciw sobie i innym, którzy popełniają wielkie zbrodnie przeciw naturalnym prawom życia.

Łudziła się, że go urobi, że pójdzie on za nią i wzniesie się do swobody i stanie się zeń wolny człowiek.

Zresztą, że to nie nastąpi, przekonała się już przed tem, teraz tylko zawód ten przyszedł do niej ponownie i dławił, zupełnie, jak łyż, których właściwie niema, ale które wzbierają i duszą za gardło.

Chciała odeń odejść pełna uroku jego ust, z uczuciem czegoś pięknego, a on tę ostatnią chwilę tak oszpecił, tak obrzydził, zupełnie sam siebie spoliczkował.

A przecież on, on jeden mógł być tym, którego wciąż napróżno szukała... ową harfą złotą, na której mogłaby wygrać „pieśń nad pieśniami“ i iść w nieśmiertelność.

I sam się obniżył, sam się zbecześcił, nie umiając wyzwolić z tej szarzyzny tłumów.

Milczenie długie, milczenie martwe objęło ich.

Wiąż bladych irysów wychylała się z wazonu i patrzyła przykro na to coś, co tu stygło.

Stało się ciężko, czuć było zbrodnię, jaka się dokonywała, ostatnie rzuty duszy targały się tu w agonji przebrzmiałych uniesień.

Szkarłatne róże na rajskich krzakach konały w męczarniach, bezpłodne, stargane, bezmyślną, ośleplą manją fałszywych grzechów.

Rozpoczęła się panowanie Ewy, która wwiiodła Adama w trud, w znój przynależności — bity gościniec odwiecznych kłamstw, uważanych za prawdy, w świat czczych pozorów, w świątynię lichych bałwanów, uznanych za bogi.

Lilith odjęła ręce od oczu i spojrzała w smutną twarz Adama z wielkim żalem. Najwyraźniej widziała, jak około jego białych rąk, z pomiędzy smukłych palców wysnuwa się cała sieć cicho brzęczących więzów i splata mocno niewzruszony łańcuch.

Teraz już wiedziała, że szkoda wysiłków... człowiek ten urodził się na... niewolnika.

---

Otworzyła drzwi, które zaskrzypiały, jak cmętarnie bramy.

Następny pokój był ciemny i wyglądał, jak otwarty grób.

Adam nie poruszał się z miejsca, patrzył zmatowiałymi oczami, które przypominały teraz dogasające błękitne ognie.

Lilith zaśmiała się resztką dźwięków, które przypadły ku niemu przyczajone i złowieszcze.



— Czemuż się mnie pan boi, cóż mogę panu zrobić? — wyrzekła —  
wszak widzimy się po raz ostatni, skoro ja to mówię bezwarunkowo  
o s t a t n i — dodała mocno, stanowczo, bezwzględnie.

— Wiem — szepnął Adam smutno — wiem — powtórzył.

— Chciałam — mówiła — aby się pan ze mną pożegnał, jak  
przyjaciel, a pan?

Adam zbliżył się, ujął obydwoma dłońmi jej ostygłą rękę. Oczy jego  
patrzyły na nią błagalnie, jakby upraszając o wyrozumienie i przebaczenie.

— To też ja — rzekł umęczonym głosem — pożegnaj się z panią,  
jak z bardzo drogim przyjacielem.

Nie spuszczać przeczystych źrenic z twarzy Lilith, niósł jej rękę do  
swych soczystych, ślicznych, młodych ust i pochylał swą bajeczną, jasną,  
nieprawdopodobnie cudną głowę coraz niżej.

Raptem Lilith szarpnęła się i wyrwała rękę z jego rozgorączkowanych  
dłoni.

— Nie, nie, nie chcę, tak, nie chcę — zawołała.

I patrzyła nań nieprzyjaźnie, wrogo.

W tej chwili weszła Woltowa, rozpytując, co się stało.

Lilith wzruszyła ramionami niechętnie, zaraz jednak uśmiechnęła się  
swym zwykłym uśmiechem, odpowiadając żartobliwie:

— Właśnie, że się n i c nie stało, kochana pani.

Adam przyciął usta i patrzył na nią w pogiębionem milczeniu, nie  
umiał nawiązać rozmowy z Woltową, ona zaraz też wyszła.

Lilith poczęła się ubierać.

— Proszę mi zapiąć bluzkę — powiedziała najnaturalniej w świecie.

Bluzka była lekka, przejrzysta, jak przędza, zapinała się z tyłu i miała  
mnóstwo drobniutkich guzików, zabrało też to dużo czasu.

Adam mimowoli musiał się dotykać swymi drżącymi palcami  
miodowego ciała Lilith i patrzeć na obnażoną szyję, mimo to zajęcia swego  
dopełnił, jak staranna, choć niewprawna garderobiana.

Przyszedł Wolt z kolegą, więc Lilith się schowała do następnego  
pokoju. Wkrótce przez uchylone drzwi wezwała Adama ponownie.

— Zapomniałam o zegarku — wyrzekła — trzeba bluzkę odpiąć.

— A czy nie możnaby go tak włożyć — zaproponował.

— Proszę spróbować.

Starala się odchylić bluzkę, Adam zaś usiłował, wsunawszy palec za muślin, zegarek umieścić w kieszonce, która była na piersiach od spodu staniczka. Naprawdę jednak, trzeba było nie tylko rozpiąć, ale zdjąć całą bluzkę, wszystko to zrobił on sam, z prawdziwą pieczołowitością i z swą dobrą, rozbijającą słodyczą, a gdy okazało się, że przy sukni podpruwały się zatrzaski, poprzyszywał je, następnie całkowicie ubrał Lilith, jak gdyby nic pomiędzy nimi nie zaszło. Nie zapomniał ani o jednej haftce przy jej dość skomplikowanym ubiorze, a czynił to z taką uwagą, jak gdyby następnie miał ją rozbierać.

I gdyby ktoś ich obserwował, nie domyśliłby się nigdy, iż dzieje się to wszystko po raz ostatni.

Lilith, ubrana całkowicie, weszła do pokoju, w którym siedzieli panowie, z swym powabnym uśmiechem przywitała się z nimi i zaczęła rozmawiać z swobodą i złośliwością, chwilami dochodzącą do umyślnego cynizmu.

Adam nie spuszczał z niej oczu, doszczętnie przygnębiony, nie mógł się zdobyć na odrobinę humoru. Ci mężczyźni, widzący go po raz pierwszy w życiu, zauważyli, iż coś się tu musiało stać... i cały stosunek, jaki istniał między nim i Lilith, wyczytali z jego nie umiejących kłamać oczu.

Wszyscy razem wyszli, zachmurzyło się i deszcz zaczął padać, przyczem wiatr rozbijał te dżdżowe krople i rzucał im w twarze z dokuczliwością. Lilith szła w inną stronę, aniżeli Adam, zatrzymali się więc. Podała mu rękę, nie podnosząc nań oczu, choć czuła jego umęczony wzrok na swej twarzy, była obojętna, zimna; palce Adama drżały, trzymał w nich rękę Lilith długo, pragnąc ją pocałować, nie odważył się jednak na to.

Ona, nie podniósłszy nań oczu i nie obejrzawszy się, odeszła na zawsze... z jego własnej winy...

Szedł z trudnością, z opuszczoną w dół głową. Ulica, na której mieszkał, wydała mu się obcą, poprostu straszną.

Uczuwał żal nie względem siebie, lecz względem Lilith, ją uważając za przyczynę swych cierpień, wtrącenie go w to piekło niepokoju, pożądań i rozterek.

Łudził się, iż po rozstaniu się z nią będzie na nowo tym, czym był niegdyś, powróci do zrównoważonego życia pracy i ciszy, nadewszystko zgody z samym sobą.

Nagle doleciał go jeszcze jej głośny śmiech i owinał się mu wokoło dążącej do spokoju duszy, jak drętwiejące palce wiecznej zgrzyzoty wspomnień.

---

Gram komedję cynizmu! Czy pan istotnie w nią uwierzył? bo że inni, ale pan...

Tak, bawię się i kąpię w kadzidłach pół-prawd i pół-miłości, lecz mi wszędzie smutno i nudno, byłabym rada na jakimś akacjowem rozkwitłym drzewie, gdyby rosło pod pańskim oknem, powiesić się.

Być może pierwsze lepsze ręce, których tyle mam wokoło, wezmę... ale jeszcze nie mogę... czuję wstręt...

Pocałunek — była to moja ostatnia prośba, której pan nie pojął.

Ten ostatni pocałunek byłby zmył ze mnie to zło, co mnie opanowywa, byłby mnie może obronił od tego, przed czym się sama wzdrygam, a idę...

Jeśli jednak kiedy do tego dojdzie, będzie to pańska zbrodnia, jaka się nademną stanie.

Lilith.

List tamten był bezsensowny, chwila rozstroju... minęło... patrzę trzeźwiej. Doprawdy, możnaby posądzić mnie o sentymentalizm i bezgraniczną, niepocieszoną miłość! Tak nie jest... Wogóle pan był w błędzie, biorąc to wszystko zbyt naserjo, patrzył pan na stosunek mój do siebie zbyt tragicznie; jestem wprawdzie istotą chwili i robię wiele rzeczy pod jej wrażeniem, ale to mija, szybko mija...

Zresztą dla mnie miłość nie jest celem, tylko dodatkiem życia, pragnę jej, lecz przecież zawsze ją mieć można...

Pan uważa wprawdzie za największą zaletę stałość, zależy to jednak od tyłu przyczyn!

Miłość wieczna jest zjawiskiem, po które wielu próżno wyciąga spragnione ręce.

Myślałam zupełnie serjo, że skoro nie możemy być dalej kochankami, to możemy przejść do czystej przyjaźni. Pan zresztą żałował, iż właśnie to uczucie pomiędzy nami nie zapanowało, ponieważ byłoby nas nie rozdzieliło.

Były to mrzonki i tak się skończyło.

Widzi pan, teraz to co innego, przyjaźń bowiem może być między ludźmi, którzy byli tak szczerzy względem siebie, jak my i tak sobie blizcy.

Rozumiem pana bardziej, niż pan sam rozumie siebie: oto pan czuje, iż nie może być przyjaźni między nami, bowiem pan nie wytrwałby i powrócilibyśmy do tego samego.

Wszystko nas dzieliło i mimo to namiętność złączyła — była bowiem rzeczywistością.

Pan z tego powodu cierpi, lecz „cierpieć z powodu rzeczywistości znaczy być u n i e s z c z ę ś l i w i o n ą rzeczywistością“, powiada Nietzsche.

Przeklinam tego, kto w panu wyrobił ową sztuczną moralność, przez nią nie może pan pojąć prawdy.

Mam żal do pana, mimo to, jeżeli przyjdzie do cię rozczarowanie i pojmiesz, że życie jest to ciężki etap, z którego powinno się brać chwile... wtedy przypomnij sobie o mnie i... przyjdź. Jeśli nie będzie już we mnie szalu, to dam ci jego wspomnienie.

Lilith.

Pamięta pan popołudnie, w którym byłam u niego? — naturalnie wiem, że pan pamięta.

Byłam w jego pokoju jedyny raz i to wtedy, gdy już wszystko było po za nami.

A przecież to nie t o rozdzieliło nas, tylko pańskie urojone pojęcie o moralności.

Najniebezpieczniejszym oszustem jest oszukujący siebie!

Ludzie nie umieją żyć! Jaka szkoda! zaraz robią plany, zaraz rozumują, zaraz pytają: a co potem?

Oprócz tego chcą koniecznie mieć w zgodzie wszystkie głosy, nadewszystko obowiązku i sumienia.

Choć naturalny instynkt niesie ich w zaczarowany kraj chwili, oni, ci urodzeni niewolnicy, nawykli od przyjscia na świat do obroży, nie mają odwagi zerwać jej z siebie, a gdy coś wszechwładniejszego po nad te etykiety spróchniałego morału poniesie ich i wyzwoli, dobrowolnie czempredzej wracają do swej obroży.

Tak było i z panem.

Bolało mnie to, ale dziś, gdy już minęła chwila, patrzę obojętnie i tylko mi żal pana.

Bo proszę pomyśleć i przypomnieć sobie, z jaką przykrą trudnością zwalczał pan ten naturalny popęd i pomimo, że przekonaniem pańskim było, iż tak, a nie inaczej trzeba wyjść z tego błędnego koła, mimo to nie był pan w zgodzie z samym sobą, kłóciły się w nim różne głosy i będą, aż je czas zatrze!

Może wtedy właśnie znów obejmie pana chwila wspomnień. Podówczas przyjdzie jasne zrozumienie i będzie wielki żal właśnie chwili tamtej.

Pamięta pan może ten moment w swoim pokoju?

Patrzyłam przez otwarte okno na wiosenną zieleń, na obcy, nieznany mi widok, dziwiąc się, że dla mnie jest tak obcy, bo wszak tylokrotnie oczy pańskie patrzyły na tę zieloną przestrzeń i na te wysokie kwitnące drzewa, a oczy twoje były mi tak blizkie i patrzyły na mnie wbrew rozsądkowi, przepojone pragnieniem.

Więc patrząc na obcy, nieznany mi widok, pytałam: co pan na to, gdybym to nasze „mysteryum“ odsłoniła ludziom i rzuciła pomiędzy ich wilcze palce, przed ich żerowe oczy?

I tłumaczyłam, że mimo to zostanie między nami wiele rzeczy nieujawnionych, a przedewszystkiem samo mysteryum, ponieważ ty jeden tylko wiesz, co słowo to zawiera dla nas, więc właściwe, prawdziwe mysteryum i tak zostanie pomiędzy nami.

I oto pan się zgodził, proszę zapamiętać, że pan się zgodził.

Wtedy odwróciłam się szybko od okna i spojrzeliśmy sobie prosto w oczy.

— Warunek, aby była p r a w d a — wyrzekłeś i spojrzenie twoje gdzieś pobiegło w dal, oderwało się odemnie.

Ot, może właśnie prawda doń przyszła, bo ja byłam prawdą.

Prawda jest jednak różną — jak różne są chwile.  
Chwila bowiem jest prawdą — a prawda chwilą.  
Prawda jest szaleństwem — jak szaleństwo prawdą.  
Prawda bywa zbrodnią — a zbrodnia prawdą.  
Fałsz staje się prawdą — prawda fałszem.  
Prawda jest złudą — złuda radością.  
Prawda na koniec bywa potwornością — a potworność prawdą.  
Któż zatem z tych prawd pan wybrał i pozwolił zakląć mi w formę?  
Faktem jest tylko... że co innego ja uznaję, a co innego pan — a każdy może dać tylko s w o j ą prawdę.

Proszę mnie zatem nie winić, jeśli w owej opowieści nie będzie pańskiej prawdy.

I oto tyle prawd wyliczyłam, a możnaby je tak snuć, jak liczby w nieskończoność...

A jednak jest tylko jedna prawda w prawdzie, lecz ludzie odbiegli od niej daleko i już jej w sobie nie mają...

Od urodzenia urabiają naturę, wtłaczają się w formy konwenansu, żyją blagierską moralnością świata.

Jedni opancerzają się w rutynę wytworzonych obowiązków, jak w ciasny gorset i nie zdając sobie sprawy, niszczą cudy życia, zupełnie, jak kobiety niszczą swoją figurę.

Reszta żyje pozorami w wiecznym kłamstwie, ale nikt nie żyje prawdziwym, naturalnym życiem!

Natura bowiem jest prawdą, lecz my, ludzie kulturalni, nie jesteśmy zdolni pojąć, ani się wznieść do tej prawdziwej prawdy, bo nasza kultura to tylko pokost. W rzeczywistości wciąż jesteśmy dzięki plemieniu, różnica: że tak zwani dzicy stroją ciała swe w blaszki, a my stroimy — dusze.

Lilith.

Oto był jeden „pan“, który od trzech lat nie tracił nadziei, jakże ten właśnie pan mógłby się z nas śmiać, gdyby wiedział... Śmiałby się nadewszystko z pana, bo wszak nikt inny, jak tylko pan ziścił jego plany, na zrealizowanie których wyczekiwał tak wytrwale.

Oto sprawdza się głupie, donżuańskie twierdzenie, iż każdą kobietę mieć można, tylko trzeba wyczekać na odpowiedni moment.

Naturalnie pan nazwie to bezczelnością, iż o czemś podobnym donoszę, lecz według mnie, właśnie p a n powinien się o tem dowiedzieć.

Przypuszczam, że to jest mój ostatni list, byłam zawsze względem pana szczerą, niechże pozostanie tak do końca, choćby to nawet miała być szczerłość potworna.

Wszak mi zupełnie wszystko jedno, co sobie pan o mnie pomyśli, może właśnie choć raz pomyśli też i o sobie.

Stało się zatem nowe cudzołóstwo, choć niewiadomo, po co się to stało, bo ani on nie pragnął mnie tak, jak pan do utraty samowiedzy i rozsądku, ani ja jego.

Więc naturalnie wszystko było inaczej, zupełnie, jak w każdym najpospolitszym romansie francuskim, obrachowane i obliczone z całym doświadczeniem ostrożnego samca, pozorom też stało się zadość, jak i rozpuście.

Czy nawet rozpuście? i to nie, uczyniłam to bowiem z własnej woli, lecz zarazem wbrew własnej chęci.

Zbzcześciłam się, chcąc tym sposobem zbzcześcić pana, to jest wspomnienie o nim, bo wciąż nasze rozkosze i nasze pieszczoty przychodziły do mnie i oplatały w nocnej ciszy.

Przytem wiedziałam i wiem, że ja właśnie byłam tą pierwszą, której się pan oddał bez pamięci i że po mnie jeszcze nie było żadnej, że będzie nią dopiero pańska żona. Tak, będzie to zdrada jawna, legalna, o której ja wiem, na którą jestem przygotowana, a tymczasem ja już zdradziłam pana.

Tak, choć pomiędzy nami wszystko skończone, ja to nazywam zdradą.

Proszę posłuchać, jak to było: oczekiwał na mnie prawdopodobnie z niedowierzaniem i niepokojem, w ostatniej chwili musiał wątpić, ja jednak przyszałam.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie bardziej badawczo, aniżeli z przejęciem.

Stało się wszystko bardzo prędko, pospiesznie.

Gdy w godzinę powracałam do domu, przypomniła mi się nanowo n a s z a noc weselna, przesiąknięta odurzeniem i szałem.

I okrążyły mnie nasze pieśszoty z owego dnia i następnych, czułam znowu twoje usta, takie gorące, świeże, usta na swych piersiach i twoją jasną głowę tuż przy sobie.

Cała ta noc, która była jakby jednym wielkim pocałunkiem i choć zawierała w sobie najmniej godzin czternaście, dla nas była chwilą, odżyła we mnie, właśnie po tem wstrętne mojem postąpieniu.

Wracałam tramwajem szeroką, wysadzoną drzewami ulicą, koło mnie rozmawiano i ktoś się wesoło śmiał...

Doznawałam wrażenia, że leżę wzdłuż szyny tramwajowej i to żółte wielkie, trzeszczące pudło przejeżdża po mnie, łamiąc i druzgocąc mi kości.

Nienawidziłam siebie od dawna, lecz nienawiść ta nie miała porównania ze wstrętem, jaki czułam ku sobie po tej schadzce, która zamiast zapomnienia, przyniosła mi całą falę wrażeń tak odmiennych.

Czułam swoje plugastwo, ale to mnie cieszy. Tak, uczułam bowiem jednocześnie, że część tego splugawienia pada i na pańską czystą duszę. Nareszcie ta twoja biała, delikatna, śliczna i tak dawniej przezemnie miłowana twarz staje się dla mnie odstraszącą.

Zrazu nie mogłam pojąć tego nowego dziwnego uczucia, lecz teraz je rozumiem... wzbierała we mnie pogarda.

I oto w tym ostatnim liście, w którym odkrywam dobrowolnie wstrętą prawdę, o jakiej pan nigdy nie dowiedziałby się, mówię: iż gardzę panem.

Czy rozumie pan? — gardzę panem bardziej, aniżeli pan po przeczytaniu tego listu może mną gardzić.

Gardzę panem tak, jak go mogłam kochać, i tak, jak tylko może gardzić ten, kto ma ku temu takie prawo, jakie ja mam względem pana...

Powtarzam: gardzę panem!

Lilith.

I oto minął rok i miesiąc od owego dnia.

Minęło pół roku, gdy wysłałam list ostatni z wstrętą prawdą.

Byłam pewna, że ostatni, tymczasem dziś, w owym dniu, w którym się skończył rok i miesiąc, piszę raz jeszcze.



Być może, iż nie wyszlę tego listu, rzucę w ogień i patrzeć będę, jak ten gruby, twardy, listowy papier, mocno poskręcany w moich palcach w długą tutkę, opierać się będzie unicestwiającym go płomieniom. Jego bladą zieleń ujmą nakoniec chwiejne, czerwone ogniki i rozczzerwieni się, napuchnie i drzeć pocznie, jak gdyby był żywy, oddychał i szalał.

Potem rozplonie cały, jak my niegdyś, i stopniowo czernieć pocznie, aż stanie się, jak kir...

Nie będzie już podobny do nas, bo my nie zdążyliśmy się spalić na popiół w ogniu naszych uniesień, my rozeszliśmy się — płonąć.

I cóż stąd? Nie byłoby powodu do pisania listu, zwłaszcza po tem, co ja uczyniłam, i po tylu minionych dniach... suchych i okrutnych dniach, w których wszystko utonęło, i w których wszystko pragnęłoby się utopić, a w których ja, a zapewne i ty odpędzałeś wspomnienia.

Myśleliśmy o sobie, jak o tych, co już nie żyją, bo istotnie przestaliśmy żyć dla siebie.

Byłam pewna, że już zostało we mnie tylko echo czegoś bardzo dalekiego.

I oto stało się coś, co z takim trudem wznoszony gmach, misternie wiązany chęcią niepamięci, wytrąciło z równowagi.

Czyżbym nigdy nie wybudowała trwałego gmachu? czyż wciąż będzie on z bylejakiego powodu upadał? czyż usiłowania moje mają być nietylko długotrwałe, ale i bezużyteczne?

Tyle jest we mnie sprzeczności, że chcę wierzyć, że to tylko dziś, w owym dniu, w którym akurat minął rok i miesiąc, odżyło we mnie tak niespodzianie i to wtedy, gdy już zdawało się być zapomnianem.

Spowodował to jedynie sen, tak dziwny i tak samo cudny, jak nasze chwile były dziwne i cudne.

Pamiętasz, iż nazwałeś je cudnemi?

Gdybym była przesadną, mogłabym wyprowadzić z tego snu, który wypadł akurat w tym dniu, wnioski szczególne, mogłabym marzyć o nim i uważać go za proroctwo.

Jednak moje wieczne sceptyczne rozumowanie nie pozwala mi na to. W tym śnie, który przedstawił mi się nad wyraz realnie, widzę miraż i uludę niepowrotności. Opisuję go i ślę tobie, bo muszę się tem wrażeniem z kimś podzielić, a mogę tylko z tobą.

Oto byliśmy w jakimś bardzo małym obcym pokoju, siedziałeś wprost okna o głębokiej framudze, w tem samym ciemnym ubraniu, jakie najczęściej nosiłeś i jakie miałeś równie podówczas...

Stałam obok ciebie i patrzyłam w okno na jakąś wielką płaską zielen polną.

Przytem była we mnie jasna świadomość naszego rozejścia się nazawsze i ów żal, jaki mam w sobie z przyczyny, która je wywołała, oraz ze sposobu zakończenia.

Spotkanie musiało być wypadkowe, zwracaliśmy się do siebie z przymusem, jak ludzie, którzy, nie mogąc być względem siebie szczerzy, usiłują grać komedję, iż są dla siebie niczem.

I oto całkiem bezwiednie dotknęłam się ciebie, zdrętwiałam na myśl, że wytłumaczysz to sobie, jako chęć zbliżenia i brutalnie odsuniesz się. Ty jednak przysunąłeś się, ja, zadziwiona, nie poruszałam się, stałam, wyczuwając przez suknię ciepłość twego ciała.

Spojrzeliśmy na siebie po raz pierwszy od tyłu, tyłu dni, miesięcy, czy może lat!...

Widziałam, jak w jawie twoją białą, prześliczną twarz, zwróconą ku sobie, i oczy pociemniałe, które mówiły:

— Pragnę!

Patrzyliśmy na siebie wciąż oczarowani i uśmiechnięci, ja jednak czułam jakieś lęklive niedowierzanie, nie poruszałam się, aby nie spłoszyć tej chwili, która mi się wydawała nie do wiary chwilą.

Ty w milczeniu podałeś mi kwiaty, narcyzy i białe róże, wyciągnęłam rękę, biorąc narcyzy, te w moich palcach opuściły głowy.

— Zwiędłe — szepnęłam strwożona i opuściłam je.

Wyciągnęłam drżącą, bojaźliwą rękę po róże, zaszeleściły mi pod palcami, głowy ich były martwe, bezwonne i szeleszczące, jak papier.

— Suche, nie pachną — szepnęłam w przerażeniu i opuściłam je na stół, przy którym siedziałeś, a jednocześnie myślałam:

— Uschły, jak usycha to, co w nas było.

Ty jednak nie przestawałeś się uśmiechać i patrzeć na mnie gorejącymi oczami. Podniosłeś jedną z tych zeschłych, smutnych róż i, ujawszy ją w obie ręce, powiedziałeś:

— Ta jest świeża i pachnie.

Spojrzałam na nią i osłupiałam: oto widziałam, jak poźółkłe, białe płatki stawały się wilgotne, a na każdy z nich występowała czerwona pręga, wkrótce cała róża w twoich palcach przeobraziła się w czerwoną.

Pochyliłam się nad nią i piłam z niej mocną, rozmarzającą woń.

— Lila — wyrzekłeś — ta róża dla ciebie.

Objąłeś mnie wpeł i usta nasze się zwarły, jak w owym dniu...

Każdy nerw drżał we mnie i szalał, każdy płonął i roztopiał się, bo stawała się rzecz, która miała się już nie stać nigdy. Stawało się znów możliwym, a nawet koniecznym to, co się wydawało nieprawdopodobnym.

Nagle ja, odruchem przeżytego bólu strasznej omyłki, oderwałam się od twoich ust i wołać poczęłam, jak opętana:

— Obowiązki... nie chcę... nie chcę... znowu wrócisz do morału.

Ale ty wyciągnąłeś ręce ku mnie i swoim dobrym, rozbrajającym głosem prosiłeś:

— Zapomnij!

Ustami zatknąłeś mi usta i utonęłam w pocałunku i pragnęłam cię całą sobą, jak cię wciąż pragnę.

A ty, jak dawniej, swoim zwyczajem, gdy miałeś do mnie coś bardzo poufnego, przytknąłeś twarz ku mojej i mówiłeś cicho, choć nikt, prócz mnie nie słuchał:

— Pójdziemy, gdzie nas nikt nie zna!

— Ada — wołałam — Ada, czy to nie sen!

I znowu usta nasze padły w usta i cicho, bez szelestu, bez odrywania się od siebie, poprostu wchłaniały się.

Całowałeś mnie stokroć namiętniej i żarliwiej, niżeli w rzeczywistości, poprostu nadmęsko, ja odchodziłam od zmysłów i dusiłam się z żaru, jaki mnie nawskroś przepajał.

Czułam, iż zaraz się stanie... za minutę... za sekundę...

I... obudziłam się.

Przerażona usiadłam na łóżku, nie dając wiary, iż wszystko to było przywidzeniem, szukałam wokół twojej białej gładkiej twarzy i twoich gorących ust, całujących bez szelestu.

Byłam jednak sama, cała rozgorzała i tętniąca po tym dziwnym śnie.

Był już poranek, z smukłego wazonu wychylały się ku mnie orchideje i patrzyły potworne, centkowane, jakby oblepione robactwem, przytem płatki tych strasznych kwiatów rozchylały się, jak małe, okrutne, pochłaniające, szyderskie paszcze.

Nie było szkarłatnej róży, jak i nie było ciebie, ale czy będziesz?... czy jeszcze kiedy przyjdiesz do mnie ze szkarłatną różą, Ada?

Lilith.

Przeszedł rok od czasu, gdy widzieliśmy się po raz ostatni.

Jeżeli jeszcze piszę, to dlatego, aby wyrównać nasze złe wspomnienia.

Dziś z oddalenia patrzę na to wszystko spokojnie i chciałabym, abyś ty spojrział z takiego samego obiektywnego stanowiska.

Chciałabym, jeśli przypadek zdarzy kiedykolwiek spotkać się nam z sobą, abyśmy powitali się serdecznie, niepamiętni dawnych uraz, a jeżeli nie spotkamy się, to w myślach o sobie bądźmy sprawiedliwi.

Oto już dziś wiem napewno, że nie przyjdiesz do mnie, Ada, ze szkarłatną różą. Nie miałbyś po co — minęło — a nie powtarza się, co minie!

Był to sen! Tak jak wszystko to, co pięknego przeżyliśmy z sobą, wydaje mi się snem i chcę, jako cudu — sen zachować w swej pamięci.

A sen jest niepowrotny, może tylko przyjść inny... i przyszedł!

Tak jak wszystko w życiu jest niby to samo, a wciąż inne.

Nic nie przechodzi i wszystko przechodzi, jak fala oceanu, co bije o skały, wciąż nowa, a wiecznie ta sama; bezustanna przemiana i dążenie.

Więc tembardziej żal mi ciebie, nie dlatego, że cię straciłam, lecz, że nie umiałeś być szczęśliwym, nie umiałeś żyć.

Miałeś przy sobie radość życia i nie umiałeś jej wykorzystać.

Szkodziłeś naturze, szkodziłeś życiu, szkodziłeś sobie, stając się dobrowolnym męczennikiem swych nedorzecznych poglądów...

Czy ty, Ada, nigdy nie dojdiesz do tej prawdy?

A że myślę, iż nie dojdiesz, jest mi smutno!...

Chciałabym przynajmniej, abyś odrzucił precz tę gorycz, jaką masz względem mnie w swem wspomnieniu. Przez pamięć chwil dobrych — odrzuć złe, i tak, jak ja, zatrzymaj w swej pamięci tylko, co piękne.

Nie wiń się, iż popełniłeś rzeczy szalone... i cóż stąd? wszak były piękne, a przeto czyste, bo tylko rzeczy brzydkie są brudnymi.

Wiem, że przeklinasz dzień, w którym mnie poznałeś, nie czyni tego, wyzwól się z tej małosłownej szpetoty i błogosław go wraz ze mną!

Błogosław, bo nigdy nie przeżyjesz już tylu wstrząsających wrażeń i nigdy nie przeżyłbyś ich, gdyby nie ja.

Powiedział ktoś, iż podobnej mnie można nie spotkać nigdy, albo tylko raz w życiu: otóż, Ada, za to, że spotkałeś ty właśnie, błogosław mnie!

Wspomnij na chwile uniesień, na chwile bezpamiętnych pieszczot, zatop się w tym szale, w jaki cię wwiodłam, i błogosław, bo już takich chwil mieć nie będziesz!

Systematyczne układanie planów i równomierne dążenie do wrót szczęśliwości nie jest wszechpotężną szczęśliwością.

Oto tylko instynktowne, nieprzewidziane, żywiołowe uczucia przeobrażają człowieka i niosą go na skrzydłach szału w samą prawdziwą, naturalną szczęśliwość.

Ty byłeś tym szczęśliwym, poznałeś nieprzepartą moc naturalnego popędu, porwał cię on wbrew twojej woli i wyniósł z twego małego kółeczka skromnych, niewybiegających ponad miarę pożądań!

Przywykłeś, iż te kółka toczyły się równo, równiuteńko do zakreślonych przez siebie granic i nie mogłeś przeto pojąć, iż nagle coś w samym tobie zadrwiło z tego, uczyniło wbrew samemu tobie, jednym zamachem zdruzgotało wszystkie te misterne, drobne szprychy.

Dostałeś się w olbrzymie koło bujnego życia i, wkręcony w nie, musiałeś biedz z jego rozpędem na złamanie karku.

Ponieważ jednak umiałeś się tylko obracać w swoich własnych, małych kółeczkach, a nie miałeś przytem odwagi zdać się na odpowiedzialność losu wielkiego koła, więc wypadłeś umęczony i rozbity. Powróciłeś do swych zwykłych kółeczek, a ujrawszy je pogruchotane, począłeś zbierać i łączyć, aby mózdz, jak dawniej, równo, równiuteńko toczyć się wraz z niemi!

Ada, czyś naprawdę tak nawykł do truchciku tych kółek, że nie pozwolisz przyjść do siebie prawdzie i nigdy nie pojmiesz, że nie jest doskonałym człowiekiem ten — kto nie ma w duszy swej tęsknoty do rzeczy, wynoszącej go ponad codzienność?

Że pokrzywdzonym jest, kto choć raz w życiu nie pędził na oślepie siłą rozpędu swych potężnych instynktów życia!

Że pofałszował życie ten, co im przeciwdziałał!

Spójrz zatem śmiało za siebie, podnieś do góry swą śliczną głowę, jak ten, co wygrał, a świadomie stracił, i wołaj z dumą:

— Żyłem!

I błogosław!

Żegnaj mi, prześliczny dzieciaku, cudny, jasnowłosy paziu z czarodziejskiej bajki, żegnaj i nie złorzecz mi więcej!

Lilith.

P. S.

Powiem ci jeszcze na tej ostatniej kartce, że spotkałam człowieka, którego powinnam była spotkać, którego musiałam spotkać, i rzecz dziwna, iż spotkałam go teraz dopiero.

Wciąż byliśmy gdzieś koło siebie i mijali się, lecz to dobrze, iż zeszliliśmy się teraz dopiero, dawniej bowiem przeszlibyśmy może obok bez zauważenia siebie, nie umiejąc ocenić tego, co jest w nas wspólnego.

Jest sławny, jednak mnie nie obchodzi jego sława, mnie obchodzi to, co jest w nim, choć kocham jego talent, jak gdyby był moim talentem.

Jest tak mądry, tak bardzo mądry, iż chciałabym tylko uczyć się od niego.

Mądrość ta nie jest w znaczeniu książkowych recept, pewnych sum wiadomości, nie! — jest to prawdziwa wrodzona mądrość mądrości z tą nadwrażliwością przeczuć wielkiego artysty.

Wspaniały ten człowiek jest mi obcy, jak ja jestem mu obca, a jednak jesteście sobie bliscy, bardziej bliscy, aniżeli ty i ja.

Właściwie jesteście wewnątrznie tak podobni sobie, że zupełnie jakby on był mną, a ja nim i gdyby tylko chciał mnie zrozumieć, potrzebowałby wniknąć w siebie.

Ale czy które z nas dwojga zrozumie kiedy siebie samych?

I dlatego to między nami jest coś, co niepokoi i psuje, aż pokąd się nie zharmonizuje.

Wszystko od początku między nami jest dziwne i szczególne, choć właściwie nic jeszcze niema i choć nie wiem, czy kochać go będę, szukam go i pragnę jego mądrych myśli.

A gdy jestem z nim, przeobrażam się, nie czuję w sobie owej wzmocnej mocy zła, nie jestem ową kuszącą, wiodącą w zamętu drogi, bujną Lilith, a jakąś onieśmiałoną dziewczeczką, gotową z zamkniętymi oczami pójść, dokądby mnie powiódł ten duch śmiały.

On też przez to się myli i nie widzi tego, co jest we mnie — a we mnie jest to, co w nim.

Rzecz dziwna, w nadzwyczajnym tym człowieku zbiegło się w nadmiernym stopniu wszystko to, co pragnęłabym widzieć w tym, którego wciąż naprózno szukam. A jednak chciałabym widzieć w nim twoje zalety, a w tobie jego wady, choć jego wady stanowiłyby wartości twoich zalet... a właściwie to jego wady stałyby się wartościami u ciebie.

I męczę się, bo gdy myślę o nim, to widzę ciebie, gdy o tobie — widzę jego, a właściwie was obu razem i nie mogę rozdzielić twej jasnowłosej, pacholęcej twarzy od wzniosłej dumnej głowy tego niezwykłego człowieka i gdy przychodzą do mnie twoje młodzieńcze, duże, lazurowe, marzycielskie oczy, to wnet zasłaniają je jasne, spokojne, badawcze głębie jego źrenic.

Nawet w snach przychodzicie do mnie obaj!

I tak żyję teraz między wami dwoma. Ty stanowisz przeszłość — on przyszłość.

Jest też on tak samo, jak każda przyszłość, tajemniczy, nieodgadniony w swych niezbadanych przejawach, a jednak nieodwołalny — nieunikniony w przeznaczeniu.

Niema w nim nic z nieśmiałości pacholęcia, ani z niewinności pазia, jest w nim świadomość życia i nieulekniona dojrzałość męska.

Nie powiem ci, kto on i nie wiem, czy kiedykolwiek dowiesz się, choć imię jego będziesz miał wkoło i na ustach swych po tysiąc razy i może kiedy przejdiesz obok niego bezświadomy, choć ciekawości pełen.

L.

Warszawa, 1905-1907.



## UWAGI DO WYDANIA ELEKTRONICZNEGO

Zachowano oryginalną ortografię i interpunkcję, również w wypadkach, gdy odbiegały one od współcześnie przyjętych. Poprawiono natomiast wymienionymi niżej omyłki, które wyglądały na błędy w druku:

strona	błąd w druku	poprawiono na
35	rumieniec	rumieniec.
37	powracała	powracała,
41	energji.	energji,
42	loiki	logiki
44	oczekujacy	oczekujący
44	lekiem	lekkim
46	zię	się
51	kłamsto	kłamstwo
65	znaczaco	znacząco
76	już	już
77	walka	walką
83	wen	weń
95	loiki	logiki
96	z panem.	z panem?
97	postępuje	postępuję
100	pociagi	pociągi
101	Rosterka	Rozterka
134	oden	odeń
153	szczęścic	szczęście
155	wszystko jedno	wszystko jedno.
157	mężczyn	mężczyzn
165	zrucanego	zrzucanego
176	pzzemów	przemów
184	by został	by został.

196	zemigotała	zamigotała
207	ze	że
208	ze	że
234	pzzewidziałyby	przewidziałyby
235	twarzy Lilith,	twarzy Lilith.
249	siebie	siebie
251	rozdzieliło	rozdzieliło
260	istu	listu
267	kwiatow	kwiatów
274	głębie	głębie

[The end of *Mistryum* by Helena Garlikowska]